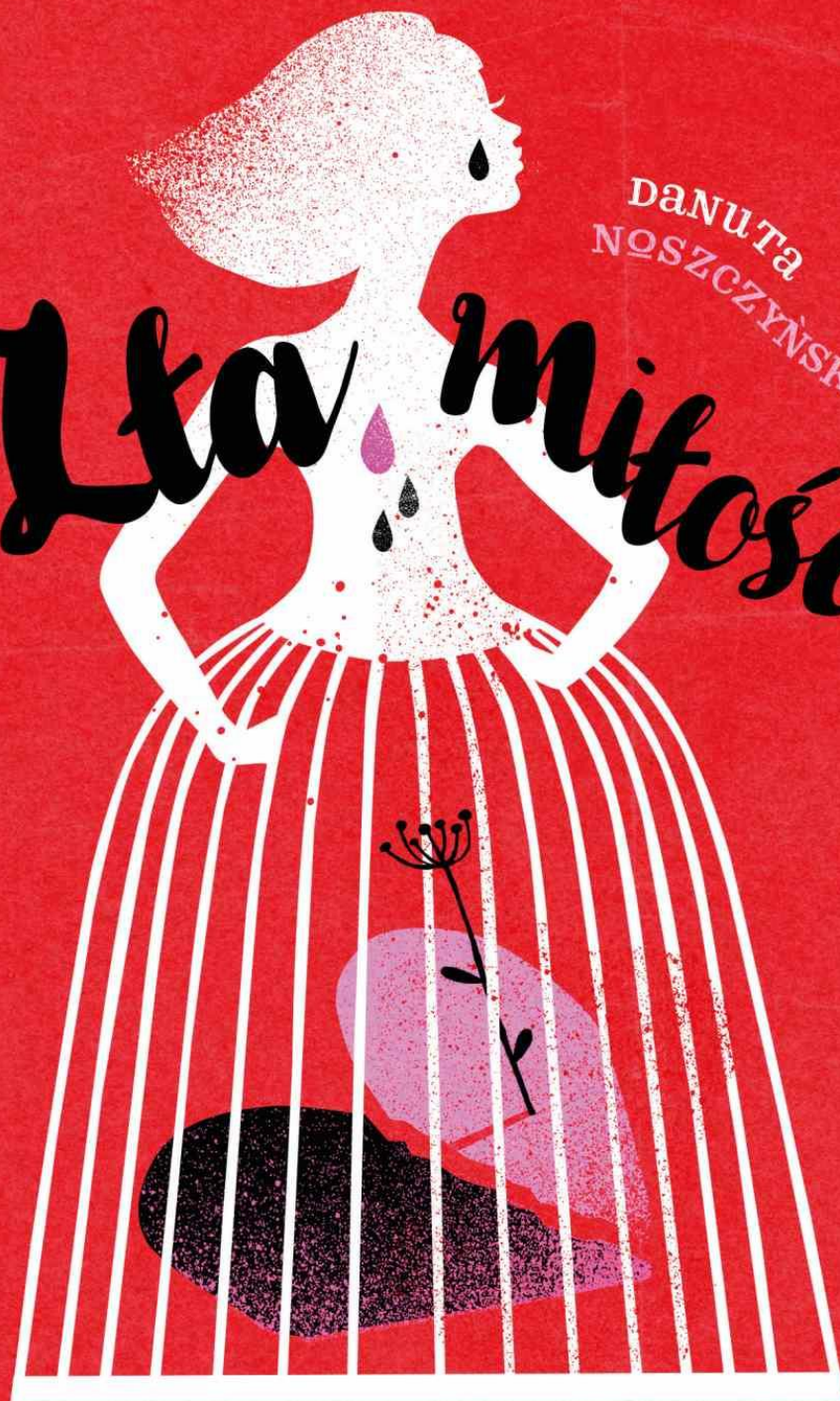


SIEDZEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

DaNuTa
NOSZCZYŃSKA

Lata młodości



PRZEJMUJĄCA **HiSTORIA** DZIEWCZYNY,
KTÓREJ MATKA WYMYŚLIŁA ŻYCIE

Zta mitosé



DANUTA NOSZCZYŃSKA

Złta mianość





Text copyright © by Danuta Noszczyńska, 2016

Copyright © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2016

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Opieka merytoryczna: Anna Luboń

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Redakcja: Jan Andrzej Fręś

Korekta: Magdalena Kędzierska-Zaporowska, Joanna Morawska

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki i layoutu: Asia Gwis/kavkadesign.com

ISBN: 978-83-8053-154-3



Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiążki.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

Spis treści

Rozdział 1. Piotruś

Rozdział 2. Moje piąte urodziny

Rozdział 3. Babcia Aniela

Rozdział 4. Tatuś

Rozdział 5. Mamusia

Rozdział 6. Dominik

Rozdział 7. Dojrzewanie

Rozdział 8. Nataniel

Rozdział 9. Pierwsza miłość

Rozdział 10. Pierwszy dramat

Rozdział 11. Pani Teresa

Rozdział 12. Adaś

Rozdział 13. W sklepie z bielizną

Rozdział 14. Cienie przeszłości

Rozdział 15. Chałtura

Rozdział 16. W pułapce uczuć

Rozdział 17. Sierpień

Rozdział 18. Bez łez

Rozdział 19. Dni do wcześniejszych niepodobne

Rozdział 20. Własny dom

Rozdział 21. Ostatnia chałtura

O autorce

Rozdział 1

Piotruś



– Mamo, długo jeszcze? – W drzwiach mojej pracowni stanął zaspany Piotruś.

– O co chodzi, kochanie moje? – Natychmiast porzuciłam swoje zajęcie i złapałam chłopca w ramiona. – Nie możesz spać?

– Nie mogę... – westchnął mój synek i wtulił się we mnie mocno.

Pachniał rumiankowym płynem do kąpieli i czekoladą. Pewnie dobrał się do tabliczki ukrytej przeze mnie w kuchni. Nie pozwalałam mu jeść słodczy przed snem, czasem jednak, gdy musiałam dłużej popracować, przymykałam na to oko. Kilka kostek czekolady pewnie miało mu osłodzić samotne zasypianie.

– Oj, ktoś tu się chyba obżerał słodyczami – stwierdziłam ze śmiechem. – I co? Nie pomogło?

– Od czekolady się nie zasypia – odparł rezolutnie i poprosił: – Chodź na chwilę, poczytaj mi, proszę, a ja szybko zasnę, obiecuję...

– Dobrze... – Wzięłam Piotrusia za rękę. Razem udaliśmy się na piętro, do jego sypialni.

Mój mały mężczyzna miał już cztery lata – dla niego beztroskie i bezpieczne, dla mnie pełne zawirowań, niepewności, lęków i nieprzespanych nocy.

Piotruś, na znak jak najlepszych chęci, wskoczył szybko do łóżeczka i przykrył się kołdrą po same oczka, które spoglądały teraz na mnie z oczekiwaniem.

– No, dobrze. Co czytamy?

– O piesku – zdecydował Piotruś, na moment odkrywając buzię.

– Okej. O piesku – zgodziłam się i sięgnęłam do jego nocnej szafki po wybraną lekturę.

Jak zwykle, gdy wieczorami pomagałam zasnąć synkowi, nachodziła mnie fala refleksji i wspomnień, także tych, przed którymi próbowałam się bronić. W końcu jednak zawsze doznawałam uczucia bezgranicznej czułości i wdzięczności. Za to, że go mam, że jest i będzie ze mną jeszcze przez długie lata, a jego miłość do mnie, taka czysta i bezwarunkowa, każdego dnia nadaje sens mojemu życiu.

Nie może być inaczej. Jego piękne, brązowe oczy w oprawie długich rzęs są lustrzanym odbiciem innych oczu, uśmiech jest kopią innego uśmiechu, czarne jak heban loki okalające jego twarz do złudzenia przypominają inną głowę, leżącą

kiedyś obok mojej na poduszce...

Piotruś będzie kiedyś pięknym mężczyzną, nie miałam co do tego wątpliwości. Gwarantuje to jego podobieństwo do, że tak powiem, pierwowzoru. Niejedna matka życzyłaby sobie, by jej syn odziedziczył niezwykłą urodę po ojcu, jednak w tym przypadku ów jedyny po nim spadek kładł się cieniem na całym moim życiu...

– Mamuś, ale czytaj porządnie – poprosił w pewnym momencie Piotruś sennym głosem.

Dzieciak zawsze orientował się, że moje myśli zaczynały błędzić ponad rzeczywistością, bo wówczas mój głos tracił dźwięczność, a czytane zdania intonację i płynność.

– Dobrze, synku – odparłam zawstydzona jak zawsze, gdy mnie przyłapał na mimowolnych rozważaniach. Ale Piotruś już w tym momencie spał. Położyłam obok niego na poduszce jego ulubioną maskotkę: pluszowego pieska.



Zeszłam na parter i ze sporym trudem podjęłam przerwane przed kwadranssem zajęcie. W moją pracę, wbrew pierwotnemu zamysłowi, zaczęły się wkradać coraz bardziej rzewne tony. Dopilałam zimną już kawę i dokonałam niezbędnych poprawek.

Zajęcie, z którego żyłam, całkiem dostatnio zresztą, było wynikiem splotu przypadków, które w bardzo kiepskim momencie życia pozwoliły mi się odbić od dna. Muzyka nigdy nie była moją pasją, a to, że w tym kierunku przyszło mi się uczyć przez wiele lat, było wynikiem niespełnionych ambicji mojej matki. To ona chciała grać na fortepianie, koncertować, błyszczeć na scenie. Najgorzej jednak, gdy rodzic nie potrafi odróżnić swoich marzeń od marzeń dziecka, swojego dobra od tego, jak ono je postrzega dla siebie. A jeszcze gorzej, gdy dziecko nie ma najmniejszych praw do decydowania o sobie i nie ma nikogo, kto by się za nim ujął. Bo mój ojciec również tych praw nie miał, zrzekł się ich z czasem zupełnie, przedkładając nade wszystko własny święty spokój. Dlatego z dzieciństwa pamiętam głównie wędrówki do kościoła i z kościoła oraz od szkoły do szkoły. Rano do tej normalnej, popołudniami do muzycznej. I powierzanie Bogu swoich (a właściwie mojej matki) pragnień, prośb i żali.

Powoli dochodziła północ, a ja, zamiast położyć się spać, zrobiłam sobie kolejną kawę. Zaczęła mnie ogarniać złość na siebie, niesmak i poczucie jakiegoś wewnętrznego rozpadu i chaosu. To uczucie powracało często wraz z niechcący przywołanymi wspomnieniami, ale dziś opanowało mnie z niespotykaną dotąd siłą, tak wielką, że w końcu zachciało mi się wyć... No cóż, sama sobie byłam winna.

Bo gdy po kilku latach niewidzenia pojawiła się nieoczekiwana okazja, by raz jeszcze spojrzeć w twarz tacie Piotrusia, nie odmówiłam sobie tego. Sądziłam, że jestem już gotowa na taką konfrontację, ale niestety nie byłam. I nie chodziło o to, że wróciły do mnie dawne uczucia. Stało się coś, czego zupełnie nie przewidziałam – poczułam do niego przemożny wstręt. Wiele wspomnień związanych z naszą miłością mimo wszystko przechowywałam w sercu jako piękne i romantyczne. Teraz nagle znikły jak bańka mydlana, a to, co zaczęło pojawiać się w ich miejsce, na nowo zburzyło mój z trudem osiągnięty spokój.

Przeszłam z pracowni do salonu i wyszłam na taras. Wieczór był bardzo ciepły, a czyste, usiane gwiazdami niebo i dochodzące z ogrodu cykanie świerszczy koło rozbudzone do granic wytrzymałości emocje. Zapaliłam papierosa i głęboko wciągnęłam dym do płuc. To mi pomogło opanować lęgnący się w gardle spazm. Bo znów nie było dla mnie ucieczki... Wszystko rodziło jakieś wspomnienia, taka noc też już się kiedyś wydarzyła...

– Nie, tak nie może być – szepnęłam sama do siebie. – Muszę coś z tym zrobić. W końcu nie jestem sama, nie wolno mi poddać się temu szaleństwu.

Weszłam do domu z twardym postanowieniem uporania się z przeszłością, uporządkowania bezładnych obrazów, może nawet znalezienia wyjaśnień dla niektórych zdarzeń. Otworzyłam nowy plik w komputerze i postanowiłam zaserwować sobie najprostszą autoterapię: zacząć spisywać najważniejsze momenty ze swojego życia, od pierwszych chwil, które zaczęłam świadomie pamiętać. Postanowiłam, że będę pisać w każdej wolnej chwili, w ciągu dnia, w luźniejsze weekendy, po nocach. Musiałam się uporać z przeszłością raz na zawsze, by nigdy do niej już nie wracać. Doszłam do wniosku, że jeśli poświęcę wspomnieniom trochę czasu świadomie – nie zaś, jak do tej pory, gdy pozwalałam im sobą zawładnąć w dowolnym momencie – uwolnię się od ich dominacji. Piotruś spał, swoją pracę wykonałam w terminie, a zatem cała noc przede mną. Jutro, gdy mój syn będzie w przedszkolu, zostanie mi kilka godzin, by odespać i wrócić do choćby pozornej równowagi.

Rozdział 2

Moje piąte urodziny



Gdy skończyłam pięć lat, dostałam największy prezent urodzinowy na świecie. Był przystrojony wielką kokardą z różowej bibuły, nad nim zaś unosiły się kolorowe baloniki. Mnóstwo baloników. Na stole stał wielki tort z zapalonymi świeczkami. Kiedy mama wprowadziła mnie do pokoju, stanęłam jak wryta.

– To... dla mnie? – spytałam, z trudem wydobywając z siebie głos.

– Tak, córeczko – odparła wzruszona. – Kończysz dzisiaj całe pięć lat, a oto i wyjątkowy prezent dla wyjątkowej dziewczynki.

W miejscu, w którym do tej pory znajdowała się komoda, teraz stało piękne, nowiutkie, lśniące czarną politurą pianino.

– O, rany! – Podeszłam do instrumentu i ostrożnie pogładziłam zamkniętą klawię.

– Śmiało, otwórz – zaśmiała się mama. – Jest twoje!

Jednym palcem naciskałam na zmianę to białe, to czarne klawisze, ciesząc się wydawanymi przez nie dźwiękami. Byłam szczęśliwa i dumna, a moje szczęście graniczyło z niedowierzaniem.

– A gdzie... Ela i Beata? – spytałam po chwili.

To były moje dwie „najlepsze na świecie” przyjaciółki z przedszkola, mieszkające po sąsiedzku. Zawsze obecne w ważniejszych chwilach mojego życia, imieninach, urodzinach, towarzyszki zabaw i powierniczki pierwszych szczęść i nieszczęść. Mieszkały na tyle blisko (po obu stronach naszego płotu), że wolno nam było odwiedzać się bez asysty dorosłych. Bardzo chciałam, żeby były tu teraz i dzieliły ze mną radość i dumę.

– Spójrz, jaki piękny tort – odpowiedziała mama całkiem nie na temat. – Zdmuchnij świeczki i pomyśl jakieś życzenie. Na przykład, że chcesz zostać w przyszłości wielką pianistką.

Mama zapaliła świeczki i zaprowadziła mnie do przystrojonego stołu. Zdmuchnęłam wszystkie naraz, mając na myśli tylko jedno: żeby jak najszybciej zjawiły się tu moje przyjaciółki.

– Świetnie! – ucieszyła się mama. – Zuch dziewczynka, życzenie na pewno się spełni. O czym pomyślałaś?

Powinłam była skłamać, ale wówczas i niestety jeszcze długo, długo potem, nie wpadłam na to, że niewielkie minięcie się z prawdą może zaoszczędzić tak wiele przykrości.

– Chciałabym, żeby Ela i Beata przyszły – odparłam ucziwie.

Mama nerwowo złapała mnie za rękę i zaprowadziła do pianina.

– Jesteś niewdzięczna, córeczko – powiedziała z wyrzutem. – Czy ty wiesz, ile taka rzecz kosztuje? Przez dwa lata odkładaliśmy na nie z ojcem, odmawiając sobie własnych przyjemności. Po to, by dziś, w twoje piąte urodziny móc sprawić ci prezent, o jakim marzyłam przez całe życie! Ale niestety, rodzice nie mieli takiego zrozumienia dla moich pasji.

– A co to jest pasja, mamusiu? – spytałam.

– To... największe w świecie marzenie, to coś, czym mogłabyś żyć, nie potrzebując niczego ani nikogo innego.

– Ale ja... nie marzyłam nigdy o pianinie – odparłam prostolinijnie, bo słowa mamy bardzo mnie zadziwiły.

– No widzisz! Nawet nie marzyłaś, a masz. Czy to nie cudowne?

– Gdzie tatuś?

– W ogrodzie. Przycina krzewy.

– Czemu go tu nie ma?

– Bo przycina krzewy! – krzyknęła mama poirytowana. – On kompletnie nie rozumie muzyki i nie umiałby docenić podniosłości tej chwili. Przykro mi to mówić, a jeszcze bardziej przykro znosić... ale twój ojciec jest niestety zwyczajnym, prostym człowiekiem. Prezent w każdym razie jest od nas obojga.

Mama patrzyła na mnie coraz bardziej rozczarowana.

– A... Ela i Beata?

– No właśnie, córeczko. – Mama usiadła przy pianinie i posadziła mnie na kolanach. – Jesteś już dużą dziewczynką. Dużą, zdolną i ambitną. Dlatego od poniedziałku zaczniesz przychodzić do nas pani Terenia, która będzie uczyła cię grać na tym wspaniałym instrumencie. Uważam więc, że nie będziesz już miała tyle czasu na płóche rozrywki. Twoje zabawki spakowałam rano do pudełka i oddałam pani Oczkowskiej dla wnuczki.

– Jak to? – spytałam, z całej siły powstrzymując łzy, bo dziecko też ma swój honor i swoiste wyczucie taktu, a nie chciałam wyjść na niewdzięczną.

– Zabawki są w przedszkolu, tam będziesz mogła bawić się do woli. W domu będziesz grać na pianinie. Zobaczysz, jakie to cudowne móc samemu wyczarowywać palcami dowolną muzykę, panować nad dźwiękami, harmonią... Za chwilę nie będziesz pamiętała o czymś takim jak zabawki.

Pobiegłam do sypialni, gdzie zawsze leżał na mojej poduszce Kacper – wielka, pluszowa, łaciata żyrafa. Nieco wyblakła od prania, ciut zdeformowana od nadmiaru moich czułości. Tę maskotkę jednak kochałam całym swoim sercem i nie oddałabym jej nawet za oryginalną Barbie, razem z domkiem i Kenem. Teraz jej nie było. Rozpacz, jaka mnie wówczas ogarnęła, zdominowała dziecięce poczucie honoru i rozbeczałam się na całego.

– Mamusiu, gdzie jest Kacper?! – wykrzyczałam, wpadając z powrotem do „gościnnego”.

– A... ta żyrafa? Widzisz, one nie nadawała się już, żeby ją komukolwiek ofiarować, więc poszła do pieca.

Podbiegłam do pianina i z furją zaczęłam je kopać.

– Ja tego nie chcę! Weź to i oddaj mi Kacpra! – szlochałam, zachłystując się łzami.

– Ty... niewdzięczna dziewczucho... Rozwydrzona gówniario... – cedziła mama przez zęby, zbliżając się do mnie powoli.

Złapała mnie za rękę, wywlekła na środek pokoju i zaczęła okładać na oślep. Po plecach, ramionach, głowie.

– Ja kiedyś dałabym się pokroić za taki prezent! Za możliwość nauki gry na nim. A ty, wyrodne dziecko?! Doprawdy, brak mi słów!

Darłam się wniebogłosy, tak że po chwili do pokoju wszedł tato.

– Co ty, Joasiu, wyprawiasz? – spytał zdyszany.

– Ja? Ja co wyprawiam? Spójrz, co wyprawia twoja córka. Wypięła się na nasz prezent, okupiony tyloma wyrzeczeniami!

– T w ó j prezent – podsumował tato z nadzwyczajną jak na niego odwagą.

Na te słowa mama dostała spazmów i gestem wyprosiła nas za drzwi. Ojciec zaprowadził mnie do kuchni, zrobił mi gorącej czekolady i skądś wytrzasnął paczkę moich ulubionych ciastek, których mama nie pozwalała mi jeść, bo są tuczące i niezdrowe. Otarł mi chustką łzy i usiadł naprzeciwko przy stole. Siedzieliśmy w milczeniu – ani ja, ani on nie mieliśmy nic do powiedzenia na temat zaistniałej sytuacji. Zjedliśmy do spółki wszyscyutkie ciastka, tata zgrabnie uprzątnął miejsce zbrodni i skinął na mnie tajemniczo. Poszłam za nim aż do kotłowni. Tata cichutko otworzył znajdującą się tam od lat starą szafę, do której odkładało się niepotrzebne, ale mogące się jeszcze kiedyś przydać rzeczy. Na najniższej półce, w starej podróżnej torbie siedział sobie mój Kacperek, uratowany przez tatkę od męczeńskiej śmierci. Pewnie mama kazała mu go spalić, a on nie wykonał jej polecenia.

Bez słowa rzuciłam się ojcu na szyję, on zaś przyłożył palec do ust na znak milczącego porozumienia. Postanowiłam, że przy najbliższej okazji znajdę Kacperkowi godniejsze miejsce, takie, w którym mamusia nigdy go nie odnajdzie...



Pod wieczór tego samego dnia, w znacznie już lepszym nastroju zasiadłam do pianina i zaczęłam plumkać na nim bez ładu i składu. W końcu było moje,

okupione wyrzeczeniami rodziców... Nie, żebym była niezadowolona z tego prezentu, pianino było piękne i, szczerze powiedziawszy, byłam z niego dumna. Jakkolwiek by było, nikt, kogo wówczas znałam, nie posiadał czegoś równie wspaniałego. Po obiedzie i podwieczorku, zjedzonym w towarzystwie taty (mama się rozchorowała i musiała poleżeć w zaciemnionym pokoju), zaczęłam odczuwać coś na kształt wyrzutów sumienia. Nie chciałam przecież, żeby cierpiała. Było mi z tym zdecydowanie źle, ale pamiętam, że kompletnie nie umiałam swoich uczuć nazwać, sprecyzować. Znalazłam się w sytuacji, która zdecydowanie przerastała możliwości pięcioletniego dziecka: czułam się jednocześnie i uhonorowana, i skrzywdzona. Dlatego gdy mama w końcu wyszła ze swojego pokoju, odczułam ogromną ulgę.

– Ubierz się ładnie, Marzenko – powiedziała. – Jeszcze zdążymy na wieczorną mszę. Pójdziemy przeprosić Bożę.

Polecenie przyjąłam z radością, bo czułam, że zachowałam się źle i podle, miałam zatem ogromną potrzebę uzyskania przebaczenia. „Jeśli Bozia da się przeprosić, mamusia też mi na pewno wybaczy” – kalkulowałam.

– My? Same we dwie? – spytałam jeszcze, bo do kościoła zawsze chodziłam z babcią, mama jakoś nie lgnęła do tego, co boskie.

– Tak, same – odparła mama krótko i poszła się stroić.

Ksiądz mówił akurat o synu marnotrawnym i o tym, jak bardzo miłosierny jest nasz Ojciec Niebieski, na wzór którego pewien ziemski rodzic wybaczył wszelkie zło uczynione mu przez syna i na powrót przyjął go pod swój dach. Bardzo przeżyłam wówczas swoją niewdzięczność, prosząc Pana o przebaczenie, o to, by mamusia jak najszybciej zapomniała o moim wybryku i o zdrowie dla niej. Podczas kazania siedziałam w ławce jak skamieniała, miałam bowiem wrażenie, że wszyscy zgromadzeni na mszy wierni patrzą na mnie i to mnie utożsamiają z owym marnotrawnym synem.

– Przepraszam, mamusiu – powiedziałam po wyjściu z kościoła i przytuliłam twarz do jej dłoni.

Mama nie odpowiedziała.

– Nie gniewasz się już na mnie?

– Jak przestanę się gniewać, to ci powiem – odparła. Szła obok mnie, milcząca i smutna, ignorując moje próby chwycenia jej za rękę.

– A mnie się zdaje, że pan Jezus mi przebaczył – powiedziałam, chcąc podeprzeć się Jego autorytetem.

Mama zatrzymała się, pochyliła nade mną i odparła z powagą:

– Zapamiętaj to sobie raz na zawsze: Jezus nie przestanie się na ciebie gniewać, dopóki ja tego nie zrobię.

Zwiesiłam głowę i chlipnęłam cichutko pod nosem, tak, żeby mamusia nie usłyszała. Tak bardzo, bardzo chciałam, żeby dzisiejszy dzień zaczął się jeszcze

raz, wówczas na pewno zachowałabym się inaczej. Mniej więcej wtedy właśnie przekonałam się po raz pierwszy, że nic w życiu nie jest w stanie wydarzyć się po raz drugi, co w kategoriach myślenia dziecka brzmiało mniej więcej tak: jak już coś się stało, to się na pewno nie „odstanie”.



Gry na pianinie uczyłam się pilnie, ale nie pamiętam, żeby te lekcje budziły we mnie jakiś szczególnie entuzjazm. Był to taki sam obowiązek jak nauka matematyki, przyrody czy innych szkolnych przedmiotów. Mamie jednak bardzo na tym zależało i gdy nauczyłam się grać jako tako najprostsze utwory, zaczęła systematycznie spraszać znajomych na „wieczorki muzyczne”. Zawsze kupowała z tej okazji ciasto w najlepszej cukierni i parzyła kawę w swoim eleganckim, drogim ekspresie, który „dostała od małżonka z okazji rocznicy ślubu”. Lubiła tak mówić, choć prawda była całkiem inna: mamusia sama go sobie kupiła i nawet posprzeczała się z tatą o to, bo wydała na ów sprzęt pieniądze przeznaczone na roczne ubezpieczenie auta. Dziwiłam się za każdym razem, gdy słyszałam tę jej wersję, ale uważałam, że ma widać jakieś ważne powody, aby tak mówić.

Pani Terenia, moja nauczycielka gry na pianinie, była bardzo poważną, „starszą panią” w okolicach trzydziestki, ubierającą się najchętniej w stonowane w kolorze, obcisłe golfy i szare spódniczki ciut przed kolano. Często przyglądałam się jej ukradkiem i próbowałam zrozumieć, czemu ta niebrzydka w sumie kobieta nosi takie paskudne ciuchy i fryzury. Bo uczesaniu również nie poświęcała specjalnej uwagi; krótka, pospolita fryzura układała się jej najprawdopodobniej sama tuż po kąpielii. Nie to, co moja mamusia, która zawsze bardzo dbała o strój, włosy i makijaż. Dla mnie była najpiękniejszą kobietą na świecie. Zresztą, jak sama mawiała, do dbania o siebie zmuszała ją praca „między ludźmi”. Pracowała jako kelnerka w najbardziej luksusowej restauracji w naszym miasteczku. Tam odbywały się czasem różne ważne konferencje, nawet i zagraniczne, więc zawsze musiała być elegancka, by nie przynieść miastu wstydu. Powtarzała to przy każdej okazji. Byłam dumna z jej urody i wówczas nie ulegało dla mnie wątpliwości, że i tata był dumny. Gdy się zdarzało, że wychodziliśmy dokądś razem – raczej rzadko, bo mamusia zazwyczaj albo pracowała, albo zmęczenie nie pozwalało jej na „życie prywatne” – dbała o to, byśmy wyglądali elegancko i zachowywali się „z klasą”. Tę „klasę” miała mamusia w małym paluszkach, my z tatusiem natomiast pod jej czujnym okiem pilnie przestrzegaliśmy zasad *savoir-vivre*’u. A wtedy i ona bywała z nas dumna.

Niestety, babcia Aniela była pod tym względem kompletnie niereformowalna. Z uporem nosiła na głowie chustkę, zaplecione w warkocz włosy

upinała z tyłu głowy w kok, dzieliła ubrania na „codzienne”, „wyjściowe” i „kościółkowe”, a swoje myśli wyrażała bez owijania w bawełnę. Mamusię bardzo to irytowało, nie starała się jednak za wszelką cenę babci ucywilizować, gdyż to na jej głowie spoczywał cały dom oraz opieka nade mną. Być może – tak dzisiaj uważam – „ucywilizowana” babcia Aniela mogłaby nagle zatęsknić za własnym życiem i odmówić pełnienia tych wszystkich obowiązków. Tak więc, o ile babunia nie wpływała negatywnie na mój intelektualny rozwój, poczucie estetyki i poszanowanie dla manier, mama jakoś godziła się z jej niedostatkami. Jedyłą zauważalną gołym okiem konsekwencją tego stanu rzeczy było to, że babcia nigdy nie zasiadała z nami przy stole, gdy gościli u nas znajomi mamusi. Wcale się jednak tym nie martwiła, bo uważała towarzystwo mamy za takie, co to „wyżej sra, niż dupę ma”. Gdy usłyszałam tę opinię po raz pierwszy w życiu, miałam już na szczęście dość oleju w głowie, by jej mamusi nie powtórzyć.

Inną dziedzinę życia mojej rodziny, co do której poszczególni jej członkowie również nie byli jednomyślni, stanowiła sfera *sacrum*. Tu ich podejście było, jak bym to dziś określiła, trzystopniowe. Dla babuni religia stanowiła sens życia: do kościoła chodziła niemal codziennie, dzień zaczynała i kończyła modlitwą, odmawiała różaniec i wciąż nuciła pod nosem kościelne pieśni. Nieustannie powoływała się na dekalog i siedem grzechów głównych, cytowała Pismo Święte i zasłyszane fragmenty kazań – co zresztą kompletnie nie przeszkadzało jej w używaniu „brzydkich słów”.

Mama na tematy wiary wypowiadała się rzadko, do kościoła chodziła jedynie w święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc, chętnie natomiast podpierała się jego autorytetem, gdy chodziło o mnie – bo ja, siłą rzeczy od najmłodszych lat kształtowałam swój światopogląd, wzorując się na babci. Tatuś natomiast był od tych spraw całkowicie zdystansowany i trudno było wydusić z niego, co o tym wszystkim sądzi.



Mój pierwszy duży koncert miał miejsce w szkole z okazji inauguracji nowego roku, gdy szłam do pierwszej klasy. Nie wiem jak, ale to mama załatwiła, bym w ten dzień mogła popisać się swoją grą. To znaczy, żeby ona się mogła popisać. Jeśli chodzi o mnie, kompletnie tego występu nie pamiętam; ani repertuaru, ani reakcji „publiczności”. Wszystkie wspomnienia i emocje pożarł stres. Chyba nie wypadłam źle, bo gdyby tak było, z pewnością pamiętałabym pretensje mamy.

Drugi, niemal równie oficjalny występ dałam w domu dla sporego grona moich pierwszokomunijnych gości. Ten pamiętam znacznie lepiej, może za sprawą

sukienki, która była najpiękniejszą kreacją spośród blisko czterdziestu pozostałych dziewczęcych strojów, jakie prezentowały tego dnia przed ołtarzem. Mamusia zamówiła go w salonie sukien ślubnych, materiał natomiast sprowadzono specjalnie dla mnie z zagranicy: śnieżnobiałą koronkę z błyszczącymi jak prawdziwe brylanty kryształkami. Byłam zachwycona sukienką, wyglądałam niczym miniaturowa panna młoda. Jej dół, podszyty kilkoma warstwami suto marszczonego tiulu, zakończony symbolicznym, jeśli chodzi o długość, trenem, prezentował się naprawdę okazale. Na tyle, że potrzebowałam o wiele więcej miejsca w szeregu od moich koleżanek. Podczas mszy dziewczynki spoglądały na mnie zazdrośnie, ich matki natomiast taksowały mnie raczej złośliwie.

Moje wspomnienia z pierwszych szkolnych lat stanowią mieszankę dwu przeciwstawnych uczuć: dumy i wstydu. Dumy, bo moja rodzicielka zawsze dbała o to, bym wyróżniała się na tle innych, wstydu natomiast, bo... to wyróżnianie się nie zawsze było dla mnie miłe. Czasem czułam się tak bardzo wyobcowana spośród grupy rówieśników, że skłonna byłam zamienić swoje wyszukane ubrania na zwyczajne, tanie i praktyczne ciuchy większości moich kolegów. Mama jednak bardzo lubiła podkreślać moją wyjątkowość, jak to się dzisiaj mawia, oryginalnymi stylizacjami. Nie wspomniałam jeszcze, że moje przyjaciółki z czasów przedszkola, Ela i Beata, znalazły do wspólnych zabaw inną dziewczynkę, a ja miałam teraz za całe towarzystwo pianino i panią Teresę. I babcie, rzecz jasna.

Rozdział 3

Babcia Aniela



Trzymanie języka za zębami i posługiwanie się półprawdami nauczyła mnie babcia. Nie wpajała mi oczywiście tych rzeczy wprost, robiła to albo za pomocą sprytnych aluzji, albo na zasadzie prezentacji, czyli żywego przykładu. Być może taka dwoistość babcinej postawy nawet by mnie bulwersowała, gdyby najczęściej nie chodziło o mój własny interes. Babunia była kochana, często przymykała oko na to, co z pewnością nie uszłoby w obecności mamusi. Na więcej pozwalała, a jak było trzeba, ratowała z opresji. I kiedy, zagadane w drodze ze szkoły nie zauważyliśmy, że został mi na buzi ślad po czekoladzie, którą babunia częstowała mnie ukradkiem, tłumaczyła ten fakt na rozmaite sposoby.

– Oj, Marzenka, ty nie wiesz, że na plastyce się maluje papier, a nie własną gębę? – pytała na przykład z udawanym niesmakiem i ciach, szybciotko ścierała mi dłonią z twarzy ślady przestępstwa.

Mama zawsze dawała się złapać na takie i podobne drobne oszustwa babci, a wówczas jej oczy, groźnie wpatrzone w kąciki moich ust, łagodniały i tylko czasem komentowała:

– Jak będziesz oblizywać pędzel, zamiast zamoczyć go w wodzie, dostaniesz zajadów i staniesz się brzydka.

– Przepraszam, mamusiu – odpowiadałam pokornie i to załatwiało sprawę.

Mój układ z babcią był obustronny. Oczywiście żadna z nas nie ustalała reguł, powstał jakoś sam z siebie, intuicyjnie. Mama bowiem lubiła mnie podpytywać o różne babcine grzeszki, na przykład o czym rozmawiała z Lelkową, przyjaciółką z „kościelnej ławki”. Bo kiedy Lelkowa przychodziła do babci w odwiedzinie, obie bardzo szczerze dzieliły się sensacjami z życia miasteczka, a konkretnie jego mieszkańców. Lelkowa zresztą nie odwiedzała babci, gdy nie miała do przekazania jakiejś miejscowej rewelacji. Nie byłam pewna, czemu mamę tak to interesowało, być może nie lubiła, gdy plotkowało się o innych, ja zaś na wszelki wypadek zawsze twierdziłam, że nie słuchałam. Mamusia wówczas wyglądała na rozczarowaną, ale poprzestawała na tym, bo pewnie nie wypadało jej naciskać. Oczywiście ta umiejętność nie przyszła mi sama z siebie. Nigdy nie zapomnę, gdy kiedyś nieopatrznie powtórzyłam jej jedną z takich rewelacji, a mianowicie tę, że pani Siedlewska, przewodnicząca rady rodziców z naszej szkoły, jest „puszczalską krową po czterdziestce”.

– Czy ty wiesz, co to znaczy „być puszczalską”? – spytała mamusia,

przyglądając mi się uważnie.

– Nie, ale wiem, co to jest krowa – odparłam beztrąsko i wróciłam do swoich zajęć.

– A... puszczałką... z kim? Lelkowa nie mówiła?

W najlepszej wierze wyteżyłam całą swoją pamięć i wypaliłam:

– Ze starym bogatym dziadem.

– Jakim... dziadem?

– Z panem... panem... – usiłowałam sobie przypomnieć nazwisko – Sznurkiem! – wykrzyknęłam w końcu z satysfakcją.

– Może Szczurkiem? – podrzuciła mamusia, marszcząc brwi.

– Może Szczurkiem – zgodziłam się bez oporów.

– Jesteś pewna?

– Raczej tak – odpowiedziałam, odrobinę zaniepokojona.

– Raczej czy tak? – Mamusia potrząsnęła mną, trzymając za ramiona.

– Nie wiem. Nie pamiętam – tłumaczyłam się coraz bardziej przejęta.

Być może, gdybym nie czuła narastającej presji, przypomniałabym sobie nazwisko „starego dziada”, jednak w tej sytuacji pamięć całkowicie odmówiła mi posłuszeństwa. Tak czy inaczej, obiecałam sobie, że nigdy więcej nie dam się mamusi wziąć na spytki. Wtedy naprawdę pojęcia nie miałam, o co w tym wszystkim chodzi, ale zdawało mi się, że pani Siedlewska i pan „Sznurek” zrobili coś, co bardzo moją mamusię zbulwersowało. Rzecz jasna, szybko powtórzyłam naszą rozmowę babci, ta zaś skwitowała sprawę krótko:

– A, nos do dupy! Wiesz, Marzenko, nawet dobrze, że jej o tym powiedziałaś, niech ma.

– Co... niech ma?

– Niech ją ciekawość zeżre!

Czasem miałam wrażenie, że babcia Aniela ma do mojej mamusi jakieś niejasne pretensje. Albo że się jej wręcz boi, co było dla mnie jeszcze bardziej niepojęte. Kiedyś nawet dałam temu wyraz, pytając, czemu babunia po prostu nie nakrzyczy na swoją córkę, zamiast godzić się na jej wszystkie zakazy i nakazy. Babunia posmutniała i odparła:

– Bo nie krzyczałam na nią, jak była po temu pora, a teraz już niestety za późno.

Oczywiście nie rozumiałam babcinych słów i dziwiłam się im niepomiernie. Bo moja mamusia, tak doskonała pod każdym względem, musiała być również doskonałą córką. To nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości. Świat dziecka, jego sposób rozumowania polega bowiem na tym, że bez zastrzeżeń przyjmuje, co dla niego niepojęte. Ufa dorosłym bezkrytycznie i nie próbuje rozważać wypowiedzianych przez nich słów nawet wówczas, gdy wydają się dziwne lub całkiem sprzeczne z jego wyobrażeniami o świecie. Dlatego nieraz

zostawałam sama z niewiadomymi i nawet nie przyszło mi do głowy, by prosić kogokolwiek o ich wyjaśnienie.

– Aha – odpowiadałam zazwyczaj i na tym się kończyło.

Dorośli natomiast nie zawsze dlatego nie rozwijali tematu, że dziecko było dla nich nieodpowiednim partnerem do rozmowy. Po prostu sami już nie pamiętali, ilu rzeczy można nie wiedzieć, mając zaledwie kilka lat. Przekonałam się o tym, gdy urodziłam Piotrusia, a on zaczął w którymś momencie zadawać mi różne pytania. Może dziwniejsze niż ja zadawałam kiedyś, ale to wynikało z różnic w rzeczywistości, w których przyszło nam dorastać. Na przykład kiedyś, ni z tego ni z owego, spytał, jakie zwierzęta dają ziemniaki. To wtedy sobie uświadomiłam, że przecież dla małego chłopca nie wszystko jest tak oczywiste jak dla mnie, i że jeśli ktoś dorosły nie przekaże mu danej wiedzy, on jej po prostu nie będzie miał. Nie wszystkiego przecież mógł doświadczyć sam. Jako cztero- czy pięcioletek nie miał szans zobaczyć na własne oczy, skąd biorą się ziemniaki. Albo jeśli ktoś nie sprostuje jego błędnych wyobrażeń na jakiś temat, utkwia one w jego umyśle na wiele lat. Piotruś wiedział, że czereśnie rosną na drzewie, a ponieważ truskawki pojawiały się w sprzedaży mniej więcej w tym samym okresie, był przekonany, że i one rosną na drzewach. W chwili, gdy ta świadomość, poparta własnymi wspomnieniami, do mnie dotarła, postanowiłam dorastać razem z moim synkiem i patrzeć na świat z perspektywy wieku, w którym aktualnie się znajduje, szanować właściwe dla niego potrzeby, pragnienia, niechęci i lęki.



Babcia Aniela, dopóki wymagał tego mój wiek, zaprowadzała mnie do szkoły i odbierała z niej, przyrządzała i podawała posiłki, pilnowała, abym odrobiła zadania i przygotowała się do lekcji. Wiezorami, jeśli nie kolidowało to z moimi zajęciami w szkole muzycznej, zabierała mnie do kościoła na różne sezonowe nabożeństwa: „majowe”, „czerwcowe”, „rózańcowe”, drogę krzyżową, rekolekcje. Kościół był niedaleko i chętnie uczestniczyłam w życiu religijnym, stanowiło ono bowiem do pewnego czasu moją jedyną rozrywkę. Zapewne dziwnie to brzmi, ale tak faktycznie było. Po nabożeństwie wracałyśmy do domu nieśpiesznie, w towarzystwie babcinych koleżanek, czasem przysiadając gdzieś na ławce, gdy droga kończyła się szybciej niż najnowszy zestaw miejscowych niusów. Koleżanki babci zawsze miały w torebkach jakieś cukierki, którymi częstowały mnie hojnie. Ja zaś siedziałam sobie na skraju ławki, mając nogami i usiłując nadażyć za poszczególnymi wątkami relacjonowanych przez nie sensacji. Czasem, gdy coś wyjątkowo nie dawało mi spokoju, pytałam o to babcie, gdy już same pokonywałyśmy ostatni odcinek drogi do domu.

– Co to znaczy, babuniu, że pani Molkowa znów z brzuchem lata? – Zdanie jak zdanie, niby wszystkie wyrazy w nim zrozumiałe, ale ja w żaden sposób nie potrafiłam sobie uzmysłwić, że Molkowa mogłaby czasem latać bez brzucha.

– A... to... znaczy, że będzie miała dzidziusia. Szóstego, jak się nie mylę – odpowiadała babcia raczej zaskoczona tym, że coś z ich rozmowy utkwiło mi w głowie, niż zmieszana tematem.

– Aha – odparłam, bo już wtedy wiedziałam, że nienarodzone dzieci nosi się w brzuchu, więc wszystko stało się dla mnie jasne.

– Matce nie powtarzaj – dodawała babcia w podobnych sytuacjach, jednak nigdy mnie nie zbywała byle czym.

– No wiem przecież. Ale co z tego, że będzie miała szóstego dzidziusia, to źle?

– Pewnie, że źle. Bo kto to widział, żeby tak często dzieciśka rodzić, a potem nie mieć im czego do gąb powkładać.

– To dlaczego... pani Molkowa się na te dzieci zgadza? Nie mogłaby ich po prostu nie chcieć?

– Oj, pewnie, że chciałyby nie chcieć – zdenerwowała się babcia. – Ale co robi, jak już są, wydusi jak gawrony?

– Po co ma dusić? – dziwiłam się coraz bardziej. – Niech ich nie bierze do brzucha i już.

– Musiałyby najpierw zabić tego swojego capa – odparła babcia w jeszcze większych nerwach. – Bo cap to cap i zapamiętaj to sobie. Z takim do ładu nie dojdiesz.

O nic więcej już nie pytałam, bo problem zaczął mnie zdecydowanie przerastać. Tak się bowiem składało, że Molkowie trzymali kilka kóz, w tym dorodnego, rogatego samca. Gdybym nadal chciała drążyć ten temat, nawet pewnie nie wiedziałabym, o co zapytać. Za to na jakiś czas nabrałam podejrzeń, że liczba posiadanego potomstwa jest w jakiś sposób związana z kozami. To mi się zresztą nawet potwierdzało, bo ci, którzy w naszym miasteczku trudnili się hodowlą kóz, mieli zdecydowanie więcej dzieci niż inni. Nawiasem mówiąc, w moim rodzinnym miasteczku, a zwłaszcza na jego obrzeżach, żyło się całkiem jak na wsi. Nie było tu bloków mieszkalnych, szos, nowoczesnych osiedli. Były za to domy, głównie wielopokoleniowe, ale i coraz bardziej eleganckie, jednorodzinne wille. W przydomowych ogródkach często hodowano kury, w dwóch czy trzech gospodarstwach były kozy, na grządkach zaś, zdecydowanie częściej niż kwiaty – warzywa. Nieco inaczej przedstawiało się centrum: przestronny, prostokątny rynek z fontanną w środku i starymi kamieniczkami dookoła. Tu i w najbliższej okolicy znajdowało się wszystko, co o jego miejskości zaświadczało: kościół, poczta, dom kultury z kinem, szkoła podstawowa, szkoła muzyczna, a także jedyne w mieście liceum. Kościołów i szkół było u nas jeszcze kilka, ale te z rynku uchodziły za

najbardziej „prestizowe” ze względu na lokalizację. Nie było jeszcze gimnazjów, a ja należałam do ostatniego bodaj rocznika, który ukończył dawną ośmioklasową podstawówkę.

Piszę o tym wszystkim, żeby choć przez chwilę zastanowić się nad mentalnością mieszkańców podobnych miejsc, przez nie i dzięki nim ukształtowaną. Tu wszyscy ludzie się znali i nawet jeśli nie utrzymywali z sobą bezpośrednich kontaktów, doskonale wiedzieli, kto jest kim i z kim oraz gdzie mieszka. Znali jego wszystkie powiązania rodzinne. Na cenzurowanym był każdy, nawet jeśli była to osoba z jakichś przyczyn godna szczególnego szacunku, jak na przykład nauczycielki, lekarze, księża – o nich również mówiło się dużo i chętnie, tyle że o wiele ciszej. Wiem, bo przebywając dość często w towarzystwie babci i jej koleżanek, zaczęłam powoli rozróżniać wagę miejskich nowinek wyłącznie dzięki modulacji ich głosów.

Ale wracając do Molkowej... Pamiętam, jak jeszcze tego samego wieczora, leżąc w łóżku, zastanawiałam się, czemu jej sprawy tak bardzo poirytowały babcię, skoro ona nie miała z nimi w ogóle nic wspólnego. Może ze współczucia dla tych dzieci, które nie będą miały co jeść? W końcu babcia miała tylko mamę, a mama tylko mnie, jedzenia nam nie brakowało, więc coś musiało być na rzeczy... Uznałam wreszcie, że Molkowa jak najszybciej powinna pozbyć się przyczyny swej nędzy, czyli rogatego, czarnego capa. Nie, żeby od razu go zabijać, jak sugerowała babcia, ale może... komuś oddać? Komuś, kto wcale nie ma potomstwa albo jest na tyle bogaty, że mógłby wykarmić nawet kilkoro dzieci. Niestety, mimo doskonałego, jak uznałam, rozwiązania sprawy nie mogłam go pani Molkowej zasugerować. Miałam wówczas jakieś jedenaście lat i świadomość, że nikt dorosły nie potraktuje z powagą moich nawet najbardziej szlachetnych pomysłów...



Kiedy byłam w ostatniej klasie podstawówki, w rocznicę śmierci dziadka babcia zabrała mnie na cmentarz. Był październik, niedziela, pochmurny, dżdżysty dzień. Nie bardzo chciało mi się tam iść, ale mamusia miała tego dnia wyjątkowo dużo czasu dla mnie, obawiałam się więc, że każe mi ćwiczyć wprawki na pianinie i, co gorsza, będzie mi przy tym asystować. Nie przyjęła z zadowoleniem wiadomości, że wybieram się z babunią na grób dziadka.

– Albo pójdzie ona, albo ty – powiedziała babcia z wyjątkową pewnością w głosie. – W sumie racja, czemu ona ma iść, zawsze to córka ojcu bliższa niż wnuczka. To co, Joasiu? Zbieraj się, ja zaczekam.

– Ja... mam jeszcze trochę pracy... Idź, Marzenko, jeśli już tak bardzo chcesz – odparła mama i weszła do łazienki.

Założyłam na płaszczyk pelerynę przeciwdeszczową, babcia okutała mnie szalikiem i wcisnęła wełnianą czapkę niemal na oczy.

– Nie możesz się przeziębic przecież – skomentowała – boby się Joanna chyba wściekła...

– No to nie mogę – stwierdziłam i jeszcze szczelniej owinęłam szalik wokół szyi.

Na cmentarzu mimo niepogody spotkałyśmy kilka osób. Babcia na ucho tłumaczyła mi dość szczegółowo, kim są ci ludzie.

– Czemu żadna z tych osób ci się nie kłania? Są na ciebie złe? – spytałam w końcu zdziwiona.

– Ależ skąd – odparła babcia z rozbawieniem. – Ja po prostu tych ludzi kompletnie nie znam!

– Nie znasz? To skąd wiesz o nich tyle rzeczy?

– Och! – Babcia wzruszyła ramionami. – To są sprawy, o których akurat wszyscy wiedzą.

– Skąd? – dopytywałam.

– No... ten od tego, tamten od innego. W ten sposób się wiedzę o ludziach zdobywa.

– Ale jesteś pewna, babciu, że to wszystko najprawdziwsza prawda? – Po raz pierwszy sformułowałam pytanie, które od najmłodszych lat błąkało mi się gdzieś z tyłu głowy w podobnych sytuacjach.

– Czy... jestem pewna? – Babunia spojrzała na mnie, jakby mnie zobaczyła po raz pierwszy w życiu.

– No. A jeśli wszystko, o czym mi opowiedziałaś, to zwyczajne plotki?

– Aaa... – Babcia rozłożyła szeroko ręce. – Sama nie wiem... Tak czy inaczej, w każdej plotce jest podobno trochę prawdy.

– I twoim zdaniem to wystarczy, żeby z czystym sumieniem przekazywać ją dalej?

Babunia jako gorliwa i, w swoim przekonaniu, porządna katoliczka trochę się wówczas zmieszała. Mimo że już byłabym w stanie wdać się z nią w dyskusję jak równy z równym, nie zrobiłam tego, bo było mi jej zwyczajnie żal. Chyba dumiała nad moją wypowiedzią jeszcze przez jakiś czas, bo nijak nie potrafiła się skupić na modlitwie i co chwilę poprawiała kwiatki w wazonie, to znów ścierała dłonią krople deszczu z płyty nagrobnej lub wykonywała inne, mało logiczne czynności.

– Jaki on był dla ciebie? – Tym pytaniem spróbowałam sprowadzić jej myśli na właściwy trop.

– Twój dziadek? O, to był mężczyzna na schwał! – rozpogodziła się babunia.

– Pod każdym względem i... do każdej roboty.

Tu babcia jakby się zawahała, a jej wilgotne od deszczu policzki nabrały

wyraźnych rumieńców.

– Szkoda, że umarł, przy nim czułam się naprawdę kobietą – westchnęła.

– Teraz się nie czujesz?

– Nie. Jestem twoją babcią, matką twojej matki, koleżanką moich koleżanek, ale kobietą już nie.

– Jak to? – zdziwiłam się, bo dla mnie kobiecość była wówczas wyłącznie kwestią płci, a zatem czymś całkowicie bezdyskusyjnym.

– Za młoda jesteś jeszcze, żeby ci takie rzeczy tłumaczyć – odparła babcia, a ja, jak zwykle uznałam, że skoro niechcący wkroczyłam na teren dorosłych, muszę uznać taki argument i zakończyć dociekania. Czy nie byłam ciekawa, co kryje się za tajemniczymi słowami babci? Nie, nie byłam. Moje zaufanie do starszych było, jak już wspomniałam, całkiem bezkrytyczne, dlatego nie drażylałam tematów, które miały pozostać dla mnie niezrozumiałe. Bo i po co?

– W takim razie zmówmy pacierz za dziadka i wracajmy, bo zimno – zaproponowałam.

Po tej krótkiej wymianie zdań na jego temat babcia już bez problemu pogrążyła się w modlitwie.

– No dobrze, możemy iść – oznajmiła, przeżegnawszy się zamasyście. – Antoni to był naprawdę gość, nie to, co twój ojciec, świeć Panie nad jego duszą.

– Mojego ojca? Przecież on jeszcze żyje...

– Nie. Mojego Antosia. A czy twój ojciec żyje, czy nie, tego nie wie nikt, nawet on sam.

Na te słowa babci poczułam dreszcz grozy na całym ciele.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że mój tata to... nie mój tata?

– Ale skąd. Jasne, że twój, tylko że on za bardzo nie wygląda na żywego. Nie wydaje ci się czasem?

– Nie...

– To, że je, chodzi, śpi i pierdzi, jeszcze nic nie znaczy – stwierdziła babunia.

– Człowiek, który żyje, cieszy się, smuci, złości, a nawet wkurza. Zauważyłaś, żeby twój ojciec robił któreś z tych rzeczy?

– Mój tatuś jest człowiekiem poważnym i rozsądnym – stanęłam w jego obronie. – Nie chichocze więc i nie przeklina.

– Akurat – wywodziła babcia, drepcąc ostrożnie po śliskiej, błotnistej ścieżce. – Już on by rad poprzeklinał, ale do tego trzeba odwagi.

– Nieprawda. Tatuś jest kulturalny po prostu, a poza tym nie ma powodów, by przeklinać.

– Nie ma?! – Babunia zatrzymała się nagle. – Ech! On, jak by ci tu powiedzieć...

Ale wówczas jeszcze nie powiedziała. Machnęła ręką, wyduła pogardliwie usta i zamilkła.

Rozdział 4

Tatuś



Odkąd pamiętam, mój dom rodzinny był zawsze światem kobiet. Mamusi, babci – tak różnych i kontrastowych, a pomiędzy nimi i moim. Tatuś, jakkolwiek zawsze obecny, był gdzieś w tle. Nie absorbował sobą zbytnio ani mamy, ani babci. Zazwyczaj poważny i milczący, siłą rzeczy i dla mnie stanowił postać drugoplanową. Nie znaczy to oczywiście, że był dla mnie mniej ważny niż mama i babcia, on po prostu o tę uwagę w żaden sposób nie zabiegał. Nie rzucał się w oczy – to chyba najlepsze określenie. W dzieciństwie nie zastanawiałam się nad rzeczywistymi relacjami moich rodziców, było, jak było – bo widać tak być powinno. Tata, górnik z zawodu, a bardziej konkretnie geodeta pracujący w kopalni, odpowiedzialny za mapy i pomiary podziemnych wyrobisk, emerytem został, mając niewiele ponad czterdzieści lat. Odtąd całkowicie oddał się swojej nowej pasji, czyli pracy w przydomowym ogrodzie. A ponieważ oddawał się jej niemal w każdej chwili, nasz ogród był jednym z najpiękniejszych, jeśli nie najpiękniejszym w całym miasteczku. Mamusia, chociaż bardzo lubiła mieć wszystko najpiękniejsze, jakoś tego nie doceniała. Przeciwnie, odnosiła się do zajęć taty z wyraźnym lekceważeniem.

– Mężczyzna w twoim wieku, z taką ilością wolnego czasu, powinien zajmować się czymś... bardziej z klasą – mawiała. – Mógłbyś na przykład chodzić w góry, na basen, uprawiać jakiś sport. Nie są to rzeczy, które mogłyby cię przerastać. Jak na przykład opera, teatr, filharmonia... Naprawdę, niezręcznie mi mówić ludziom, że mój mąż zajmuje się na emeryturze sianiem pietruszki na grządkach.

– Nie mamy grządek w ogrodzie. Ani pietruszki – prostował zazwyczaj tata.

– Co za różnica? – kwitowała mamusia i odkładała ten temat na jakiś czas.

A ja uwielbiałam nasz ogród. Tata rzeczywiście miał rękę do roślin i doskonale wyczucie estetyki. W ogrodzie rosły piękne iglaki rozmaitego gatunku i koloru, krzewy ozdobne i kwiaty, a wszystko tak skomponowane, że gdy przekwitwały jedne rośliny, zakwitały następne. Dzięki temu od wczesnej wiosny po późną jesień ogród był pełen kolorów i różnych odcieni zieloności. Poza tym były tam ukryte w zakamarkach ławko-huśtawka i kamienny grill wyglądający jak prawdziwa studnia.

Z czasem, gdy do mamusi zaczęły docierać coraz częstsze zachwyty ze strony sąsiadów na temat naszego ogrodu, jej pogląd na zajęcie tatusia nieco

złagodniał. A kiedy przyjechała do nas lokalna telewizja, by zrobić z tatusiem wywiad o uprawie roślin ozdobnych, złagodniała na tyle, że w ogóle przestała mówić na ten temat.

Tatuś był dla mnie bardzo dobry i wyrozumiały. Niestety, nie potrafił o mnie walczyć, choć muszę przyznać, że jeśli kiedykolwiek postawił się mamie, zawsze chodziło o mnie. Były to jednak dość rzadkie akty buntu, niewystarczające, bym mogła czuć w nim bezwzględne oparcie.

Uwielbiałam natomiast, kiedy byliśmy sami. Robiliśmy wówczas różne zakazane rzeczy: jedliśmy niezdrowo, ucinaliśmy sobie poobiednie drzemki, graliśmy w warcaby, oglądaliśmy mało ambitne filmy i durnowate komedie, zaśmiewając się do rozpuku. Wiele bym dała, żeby tatuś był taki na co dzień, jednak w obecności mamy czy babci natychmiast przyjmował swoją stałą pozę – wycofywał się. Z czasem zaczęłam mieć o to do niego żal, co oczywiście nie znaczyło, że przestałam go kochać.

– Twój ojciec to dupa. Dupa nad dupami – mawiała o nim babcia, robiąc mi takimi uwagami ogromną przykrość. – No, co się tak patrzysz? Widziałaś kiedy, żeby facet tak pozwolił sobą kręcić?

– Przecież ty sama nim kręcisz – odpowiadałam z urazą.

– A kręcę, bo on się sam o to prosi. Każda dupa musi mieć przecież głowę, nie uważasz?

– No więc czego byś ty chciała, babciu? Żeby to on rządził mamusią? Żeby krzyczał na nią? Zabraniał czegoś? Źle życzysz własnej córce?

– A, nie! Ja jej życzę dobrze właśnie. Bo twoja mamusia potrzebuje silnego faceta, takiego, co by jej wszystkie klepki we łbie ułożył jak trzeba. Wtenczas i jej by było lepiej, choć sama o tym nie wie.

– Bo co? Dziadzius Antoś ci klepki układał? – pytałam złośliwie.

– Ja, moje dziecko, zawsze wszystko miałam na swoim miejscu, nie tylko klepki. – Babcia wzruszała ramionami jakby ze wzgardą.

Naprawdę źle się czułam z taką opinią babci o tatusiu. Moim zdaniem relacje między rodzicami wynikały ze swego rodzaju kompromisu, ugody, dzięki której oboje czuli się spełnieni. Mama, jak to się mawia (choć w tym przypadku może nieco na wyrost) brylowała na salonach, to znaczy obracała się w towarzystwie śmietanki naszego miasteczka: lekarzy, nauczycieli, artystów, tata zaś, który nie gustował w rozrywkach towarzyskich, nie miał nic przeciwko temu i zajmował się sam sobą. W sensie dosłownym: sam dbał o swoją garderobę – prał, prasował, przyszywał guziki – sam też robił sobie śniadania i kolacje, bo obiady gotowała babcia. I nie wyglądało na to, że przeżywa z tego powodu jakiś dramat. Dlatego zawsze wkurzało mnie, gdy babcia mówiła o nim coś niepoehlebnego. Nawet jeśli sama oczekiwałam od niego czegoś więcej dla siebie, byłam gotowa bronić go ze wszystkich sił. Tatuś był taki... delikatny, uczuciowy. Pochylał się nad każdym

najmniejszym zwierzątkiem... Nawet krety, które niszczyły od czasu do czasu jego równiutki trawnik, mogły czuć się u nas w ogrodzie bezpieczne. Nigdy nie wysypywał na nie trutek, nie tępił ryjówek, nie przeganiał szpaków. Uważał, że każde żywe stworzenie ma prawo do spokojnej egzystencji, z którego – jak mi się dzisiaj wydaje – i on na podobnych zasadach nade wszystko pragnął korzystać.

– Wiesz malutka... – powiedział mi kiedyś ni z tego, ni z owego – człowiek potrzebuje w życiu różnych rzeczy: jeden takich, drugi zupełnie innych. A jeśli ktoś nie potrafi zaakceptować tych różnic, powinien dobierać się w pary z kimś dokładnie takim samym jak on.

– Mówisz o mamusi i o sobie? – spytałam, ponieważ to jego wynurzenie miało miejsce zaraz po tym, jak mama bezskutecznie usiłowała namówić go na wyjście do opery.

– Tak sobie mówię – odparł tata. – Ogólnie.

Nie dałam się zbyć tą odpowiedzią.

– Byłbyś szczęśliwy, gdyby mama dłużyła razem z tobą w ogrodzie albo gdybyś lubił jak ona chodzić do teatru?

– Nie wiem. Nie umiem sobie tego wyobrazić, po prostu. A poza tym ja jestem całkiem szczęśliwy. – Uśmiechnął się i przytulił mnie do siebie.

Dziś myślę, że do pewnego czasu rzeczywiście był. Bo zminimalizował swoje potrzeby do tej jednej, którą zdołał zaspokoić, czyli świętego spokoju. Gdy zaczęłam dorastać, coraz częściej świadomie przyglądałam się stosunkom panującym w mojej rodzinie, próbując dociec, czy moi rówieśnicy są w podobnej sytuacji. Nie miałam już niestety wówczas koleżanek, mogłam się więc opierać na przypadkowo usłyszanych opiniach w szkole albo na wspomnieniach z czasów, gdy odwiedzałam Elę i Beatę. Z tych pobieżnych przesłanek wynikało, że w moim domu panowała zdecydowanie większa równowaga: każdy znał swoje miejsce, wszystko szło zazwyczaj utartym torem, nie było kłótni, podniesionych głosów, co jednak nie oznaczało, że panowała w nim idealna zgoda. W innych rodzinach domownicy się sprzeczali, bywały ciche dni, dzieci dostawały regularne szlabany. Osobiście nie umiałam sobie wyobrazić, bym mogła zrobić coś takiego, by zostać ukaraną na przykład zakazem oglądania telewizji czy wychodzenia z domu. Z drugiej zaś strony, w moim przypadku trudno byłoby mnie karać w ten sposób, ponieważ od najmłodszych lat oglądałam telewizję rzadko i w dodatku głównie pozycje, które zalecała mamusia. Trudno ukarać dziecko zakazem obejrzenia koncertu chopinowskiego albo wychodzenia do kościoła...

A kiedy w wieku dojrzewania przyszła pora na zadanie sobie odwiecznych pytań: kim jestem, skąd i dokąd zmierzam, stanęłam w obliczu nie lada dylematu. Bo nie miałam pojęcia ani kim jestem, ani jaka jestem, ani czego pragnę. Naprawdę. Nie potrafiłam oddzielić swoich pragnień od pragnień mamy, jej opinii i poglądów na świat od swoich. Mimo że znacznie więcej czasu spędzałam

z babcią, a nawet, ku własnemu zaskoczeniu, gdy się nad tym głębiej zastanowiłam – z tatą, to mama miała na mnie największy wpływ. Być może była „najsilniejszym ogniwem”, samicą alfa, za którą podąża się nie wiadomo czemu. Bo instynkt tak każe.



Tatuś odszedł od nas dokładnie w moje czternaste urodziny. Wyglądało na to, że dokładnie zaplanował sobie i dzień, i godzinę. Czy zauważyłam wcześniej coś, co mogłoby na to wskazywać? Nie. No, może w samym dniu urodzin, ponieważ tatuś był o wiele bardziej wyluzowany niż zwykle. Nie założył garnituru, białej koszuli i krawatu, jak to było w zwyczaju podczas każdej naszej rodzinnej uroczystości. Założył dżinsy i niebieską koszulę wyrzuconą na spodnie, z rozpiętymi guzikami pod szyją. Jakby chciał przygotować sobie grunt pod to, co miało się stać, czy też dodać sobie odwagi.

– Ubierz się, Czesław – zgromiła go mama w przelocie. – Zaraz przyjdą goście.

Goście, czyli znajomi mamy.

– Jestem ubrany – odparł tata i z całą swobodą zwinął plasterek szynki z półmiska trzymanego przez mamę w rękach.

– Co ty do jasnej chol... choinki wyprawiasz? Dochodzi siedemnasta! – oburzyła się mamusia.

– Owszem, dochodzi. – Tatuś rzucił okiem na zegarek. – A zatem pośpiesz się, Joasiu, jeszcze musisz pokroić ciasto.

– Słuszna racja – poparła go babcia radośnie. – Krój to ciasto, Joanno, ja ułożę na stole sałatki.

– Sama ułożę – odparła mama kwaśno. – Spóźnisz się na różaniec do kościoła.

– A ja myślę, że różaniec nie zajac – oznajmił tatuś i swoje poglądy wyjaśnił babci bezpośrednio. – Czternaste urodziny wnuczki obchodzi się raz w życiu, a różaniec klepią w kościele w koło Macieju.

– Czy ja wiem? – spytała babcia kokieteryjnie, gdyż zazwyczaj bywała z takich imprez wykluczana. – W sumie Czesław ma rację, jak mało kiedy. Co o tym sądzisz, Marzenko?

– Ja? Ja zapraszam cię, babciu, z całego serca! – Ucieszyłam się z możliwości podjęcia decyzji.

Mamusia jej nie skomentowała. Może tylko bardziej nerwowo zaczęła krążyć pomiędzy kuchnią i salonem... Niestety, ta akurat impreza okazała się chyba najgorszą w jej życiu. Nieraz musiała żałować, że straciła czujność i w porę

nie ustawiła nas wszystkich do pionu.

– Dajże spokój, Marzenka, z tym pogrzebowym graniem – odezwała się babcia po toście, torcie i dwóch pierwszych utworach w moim wykonaniu. – Zagrajże coś dla ludzi, jakieś *Sokoły*, albo chociaż *Gdy strumyk płynie z wolna!*

Udzieliła mi się ta niezwykajna niesubordynacja rodziny i nie czekając na przyzwolenie mamusi, wyrąbałam na pianinie *Szła dziewczeczka do laseczka*. Goście, początkowo zdeorientowani, powoli wczuli się w nastrój i zaczęli podśpiewywać.

– No widzisz, dziecko, takiej rozrywki potrzebuje człowiek, a nie rzępolenia bez ładu i składu – pochwaliła mnie babcia, po czym opowiedziała kawał o kucharce, która upadając nieszczęśliwie na wykafelkowaną podłogę w kuchni, przyssała się do niej krocem. Po kolejnym kawale w podobnym stylu mama spróbowała złapać babcię za łokieć i wyprowadzić z salonu, ale ta, zręcznie gestykulując, udaremniła jej ów zamiar. Wypito wówczas znacznie więcej, niż przewidziano, wysłuchano repertuaru, o którym mamusia jak najszybciej chciałaby zapomnieć, opowiedziano dziesiątki pikantnych dowcipów.

W rezultacie mój czternasturodzinowy koncert muzyki poważnej skończył się swojską biesiadą, z której rade było nawet doktorostwo, prawnik z małżonką, a już najbardziej szef mamusi z pracy z młodziutką konkubiną. Nawet tatuś bawił się świetnie. A kiedy wyszedł już ostatni gość, mama stanęła pomiędzy nami we wzniosłej pozie i oznajmiła, że niestety, ale „musimy sobie coś wyjaśnić”.

– No to wyjaśniaj – odparła babcia – a ja tymczasem pozmywam w kuchni.

– Mamo, proszę zostać! – zarządziła mamusia. – Chyba nie myślicie, moi drodzy, że pozostawię wasze ekscesy bez komentarza?

– A po cholere mnie twój komentarz? – prychnęła babcia i skierowała się do kuchni. Tatuś poszedł za nią.

– Marzenka! Siadaj! – zażądała mamusia, gdy na placu boju zostałam już tylko ja.

Usiadłam pokornie, przelękniona tym, co mnie czeka. W tym momencie z kuchni wrócił tatuś.

– Ty też usiądź, Joanno, bo to ja dziś będę przemawiał.

Mama, bardziej z powodu szoku niż posłuszeństwa, zajęła miejsce obok mnie na kanapie.

– Jeszcze raz wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, córeczko – najpierw zwrócił się do mnie – ale ponieważ i sobie nie życzę najgorzej, postanowiłem odejść z tego domu.

Na te słowa babcia, która najpewniej już od jakiegoś czasu stała z uchem przy drzwiach, błyskawicznie dołączyła do naszego szeregu na kanapie. Na jakiś czas zapanowała idealna cisza.

– C... co ty mówisz, Czesław? – spytała wreszcie mama, rozglądając się dokoła, jakby miała nadzieję, że mówi to ktoś inny, nie jej cichy i pokorny mąż.

– Nie myśl, Marzenko, że odchodzę od ciebie – tata w dalszym ciągu zwracał się wyłącznie do mnie. – Jesteś i będziesz moją córką, zawsze możesz na mnie liczyć, może nawet bardziej niż dotychczas.

– Tatusiu... – wyszeptałam przerażona.

– No, Czesiu, chyba bym się prędzej lumbago spodziewała niż takiej decyzji z twojej strony – powiedziała babcia jakby z podziwem w oczach. – Ale gdzie się ty teraz podziejesz, nieboraczkę?

– Bez obawy, mamó, pod most nie pójde – odparł tata coraz bardziej zadowolony z rozwoju sytuacji.

– Nie... nie zrobisz mi tego – odezwała się mama martwym głosem.

– Owszem, Joasiu, zrobię. W pewnym sensie już zrobiłem. Spakowałem walizki, czekają na mnie w garażu.

– Nie weźmiesz z sobą samochodu! O, co to, to nie! – Mama powoli odzyskiwała wigor i kolory na twarzy.

– Wezmę. Tobie nic po nim, nie masz przecież prawa jazdy. W zamian za to nie będę się upominał o podział pozostałego majątku.

– Po... podział majątku?

– Nie będę, przecież mówię. Samochód z pewnością nie zrekompensuje mi tego, co zostawiam tobie, więc tylko na tym zyskujesz.

– Czesiek, do jasnej cholery, ocknij się wreszcie! Wytrzeźwiej! Tak... Na pewno za dużo wypieś. Ale to oczywiście mamy wina, mama zawsze wprowadza jakiś nieprzewidziany bajzel w pokój tego domu. I drastyczne rozluźnienie obyczajów! – zmieniła front mamusia i napadła na babcię.

– Nie, Joanno. Twoja mama nie ma z tym nic wspólnego. Walizki spakowałem wcześniej rano.

– Marzenka, na miłość boską, powiedz coś! – Teraz przyszła kolej na mnie.

– No? Raz w życiu powiedz coś sensownego!

Milczałam. Tatuś chodził po pokoju tam i z powrotem, babcia uśmiechała się pod nosem z jakąś dziką satysfakcją, a biedna mamusia coraz bardziej odchodziła od zmysłów. A kiedy zaczęła omdlewać, jak to jej się przydarzało w chwilach zdenerwowania, tatuś wziął płaszcz, kapelusz i wyszedł. Po chwili dał się słyszeć warkot zapalanego silnika. Babcia podbiegła do okna.

– A niech mnie kaczki zdepczą – powiedziała. – Mój zięć naprawdę sobie poszedł!

– Mamó!!! – wrzasnęła mamusia nad wyraz gromko jak na swój stan. – Czy ty naprawdę nie widzisz dramaturgii sytuacji? Właśnie porzucił mnie mąż! Zabrał samochód i... Bóg wie, co jeszcze zabrał, i odjechał w siną dal! A ty co? Czemuś nic nie zrobiła? Czy ja w ogóle mogę, czy kiedykolwiek mogłam na ciebie liczyć? Jak ja się ludziom teraz na oczy pokażę... No nie, nie wierzę... Czesiek mnie zostawił. Czesiek mnie! Rozumiesz?

– Rozumiem – odparła dość bezmyślnie babcia.

– A ty? Jak się z tym będziesz czuła, siedząc ze swoimi koleżankami na ławce pod kościołem?

– A co ja mam z tym wspólnego? – Babcia wzruszyła ramionami. – To ciebie chłop zostawił, nie mnie. Chodź, Marzenko, pójdziemy się pomodlić. Twoja mama chce pewnie teraz zemdleć sobie w spokoju.

Mama pogasiła światła w całym domu i zamknęła się w sypialni. Babunia wróciła na paluszkach do kuchni i przyniosła kawał mojego urodzinowego tortu, nalewkę wiśniową i dwa kieliszki.

– Na osłodę – oznajmiła i napełniła kieliszki nalewką.

– Ale ja... nie mogę... Nie mam jeszcze osiemnastu lat – wyjąkałam skonsternowana.

– No to co z tego? Sytuacja cię usprawiedliwia. – Babcia uniosła w górę swój kieliszek. – Pij!

– Przecież... ślubowałam przy pierwszej komunii...

– Księdzu ślubowałaś, nie Bogu. No, chlup!

Wypiłam posłusznie aż do dna i natychmiast poczułam w całym ciele błogie ciepło. Moje myśli powoli przestawały krążyć wokół zaistniałej sytuacji, a po trzecim kieliszeczku zrobiłam się nagle bardzo senna. Poszłam do siebie i nie zdejmując odświętnej sukienki, położyłam się spać. Nazajutrz nie poszłam do szkoły. Zaspałam, a nikt mnie nie obudził. Dom sprawiał wrażenie wymarłego co najmniej do południa. Najchętniej nie wyściubiałabym nosa ze swojego pokoju, ale w końcu głód i pragnienie zmusiły mnie do opuszczenia „bezpiecznej przystani”. Najciszej jak umiałam, wzięłam kąpiel i w szlafroku wśliznęłam się do kuchni. Przy stole siedziała babcia i wcinała wczorajszą sałatkę w kurczakiem na zimno.

– Zaspałam do szkoły – powiedziałam zawstydzona.

– Nie szkodzi. Specjalnie cię nie budziłam – oznajmiła babcia. – Zjesz coś?

Zamiast odpowiedzieć nałożyłam sobie na talerz sałatkę, ale zanim zaczęłam jeść, ugasiłam pragnienie prawie całą butelką coli. Babcia nie skomentowała.

– Wobec tego jeszcze trochę pośpię, a potem muszę się jakoś pozbierać przed lekcją fortepianu. Pani Teresa przychodzi dzisiaj po szesnastej. – Westchnęłam, bo bardzo mi się chciało przeleniuchować dzisiejszy dzień w całości. – A właśnie, nie wiesz czemu nie było jej wczoraj na moich urodzinach?

– Nie było jej wczoraj i dam głowę, że dziś też jej nie będzie – odparła babcia.

– Czemu? Jest chora?

– Przeciwnie, jest bardzo, baaardzo zdrowa... – Babcia robiła się coraz bardziej tajemnicza.

– Nie rozumiem...

– Po prostu matka ci będzie musiała znaleźć nową nauczycielkę brzdąkania.

Dla jej i swojego dobra.

– Ba... babciu... Czy... pani Teresa... ma coś wspólnego z odejściem tatusia? – Nagle coś mi zaczęło świtać.

Słowa babci sprawiły, że zaczęły mi się przypominać różne sytuacje z tatusiem i panią Teresą, które wówczas nie wydawały mi się niczym nadzwyczajnym. Promienny uśmiech taty, gdy witał ją w drzwiach, jego niecodzienny wygląd w tych dniach: džinsy i koszula o sportowym kroju, jej rumieńce na twarzy, gdy przynosił kawę w porcelanowej filiżance, coraz krótsze spódniczki i głębsze dekolty, ich długie rozmowy w kuchni po każdej lekcji – na mój temat, jak wówczas sądziłam. A kiedy pani Teresa zmieniła uczesanie i kolor włosów, pomyślałam, że pewnie w końcu kogoś ma...

– Tak myślę. Właściwie jestem pewna – potwierdziła moje domysły babcia.

– Mamusia o tym wie?

– No co ty. Ona nie widzi niczego poza czubkiem własnego nosa. I myślę, że im później się dowie, tym lepiej dla niej. To by ją zdecydowanie przerosło.

– Że tata zostawił ją dla innej kobiety, a nie ot tak sobie?

– Właśnie. A dokładniej, że zamienił ją... na gorszy model. W każdym razie jeśli chodzi o karoserię, bo pod maską ta cała Teresa ma na pewno o wiele więcej koni niż twoja matka.

Poczułam, że się rumienię, bo byłam już na tyle „dorosła”, by rozumieć pewne aluzje babci.

– Babciu... ty nie lubisz mojej mamusi, prawda? – zadałam jej w końcu pytanie, które już wiele razy wcześniej cisnęło mi się na usta.

– Joanna jest moją córką i kocham ją. Ale masz rację, że jej nie lubię.

Rozdział 5

Mamusia



Moja matka Joanna Eleonora Bzowska-Jedlińska była z całą pewnością kobietą nietuzinkową. Jakkolwiek by to interpretować. Nie ulegał najmniejszej wątpliwości fakt, iż posiadała nieprzeciętną urodę: była wysoka i zgrabna, o pięknych, bujnych włosach w kolorze aktualnych trendów mody i twarzy, którą natura wyposażyła we wszystko, o czym inne kobiety mogły tylko pomarzyć. A zatem oczy: ogromne, szafirowe w oprawie ciemnych, długich rzęs, nos – idealny, bez rozwodzenia się nad szczegółami i pełne, zmysłowe usta, a wszystko to osadzone w owalu, którego zupełnie nie zakłócał nieco spiczasty, ale świadczący o zmysłowości podbródek. Mama umiała podkreślać atuty swojej urody w jakiś taki niewymuszony, ale zawsze doskonale wymakowany sposób. I nie chodziło tylko o styl ubierania się, choć w tym akurat była mistrzynią, ale też o operowanie wrodzonymi wdziękami: sposobem poruszania się, gestykulacji, spojrzenia, modulacji głosu. Od czasu do czasu mama żądała, bym stanęła przed lustrem, sama zaś stawała za mną.

– Robisz się coraz bardziej podobna do mnie, Marzenko – mawiała. – Wyrośniesz na piękną kobietę, ale nie zmarnuj tego, proszę.

– To znaczy... że co ja mam robić? – spytałam któregoś razu.

– Uroda to bardzo dużo, ale nie wszystko. Żeby żyć godnie, trzeba być kimś. Wiesz, jak tylko się urodziłaś, rozważałam dla ciebie dwie drogi kariery: muzyczną albo prawniczą, gdyby się okazało, że nie odziedziczyłaś po mnie zdolności artystycznych. Jednak, dzięki Bogu, bo modliłam się o to nieustannie, masz i słuch, i talent. Będiesz wielką pianistką, zobaczysz. Już ja o to zadbam.

Nie wypowiedziałam się na ten temat, ale słowa mamy dość mocno mnie zaniepokoiły. Było w jej głosie tyle determinacji, tyle zacięcia, że przeszły mnie dreszcze.

– I jeszcze jedno, córko – dodała mama po chwili. – Zawsze musisz otaczać się odpowiednimi ludźmi, starannie dobierać znajomych. Równać do lepszych od siebie. Tylko wówczas zyskasz szacunek i podziw, ludzie będą ci zazdrościć i zabiegać o twoje względy. Ja w twoim wieku byłam za głupia na takie wnioski, a niestety nie miałam nikogo, kto mógłby nauczyć mnie życiowej mądrości.

– A... babcia?

– Twoja babcia?! – prychnęła mamusia i to była cała jej odpowiedź.

Od kiedy sięgam pamięcią, trwałam w nieustającym zachwycie nad swoją

rodzicielką. Później nieco, gdy wrodzony wszystkim dzieciom bezkrytycyzm zaczęły wypierać pierwsze próby analizowania rzeczywistości, nastąpiło zdziwienie, skąd TAKA kobieta pośród nas? Bo przecież ani babcia, ani tata, ani ja, przy największych chęciach i poświęceniu nie sprawialiśmy wrażenia godnych jej pod jakimkolwiek względem. Kiedy byłam starsza, od czasu do czasu zastanawiałam się, czy aby mama nie jest adoptowanym lub choćby nieślubnym dzieckiem. Przecież babcia i jej nieżyjący mąż byli ludźmi prostymi, bez większych życiowych aspiracji. Mamusia przeciwnie, ale najwyraźniej dziadkowie jej w tym nie wsparli. Może nie mieli pieniędzy, by posłać ją do akademii muzycznej, o której niegdyś tak bardzo marzyła? A może po prostu zignorowali pragnienia córki? Od zawsze miałam bowiem jakieś niejasne wrażenie, że obie, i mama, i babcia, mają do siebie o coś poważne pretensje. Nie pytałam o to. Mama z pewnością by mi nie odpowiedziała, babcia pewnie tak, ale chyba wolałam nie wiedzieć. Inna rzecz, że sprawa wyjaśniła się niejako sama dużo później, a ja podziękowałam Bogu, że nie stało się to wówczas, gdy byłam o wiele za młoda, żeby móc pogodzić się z pewnymi faktami...

Mama co prawda ukończyła tylko technikum gastronomiczne i od lat pracowała jako kelnerka w hotelu Europa, jednak z jej sposobem bycia, mówienia, znajomością form i elegancją mogłaby swobodnie konkurować z niejedną światową damą. Nic dziwnego, że cierpiała katusze w czasie rodzinnych imprez, na których w żaden sposób nie mogła pominąć rodziców. Babcia – jak już wcześniej wspomniałam – mająca sobie za nic jej prośby i zakłęcia, zawsze wyrwała się z czymś takim, co przyprawiało mamę o szkarłat na twarzy, a potem o nieprzespaną noc. Dziadka nie pamiętam zbyt dobrze, i ten jednak miał swoje nawyki, całkiem nie do przyjęcia w pewnych okolicznościach. Na przykład nigdy nie rozstawał się z ulubionymi oficerkami i zielonym kapelusikiem z bażancim piórem. Jakkolwiek by dziadka odziać, te elementy jego stroju pozostawały niezmiennie – ku uciesze babci, która uwielbiała małżonka w takim wydaniu. Dziadek nie rozstawał się też ze strzelbą myśliwską, ale tę pozwalał sobie czasem odebrać, nie zabierał jej na przykład na uroczystości do kościoła. Z wyjątkiem ślubnej mszy moich rodziców, na wypadek gdyby tata się rozmyślił... I nie jest to mój wymysł, owo zdarzenie do dziś krąży w rodzinie jako anegdota.

Z czasem mamusia pozbyła się wszelkich skrupułów i gdy dziadek zmarł, po prostu na żadne uroczystości rodzinne babci, delikatnie mówiąc, nie zapraszała. Ostatnim przyjęciem z jej udziałem była stypa po pogrzebie dziadka. W ten sposób moja rodzina podzieliła się funkcjami i obowiązkami, które odtąd stały się niepisany kodeksem domowym. I tak: rano moim wychowaniem zajmowała się babcia, do południa szkoła, po południu mama, wieczór był dzielony na pół. Babcia mnie budziła, robiła śniadanie, zaprowadzała do szkoły, a potem gotowała obiad. Mama asystowała mi zazwyczaj przy nauce gry na pianinie, po lekcji babcia

zabierała mnie do kościoła, po powrocie z kościoła mama szykowała kolację. Tak wykwiutną i elegancką, jakbyśmy mieli gościć na niej nie wiadomo kogo. To nie był tylko posiłek, kolacje miały głównie aspekt wychowawczy, dla mnie i dla tatusia. Tata co prawda nie zachowywał się publicznie w sposób, który przynosiłby mamie ujmę, bo... z reguły w ogóle się nie zachowywał. Siedział sztywno i milcząco, czasem coś przekąsił lub wypił. Niepublicznie zresztą też, bo identyczną postawę przyjmował w czasie kolacji we trójkę. Co innego, gdy zostawał już tylko ze mną, gdy mama szła na noc do pracy. Wówczas po wieczerzy złożonej z filiżanki barszczyku z krokietem lub kilku kolorowych tartinek smażył sobie jajecznicę na boczku i zjadał ją prosto z patelni. Chętnie brałam udział w tych jego ucztach, choć potem każdorazowo gryzło mnie sumienie i bolał żołądek. Szczerze mówiąc, oba te uczucia towarzyszyły mi bardzo często w dzieciństwie i wieku dorastania. Bo w moim domu nie dało się prowadzić jawnego życia, akceptowalnego przez wszystkich jednocześnie. Albo żyło się „po mamusinem”, albo „po babcinemu”. Dlatego wiecznie trzeba było coś ukrywać to przed jedną, to przed drugą stroną. Tatus był neutralny: nie potępiał, nie chwalił, ale co najważniejsze – zawsze zachowywał dyskrecję.



Po odejściu taty mamusia stała się jakby bardziej zamyślona, roztargniona. Zamierzałam napisać, że smutna, ale teraz właśnie uświadomiłam sobie, że ona nie bywała smutna. Zdenerwowana – owszem. Zła, gdy stało się coś nie po jej myśli. Obrażona. Ale smutna? Żadnego z jej widocznych gołym okiem stanów emocjonalnych nie mogłabym tak określić.

W każdym razie od moich pamiętnych urodzin co nieco się w naszym domu zmieniło. Mama wolne chwile spędzała w swoim pokoju, przestała wychodzić na koncerty, do teatru i kina, a nawet na towarzyskie spotkania z „wysoko postawionymi” znajomymi. Inne rzeczy pozostały bez zmian: wciąż była piękna, swojego wyglądu nie zaniedbała ani ociupinkę. Nadal kładła ogromny nacisk na moją naukę gry na pianinie i dobre stopnie, jak dawniej trzymała babcię na dystans, choć ta z czasem zaczęła się chyba o nią martwić. Wysyłała mnie na przeszeptugi: a to z pytaniem, czy nie zechciałaby napić się herbaty albo czy nie podkręcić centralnego ogrzewania lub aby po prostu, bez owijania w bawełnę dowiedzieć się, jak się czuje. Niechętnie spełniałam te prośby babci, bo mamusię moje wizyty wyraźnie irytowały. W końcu zaparłam się i ostatecznie odmówiłam. Wówczas babcia wybrała się do mamy osobiście. Przesunęłam się cichutko w stronę drzwi z zamiarem podsłuchania ich rozmowy. Nie martwiłam się o mamę, bo według mnie nie należała do osób, które potrzebowałyby czyjejs troski, ale byłam

zwyczajnie ciekawa, jak się ta rozmowa potoczy.

– Joanno – zaczęła babcia dość cicho. – Co ty wyprawiasz? Nie możesz tak stronić od świata, przecież on nie skończył się z odejściem Czesława...

Mamusia milczała.

– Posłuchaj – ciągnęła babcia. – Nie będę ci tu dyrdymałów opowiadać, że jeszcze sobie z kimś życie ułożysz, bo zrobisz, jak zechcesz, ale póki co, musisz wrócić do życia. Ja też zostałam sama dość młodo, gdy Antoni zmarł, i wiem, jaka to tragedia, ale...

– Tragedia?! – wrzasnęła nagle mamusia, zbliżając się do drzwi, za którymi się skryłam. – Oszalałaś? Jaka tragedia? Myślisz, że ta łamaga była mi do czegokolwiek potrzebna? Gdyby nie ludzka opinia, sama bym go już dawno wystawiła za drzwi. I tego właśnie żałuję, bo to on wystawił mnie. Do wiatru i na pośmiewisko! Taki... nygus... chłopak-roztropek! Ale on nigdy nie umiał docenić domu, który mu stworzyłam, rodziny, którą mu dałam, ogłady, pozycji towarzyskiej, którą dzięki mnie zyskał... Twój mąż przynajmniej umarł, jak należy, i nie naraził cię na wstyd przed całym miastem! Choć robił to z powodzeniem za życia...

– Co ty mówisz... Joanno... – Babcia była wyraźnie poruszona. – Przynajmniej... umarł?

– A tak! Żeby Czesław chociaż wyjechał gdzieś do innego miasta, mogłabym powiedzieć ludziom, że do pracy, na kontrakt. Ale nie! Zainstalował się trzy ulice dalej u tej... podstępnej suki!

Mama widocznie dowiedziała się, do kogo tatuś się wyprowadził, i to musiało wstrząsnąć nią jeszcze bardziej, bowiem pierwszy raz w życiu usłyszałam w jej ustach podobne wyrażenia.

– Marzenka! – zawołała babcia, jednocześnie przywalając mi drzwiami w bark. – Chodź, dziecko, pójdziemy do mnie pomodlić się za twoją matkę! – I pociągnęła mnie za sobą.

– Gdybyś się mniej modliła, a więcej dbała o swój i mój los, z pewnością dziś inaczej by to wszystko wyglądało! – krzyknęła mama na koniec i zatrzasnęła drzwi.

Podreptałam za babcią posłusznie. Babunia sięgnęła do bieliźniarki i wyjęła stamtąd butelkę cytrynowki. Drżącą ręką napełniła kieliszki i wręczyła mi jeden z nich.

– Pij! – zarządziła.

Wychyliłam wódeczkę jednym haustem – znałam już ten smak.

– Babciu... jak ja się będę z tobą tak często modlić, to jeszcze popadnę... w dewocję – zauważyłam, prychnąwszy.

– Lepsza dewocja, taka czy inna, niż to chodzące nieszczęście moja córka.

– Mamusia jest dla ciebie nieszczęściem?

– Nie. Ona jest nieszczęściem sama dla siebie – odparła babcia. – No to na drugą nóżkę!

– Ja już może nie powinnam – zaprotestowałam niezbyt kategorycznie.

– Jak sobie chcesz, ja skorzystam – babcia napełniła jeden kieliszek.

Podsunęłam jej i swój. Wypiłam na raz, jak poprzednio, po czym zakręciłam butelkę i wsunęłam ją z powrotem do bielizniarki.

– I co teraz będzie, jak myślisz? – spytałam.

– Nic nie będzie. Joanna to twarda sztuka. Te jej fochy jeszcze chwilę potrważą, ale wszystko się unormuje szybciej, niż myślisz.

– To znaczy, że będzie jak dawniej, tylko bez tatusia?

– Z tatusiem czy bez tatusia, jego brak odczuje tylko chyba ogród.

– Nie bądź złośliwa, babciu!

– To nie złośliwość, to fakt. Idziemy na mszę? Jeszcze zdążymy.

– Pijane? – zapytałam zgorszona.

– Pan Bóg widział, jak żeśmy piły, więc się nie zdziwi.

W kwestiach religijnych babcia była ekspertką, a skoro dla niej nie stanowiło to problemu, uznałam, że chętnie się z nią przejdę. Tym bardziej że nabożeństwa w tygodniu były krótkie, bez kazań, ogłoszeń parafialnych i nie zbierano na tacę.

– Lubisz chodzić do kościoła, prawda? – zapytałam w drodze.

– Lubię, nie lubię, gdzieś przecież chodzić muszę – odparła babcia. – Nie będę się włóczyła po knajpach.

– Babuniu... czy ty jesteś tak naprawdę wierząca?

Babcia zatrzymała się gwałtownie.

– Oczywiście, że jestem wierząca! – niemal krzyknęła. – Jediną pewną sprawą na tym świecie jest Bóg i opatrzność Boska. Bez Boga ani od proga, jak to mawiają, i zapamiętaj to sobie, moje dziecko!

Zrobiło mi się głupio, bo przez chwilę podejrzewałam babcie, że traktuje wizyty w kościele wyłącznie jako rozrywkę. Ona jakby czytała w moich myślach.

– No wiesz... Owszem, do kościoła chodzę też towarzysko, nie powiem, że nie. Ale co w tym złego, jak jedno drugiemu nie przeszkadza? Na mszy się pomodłę, poproszę Boga o to czy owo, za to czy tamto przeproszę, a że później oddam się sprawom przyziemnym, ludzkim? Człowiek nie bałwan, musi mieć do kogo gębę otworzyć.

– Racja – przyznałam, choć ja oprócz babci nie miałam nikogo, z kim mogłabym się „oddawać sprawom przyziemnym”.

Gdzieś w połowie mszy babcia przysnęła. Spoglądałam na nią ukradkiem, zastanawiając się, czy taka śpiąca w kościele babcia też jest uznana przez Pana Boga za obecną, czy też nie. Ale gdy zaczęła chrapać, trąciłam ją dyskretnie w łokieć. Babunia natychmiast odnalazła się w rzeczywistości i podjęła śpiewaną właśnie przez wiernych pieśń, znacznie donośniej od innych, jakby dla

zrekompensowania Panu chwilowej niedyspozycji...

W drodze powrotnej dołączyły do nas koleżanki babci: Zofia Lelkowa, Halina Gryzło, Irena Oczkowska i – nie pamiętam imienia – niejaka pani Łączka.

– Podobno twoją córkę chłop zostawił, prawda to? – spytała bez wstępów Lelkowa.

– Tylko nie kręć Aniela, mów, jak jest, bo całe miasto już o tym gada – ponagliła Oczkowska.

– Skoro gada, to co ja mam tu jeszcze do dodania? – prychnęła babcia.

– No jak, co? Możesz uściślić fakty.

– A co tu uściślać? Wziął spakował manatki i poszedł. – Babcia była wyraźnie zła.

– No popatrz, popatrz, taka damula i jakoś nie była mężusiowi w smak – rzuciła Łączkowa, nawet nie próbując ukryć zadowolenia.

– Poszedł do nauczycielki muzyki!

– Skoro tak dobrze wszystko wiecie, to po co pytacie? – próbowała bronić się babcia.

– Bo może to nieprawda? Może on za granicę wyjechał? Do Paryża? – zachichotała pani Gryzło.

Babcia zrobiła się czerwona jak burak, po czym najwyraźniej się poddała.

– Joanna tak opowiada? – zapytała cicho.

– No już teraz może nie, bo za często twojego byłego zięcia na ulicy można spotkać. Z tą drugą pod pachę. Aż dziw, że jej jeszcze twoja Joanna nie otruła.

– Pewnie nie ma jak – podrzuciła Lelkowa. – Przecież jej na obiad nie zaprosi...

– Dajcie spokój, do cholery jasnej – spróbowała uciąć te radosne komentarze babcia.

– A pamiętasz Aniela, jak Szczurkowa o mało od zmysłów nie odeszła, jak... jak... – tu spojrzała z wahaniem na mnie – jak jej chłop zaczął na boki chodzić?

– Pan... Sznurek? – wyrwało mi się niechcący, ponieważ przypomniałam sobie, że mamusia kiedyś bardzo była oburzona jego postępami.

– Szczurek – poprawiła mnie odruchowo Łączkowa.

– Nie przy dziecku! – warknęła babcia i odciągnęła mnie na bok.

Poczułam się dotknięta. Nie tym, że nie mogłam już tak swobodnie słuchać ich wymiany zdań, ale że babcia nazwała mnie dzieckiem. Osoby zbliżające się do piętnastego roku życia są bowiem bardzo wrażliwe na tym punkcie. Teraz dochodziły do mnie tylko pojedyncze słowa, ale coraz żywsza gestykulacja babci ewidentnie świadczyła o rosnących w niej emocjach.

– Głupie pindy – podsumowała babcia, gdy już rozeszły się w dwie różne strony.

Było mi bardzo przykro. Koleżanki babci najwyraźniej cieszyły się z rozstania moich rodziców, jakby miały w tym jakiś własny interes.

Później nie zamieniłyśmy już ani słowa. Babcia szła ze spuszczoną głową, przez cały czas mamrocząc coś pod nosem. Ale za to gdy tylko weszłyśmy do domu, doznała przyływu niezwyklej energii. W kilku szusach pokonała schody i wpadła do kuchni, gdzie przy stole siedziała mamusia i w samotności spożywała kolację. Oprócz sałatki z kurczakiem i ananasem stała przed nią lampka czerwonego wina, paliły się świece. W czarnej koronkowej sukni z białą serwetą pod brodą mama wyglądała dostojnie i smutno.

– I ty masz czelność mi robić wyrzuty? – Babcia nawiązała do jej ostatnich słów przed naszym wyjściem.

Mama podniosła głowę znad talerza i spojrzała na nią zaskoczona.

– Sama sobie jesteś winna! – perorowała babcia coraz głośniejszym głosem. – Gdybyś nie była taka zakłamana, żyłoby ci się łatwiej. Może nie lepiej, ale łatwiej na pewno! Ile razy będę jeszcze świecić oczami za twoje łgarstwa? Odkręcać? Prostować? Czy ty naprawdę nie potrafisz żyć jak wszyscy? Od zawsze udawałaś kogoś, kim nie jesteś, i chyba pora się w końcu pogodzić z samą sobą, taką, jaką jesteś naprawdę: ze zwyczajną Joašką ze zwyczajnego domu, co to tylko wyżej sra, niż dupę ma!

Mamusia odłożyła serwetę i wstała. Zrobiła krok w stronę babci, a jej oczy ciskały pioruny. Przez chwilę myślałam, że ją uderzy. Ale nie zrobiła tego.

– Wyjdź stąd! – krzyknęła w moją stronę. A potem uderzyła mnie.



Po tym incydencie przeplakałam całą noc. Działy się w moim domu i wokół moich bliskich rzeczy, które przestawałam rozumieć. Przestawałam też rozumieć siebie – to, co czuję i dlaczego. Bardzo żał mi było mamusi, że została teraz taka samiutka, bez niczyjego wsparcia. Nawet nie gniewałam się na nią za ten policzek, bo rozumiałam, że to był tylko nieprzemyślany impuls, droga ujścia żalu i gniewu. Byłam zła na babcię i jej koleżanki za tę napaść na biedną mamę, a na tatę i panią Terenię, że zgotowali jej taki los. Wówczas dla mnie, widzącej i słyszającej tylko tyle, ile zdołałam zobaczyć i usłyszeć, zachowanie ludzi wobec mamusi było okrutne i niesprawiedliwe. Bardzo chciałam jej jakoś pomóc, ale nie miałam pojęcia jak. Zresztą, nawet jakbym miała, pewnie i tak nie odważyłabym się na zrobienie czegokolwiek – mama była od zawsze tak bardzo zdystansowana wobec nas – taty, babci, mnie, taka samodzielna i zaradna, że wszelkie próby nawiązania z nią bliższych relacji wydawały mi się co najmniej nietaktowne. To była w istocie bardzo silna kobieta i najwyraźniej podobnej siły oczekiwała od nas wszystkich,

dlatego nigdy nie zwierzałyśmy się jej z niepowodzeń, rozterek, nie prosiliśmy o radę. Hasła, które towarzyszyły jej od zawsze, to: „klasa” i „styl”. Całe życie mamy, taty i moje było im podporządkowane. Jedynie babcia otwarcie i jawnie żyła całkowicie po swojemu.

No właśnie, babcia... Jedyna osoba w rodzinie, która mogła sobie pozwolić na jakieś grzeszki, jedyna, z którą mogłam porozmawiać, o czym chciałam, a nawet pożartować i pośmiać się, ukochana moja babunia... Ale teraz czułam do niej wyraźną niechęć. Obie z mamą miały do siebie jakiś niezrozumiały dla mnie żal, ale czyj był bardziej uzasadniony – nie potrafiłam sobie odpowiedzieć. Moje serce przemawiało za mamusią, rozum i logika – za babcią. Jeśli chodzi o tatusia, kompletnie nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, jak mógł zostawić tak piękną i elegancką kobietę.

Te dylematy dręczyły mnie jeszcze długo i nie pozwalały spokojnie spać. Mniej więcej do czasu, gdy sama poczułam „zew natury”.

Rozdział 6

Dominik



Dominik chodził ze mną do jednej klasy przez całą podstawówkę. Swego czasu siedzieliśmy nawet w jednej ławce. Był chyba najpoważniejszym z moich rówieśników – dobrze się uczył, zachowywał grzecznie, nie „wyrażał się”, nie wdawał w bójki, nie zaczepiał dziewczynek. Myślę, że mieliśmy w klasie podobny status: ani on, ani ja nie utrzymywaliśmy bliższych relacji z rówieśnikami, oni również do nas nie lgnęli. Przyczyny były chyba całkiem różne: mnie uważano za tę „lepszą”, co to z byle kim się nie zadaje, on przeciwnie – pochodził z jednej z najbiedniejszych rodzin w miasteczku. Z tych, w których, gdyby przegonić z domu „capa”, przestałyby się rodzić kolejne dzieci. Teraz już potrafiłam zrozumieć przerośniętą, jaką posłużyła się niegdyś babcia, by wyjaśnić mi problem wielodzietności w niektórych rodzinach. Nie potrafiłam tylko dopasować tej filozofii do przypadku Dominika – jego rodzice (i piątki innych dzieci) nie przejawiali żadnych dewiacji, nie mieli nałogów, żyli zgodnie z przykazaniami boskimi i ludzkimi. Tyle tylko że bardziej niż skromnie. Schorowany ojciec z niewielkiej renty starał się utrzymać rodzinę, niepracująca matka dorabiała sprzątaniami. Bywało, że i u nas myła okna przed świętami albo pucowała cały dom, gdy zbliżało się jakieś ważniejsze wydarzenie towarzyskie.

Nasza przyjaźń z Dominikiem zaczęła się rodzić mniej więcej od piątej klasy. Prawda była taka, że ani ja nie byłam od nikogo lepsza, ani on gorszy. Mój dystans do wobec rówieśników wynikał jedynie ze stylu życia, jaki panował w mojej rodzinie – nic, co nie służyło rozwojowi jednostki, nie było mile widziane przez mamusię. A zatem płochy zabawy z dziećmi, ploteczki z koleżankami, że już o wyjściach na prywatki czy dyskoteki nie wspomnę – były czymś haniebnym i zakazanym. Dominik natomiast nigdy na nic nie miał czasu. Być może dzięki temu wyobcowaniu rozmawiało nam się razem lepiej niż z kimkolwiek innym. Chyba byliśmy też pod pewnymi względami dojrzałsi od rówieśników. Latem często długie przerwy spędzaliśmy razem w kącie szkolnego boiska i gadaliśmy „o życiu”. Dominik miał własne marzenia i plany, ja mogłam mu jedynie opowiadać o tym, jak widzi moją przyszłość matka.

– Wiesz, ja zostanę wielką pianistką, jak dorosnę. Będę koncertowała we wszystkich stolicach Europy, a kto wie, może i na innych kontynentach – powtórzyłam mu kiedyś z całym przekonaniem słowa mamusi.

– Naprawdę? Skąd to wiesz już teraz? – zdziwił się Dominik, a ja jeszcze

bardziej.

– Moja mama tak uważa – odparłam, bo skoro ona tak uważała, przecież nie mogło stać się inaczej.

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Na przykład?

– No... założmy, że nie dostaniesz się na studia muzyczne. Albo się dostaniesz, ale coś ci przeszkodzi w ich ukończeniu. Jakieś... zdarzenie losowe, na przykład.

– Jakie? – Roześmiałam się, bo w istocie, wydało mi się to całkiem śmieszne.

– Różne są zdarzenia losowe. Mój ojciec na przykład jak tylko awansował na lepsze stanowisko, rozchorował się. Miało być dużo pieniędzy, nowe meble, remont mieszkania, mama już się zastanawiała, na jakie kolory pomalować ściany... I nic! Albo powiedzmy, że zajdziesz w ciążę i zamiast się uczyć, będziesz zajmować się dzieckiem.

– Bzdury wygadujesz! – Poczułam się mocno dotknięta jego wypowiedzią. – Ja się nie rozchoruję, bo jestem młoda, i w żadną ciążę nie zajdę, bo do tego trzeba mieć męża!

– Męża? – Dominik jakby się zdziwił.

– Męża!

– Okej. Nie masz męża, to nie zajdziesz – zgodził się prędko i spojrzał na mnie spode łba. – Nie gniewaj się, Marzenka, ja tylko tak mówię. Tobie na pewno się uda wszystko, co tylko zechcesz.

– A tobie się nie uda? – spytałam nieco już udobruchana.

– Nie wiem. Ja bym chciał... zdobyć jakiś fajny zawód, który daje pieniądze. Najpierw pomógłbym rodzicom, a potem, gdyby już mieli wszystko co trzeba, wybudowałbym sobie dom. Może nawet kupiłbym samochód...

– A potem?

– Co potem?

– No, co robiłbyś potem, jakbyś już miał ten dom i samochód?

– Co miałbym robić? Pewnie znalazłbym sobie jakąś żonę, ona by urodziła jakieś dzieci i po prostu byśmy żyli. A ja bym dbał z całych sił, zrobiłbym wszystko, żeby nie brakowało nam pieniędzy. To bym robił właśnie.

– Czyli, że... nie zamierzasz zostać „kimś”? – spytałam przejęta, bo bardzo lubiłam Dominika i zrobiło mi się go żal.

– Kim na przykład? – zaśmiał się Dominik.

– Bo ja wiem? Lekarzem, inżynierem czy choćby nauczycielem? – podrzucałam mu różne pomysły.

– Ale po co? Czemu miałbym być lekarzem? Będę mechanikiem samochodowym. Tobie mówię to pierwszej. Okej?

– Okej. Nikomu nie powiem.



Oczywiście, nikomu nie powiedziałam, nawet babci. Wcale mnie nie dziwiło, że na razie Dominik zamierza swoją decyzję ukryć przed światem, w końcu nie było się czym chwalić. Martwiłam się natomiast coraz częściej o niego, bo życzyłam mu jak najlepiej. A niestety, jego przyszłość nie jawiła mi się różowo. Wyglądało bowiem na to, że mój kumpel nie ma żadnych aspiracji, a z pewnością to było chyba najgorsze ze wszystkiego. Nie chceć wyrosnąć ponad przeciętność? Życ z własnej woli bez szacunku i poważania ludzkiego? To nie mieściło mi się w głowie. Doszłam do wniosku, że muszę mu pomóc. Na początek postanowiłam zachęcać go do czytania wartościowych książek, oglądania ambitnych filmów i słuchania muzyki poważnej. W moim przypadku to się sprawdziło, musiało więc sprawdzić się i w jego. Cała trudność polegała jednak na tym, że... Dominik już dawno takie właśnie książki czytał i lubił, znał się na muzyce poważnej, a jeśli chodzi o wiedzę o filmach i dziełach najwybitniejszych twórców kinematografii, zaginał mnie bez trudu w pięć minut.

– Dlaczego, do cholery – posłużyłam się dla lepszego wrażenia słownikiem babci – właściwie nie chcesz zostać tym lekarzem? – spytałam go kiedyś bardziej niż wprost, gdy przyszła pora, by zastanowić się nad wyborem szkoły średniej.

– Lepiej ty mi powiedz, czemu powinienem. – Dominik uśmiechnął się rozbrajająco.

– Jesteś mądry, odcytany, świetnie się uczysz – wyliczałam – dlatego powinieneś iść najpierw do ogólniaka, a potem na medycynę.

– Aha. A tobie co by dało, gdybym poszedł? – Spojrzał mi jakoś nieoczekiwanie prosto w oczy.

– Mnie? – Zmieszałam się lekko tym spojrzeniem. – Nic. To dla twojego dobra.

– Nic?

– Nic.

– W takim razie m o j e dobro wymaga, żebyś poszedł do zawodówki i jak najszybciej zaczął zarabiać. – Dominik wpakował ręce do kieszeni i stanął do mnie bokiem. – To tyle – dorzucił przez zaciśnięte zęby. Był wyraźnie, choć nie wiadomo czemu, zły.

– Zmarnujesz sobie życie – spróbowałam raz jeszcze argumentem mamy.

– Wiesz co, Marzenka? – Podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach. – Idź ty, dziewczyno, w swoją stronę, a ja pójdę w swoją. Albo rób, co chcesz. W każdym razie nigdy więcej nie opowiadaj mi o życiu!

Tak właśnie zrobiłam. Odwróciłam się na pięcie i szybko, żeby nie dostrzegł, że zaczynam się mazać, pobiegłam przed siebie. Chciałam przecież dla niego jak najlepiej, a on tak mnie potraktował... Nie odzywałam się do niego przez kilka najbliższych dni. Pod koniec tygodnia Dominik podjechał jednak rowerem pod mój dom, choć nigdy dotąd tego nie robił. Widząc go z okna, natychmiast zbiegłam na dół.

– Hej! – przywitał się, jakby nigdy nic. – Ale upał się zrobił, prawda? Mam dla ciebie coś na ochłodę – powiedział i wręczył mi loda na patyku.

Usiedliśmy na schodach przed domem.

– Ciągłe jeszcze jesteś na mnie zła? – spytał.

– Nie, już nie – odparłam, bo mimo że wcale nie wybaczyłam mu jego zachowania, nie potrafiłam mu tego okazać.

– To właśnie chciałem usłyszeć. – Roześmiał się z wyraźną ulgą. – Będę leciał. Moja matka ma u was dziś myć okna, nie chciałbym, żeby mnie tu zastała.

– Twoja... matka?

– No tak. Robiła to już niejedynym razem. Czemu cię to tak dziwi?

Nigdy nie wspominałam mu, że jego mama czasem u nas sprząta, bo sądziłam, biorąc na logikę, że ona to przed nim ukrywa. Powinna przynajmniej, żeby mu nie było wstyd.

– Czy ja wiem? Jakoś... nie pokojarzyłam...

– No to lecę.

A może jednak ukrywała, bo nie wiedziała, że on wie? To tłumaczyłoby jego pośpiech.

– Dlaczego boisz się jej tu spotkać? – spytałam, by wyjaśnić całą tę sytuację.

– Bo... jak by ci tu powiedzieć... mama nie za bardzo pozwala mi się z tobą spotykać.

– Żartujesz? Czemu miałyby ci nie pozwalać? – Zdumiałam się, bo w myśl zasady mojej mamy, że zawsze należy równać do lepszych, powinna być raczej zadowolona.

– No wiesz... za wysokie progi – wyjaśnił i uśmiechnął się przeproszająco.

W chwili gdy wsiadał na rower, z okna wychyliła się mamusia.

– Kto to był? – spytała, gdy weszłam do domu. – Ładny chłopak, wysportowany. Wygląda na ułożonego.

– Bo jest ułożony.

– O? Przywiózł ci loda? To bardzo miłe z jego strony.

– No właśnie. – Spojrzałam na upačkane białą mazią dłonie, bo lód zaczynał się topić.

– Chyba mi nie odpowiedziałaś?

– To Dominik. Kolega z klasy.

– Dominik? – Mama zaczęła szukać w pamięci. – Chyba nie znam żadnego

Dominika.

– Znasz. Kłowski się nazywa.

Mama przez chwilę usiłowała skojarzyć imię Dominika z jego nazwiskiem, po czym wyrwała mi z ręki loda i wyrzuciła do kosza.

– Nie jedz tego. Zarazisz się salmonellą – oznajmiła. – Jest synem tej Kłowskiej, co u nas sprząta?

– Tak.

– Czego chciał od ciebie?

– Niczego. Przywiózł mi loda.

– Nie obdarowuje się lodami kogoś ni z tego, ni z owego, nie sądzisz? – dociekała mama.

– Czy ja wiem? Myślę, że to nic nadzwyczajnego – ośmieliłam się zaprzeczyć nieśmiało.

Mama podeszła bliżej, ujęła mnie pod brodę i uniosła w górę moją twarz.

– Marzenko, czy między wami istnieje... jakaś bliższa zażyłość?

– Czyli jaka? – spytałam, bo naprawdę nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Nie rób ze mnie ani z siebie idiotki!

– Rozmawiamy czasem. W szkole, na przerwach. Dziś pierwszy raz się zdarzyło, że tu przyjechał. Jego mama nie pozwala mu się ze mną zadawać – dodałam ze sporą przyjemnością.

– Co... takiego? – Mamusia omal się nie zadławiła. – Ten tłuKłowska nie pozwala j e m u zadawać się z t o b ą?

Wystarczyło, żebym wyjaśniła jej to w sposób, w jaki zrobił to Dominik: za wysokie progi. Mama nie tylko dałaby mi spokój, ale z pewnością odczułaby dużą satysfakcję.

– Nie wiem – odparłam zamiast tego, godząc się w ten sposób na dalsze wymówki.

Bo teraz przez chwilę satysfakcję miałam ja.

– Niepojęte. Niepojęte! – rozkręcała się mama, ale musiała przystopować, bo akurat przyszła niczego nieświadoma pani Kłowska.

Bardzo się bałam, żeby i jej nie zrobiła awantury, ale jak tylko stanęła w progu, mamusia natychmiast stała się „damą z klasą”. Zdecydowanym i władczym tonem wyliczała, jakie ma dla niej zadania. Na szczęście nie poruszyła tematu Dominika, w każdym razie tak sędzę, bo on pewnie by mi o tym powiedział.

Wobec faktu, że nasze mamy nie życzyły sobie, byśmy się z sobą kontaktowali, nasza znajomość nabrała natychmiast jakiegoś innego smaku: zaczęliśmy teraz spotykać się częściej, ale w konspiracji. Jak dawniej spędzaliśmy razem wszystkie przerwy, a ponadto w dniach, kiedy na pewno nie mogliśmy się natknąć gdzieś przypadkiem na swoje rodzicielki, chodziliśmy na plac zabaw do

parku. Była tam taka ocieniona ławka, na której mogliśmy sobie siedzieć i rozmawiać, nikomu nie wadząc i nie budząc niczyjego zgorznięcia. Wracałam wówczas nieco później ze szkoły, ale nie było obawy, że babcia mnie wyda. sprzeczki o nasze kariery odeszły w niepamięć, tematy naszych rozmów stawały się coraz bardziej różnorodne i coraz bardziej swobodne. Dobrze mi było w towarzystwie Dominika, mimo pewnych różnic w poglądach na życie rozumieliśmy się doskonale. Ale z czasem zaczęłam się czuć przy nim nieswojo. Odczuwałam teraz rzeczy, jakich do tej pory nie zaznałam, a co najdziwniejsze, w sytuacjach, które wcale nie były mi obce. Zdarzało się już bowiem nieraz, że trzymaliśmy się za ręce albo że Dominik objął mnie ramieniem czy pogładził po twarzy. Teraz te same gesty zaczęły wywoływać u mnie gęsią skórę, lubiłam jego dotyk w całkiem inny sposób niż dotychczas, sprawiał mi jakąś dziwną przyjemność. Byłam ciekawa, czy on też tak ma, ale wstydziłam się zapytać. Odważyłam się dopiero wówczas, gdy spostrzegłam, że on to robi celowo – nie jak kiedyś, w ferworze rozmowy.

– Dlaczego to robisz? – spytałam, gdy usiadł wyjątkowo blisko mnie i objął mnie w talii.

– Bo cię lubię – odparł zaskoczony. – To ci przeszkadza?

– Nie, ale dziwnie się z tym czuję.

– A chciałabyś poczuć się jeszcze dziwniej? – spytał z uśmiechem.

Wówczas, patrząc na jego uśmiech, uświadomiłam sobie coś jeszcze: że on bardzo, ale to bardzo mi się podobał. Może nie był szczególnie wysoki, ale miał bardzo ładną twarz, ciemną czuprynę i rzeczywiście, jak zauważyła moja mama, bardzo wysportowaną sylwetkę.

– To znaczy?

Dominik zamiast odpowiedzi pochylił się w moją stronę i bardzo delikatnie, powoli pocałował mnie w usta. Poczułam, że tracę oddech, oczy zaszyły mi mgłą i przez chwilę nic, ale to nic nie widziałam. Być może zaskoczenie też miało w tym swój udział, w każdym razie doznałam wtenczas sporego wstrząsu z powodu niezwyklej, nieznannej dotąd przyjemności. Zaniemówiłam na dłuższą chwilę.

– Powinienem cię przeprosić? – spytał Dominik skonsternowany moim milczeniem.

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą.

– A jak to odczułaś? Jako coś złego?

– Nie! To znaczy... I nie, i tak.

– Mogę zrobić to jeszcze raz, jeśli chcesz. Może łatwiej sobie odpowiesz...

Dominik zbliżył twarz do mojej twarzy, a ja wbrew sobie skoczyłam na równe nogi.

– Nie, tak nie można – szepnęłam. – Chodźmy już, muszę wracać do domu.

– Kocham cię, Marzenko. Do zobaczenia jutro w szkole – powiedział

jednym tchem i poszedł.

Nie mógł mnie odprowadzić, bo nasza konspiracja na to nie pozwalała. Wracałam do domu, jak automat pokonując znaną sobie drogę, a w środku, we mnie, wrzało. To uczucie, które mnie opanowało, gdy Dominik dotknął moich ust, nie opuściło mnie jeszcze zupełnie, ale teraz walczyło z poczuciem, że pozwoliłam mu na coś, na co absolutnie nie powinnam pozwolić. Oprócz tego wciąż dźwięczało mi u w uszach jego wyznanie.

Mieliśmy wówczas po piętnaście lat, za dwa dni zaczynały się wakacje, a co za tym idzie, kończyła się nauka we wspólnej szkole. Zaczęłam się teraz zastanawiać, jak to zrobić, by móc się z nim nadal widywać, albo... jak to zrobić by, móc się z nim już nie widywać. Mój dylemat prosto i skutecznie rozwiązała mama.

– No wchodzi wreszcie, czekam na ciebie – ponagliła, otwierając mi drzwi. Zdumiało mnie to, bo przecież aż do wieczora miała być w pracy.

– Pewnie cię dziwi, że tak wcześnie wróciłam – odpowiedziała niepytana – ale naprawdę, trudno skupić się na pracy w takich okolicznościach.

Mama wskazała ręką na drzwi do kuchni, a kiedy tam weszliśmy, zatrasnęła je za sobą głośno. Dostałam w twarz. Jeden raz, drugi, trzeci, czwarty... Raz za razem. Nawet nie pisnęłam.

– Chcesz skończyć pod latarnią? Tak widzisz swoją przyszłość? – cedziła przez zęby, potrząsając mną gwałtownie. – Doprawdy, wszystkiego bym się prędzej spodziewała niż tego, że moja córka będzie obściskiwana na ławce w parku młodocianego degenerata od Kłosowskich!

– Dominik nie jest degeneratem – powiedziałam, mając świadomość, co mi grozi.

Dostałam w twarz jeszcze dwa razy.

– Nie jest? A może ty tego nie widzisz, bo zdążyłaś już dorównać do jego poziomu...

– To mądry, inteligentny i rozsądny chłopak. Chciałabym mu dorównać – odparłam, nie wiedząc, co we mnie nagle wstąpiło.

Kolejne dwa uderzenia.

– Ty podła, podła, niewdzięczna dziewczyno! Mam nadzieję, że nie wiesz, co mówisz. Ale nawet jeśli wiesz, oznajmiam, że nie pozwolę zaprzepaścić ci tego, co w ciebie zainwestowałam. Nie ma mowy.

Nazajutrz nie poszłam do szkoły. Kolejnego dnia, na rozdanie świadectw również. Nie z powodu opuchlizny i siniaków na twarzy, ale dlatego że mama zamknęła mnie w swoim pokoju na klucz. W swoim – bo stamtąd miałam bezpośredni dostęp do łazienki, a poza tym do jego drzwi nie pasował żaden inny klucz, a okno było na tyle wysoko, że nie mogłabym przez nie uciec ani też nikogo wpuścić. Tak kalkulowała mama. Był jeszcze jeden plus: na dole drzwi był otwór

z klapką z czasów, gdy mama miała kota perskiego o imieniu Leonard. Tędy babcia miała mi podawać jedzenie.

Kochana babunia, zaraz jak tylko mama wyszła do pracy, zaczęła znosić klucze z całego domu i mimo że ją przekonywałam o daremności tych działań, wypróbowała wszystkie aż do ostatniego.

– Klucz kluczem – sapała, podejmując kolejne próby – ale jak się w to włączy święty Antoni, to Joanna nic nie poradzi. Albo nie. Może raczej Piotr, w końcu on jest specem od bram i kluczy.

– Wiesz co, babciu? Może jak już jesteśmy przy takich świętych sprawach, lepiej przynieś coś do modlenia? Odmówimy po dwa paciorki przez dziurę w drzwiach, co? Ulży nam.

– No, to chyba nie jest najgorsza myśl! – Babcia poderwała się do działania i po chwili już miałam po swojej stronie barykady kieliszek koniaku i przepitkę.

– Fuj! – Skrzywiłam się na sam zapach. – Nie masz czegoś lepszego?

– Nie wydziwiał. Twojej matce podprowadziłam, bo po ostatniej nowennie z Lelkową nic mi już nie zostało.

– No właśnie, babciu. To ona musiała mnie wsypać, bo mignęła mi na chwilę w tym parku.

– Wypij, dziecko...

Koniak był w smaku wstrętny, ale najbardziej skuteczny spośród trunków, które już znałam. Odczułam natychmiastową ulgę.

– Ja wiem, że Lelkowa – odpowiedziała babcia. – Nie mogła sobie, świnią jedna, darować.

– Czego?

– Żeby zrobić na złość twojej matce. Powinna chociaż pomyśleć, że bardziej zaszkodzi tobie niż jej. Marzenka, ja wiem, że ty tam nie zrobiłaś nic złego. Jesteś dobrą dziewczyną, wiem o tym.

– A mama nie wie?! Przecież osobiście od piętnastu lat wpaja mi, co wolno, a czego nie! – wyrzuciłam z siebie z żalem.

– Ona cię chroni w ten sposób, chce jak najlepiej dla ciebie. A że głupio, to już inna para kaloszy.

– Czy to znaczy, że już nigdy mnie stąd nie wypuści?

– Wypuści, jak tylko coś wykombinuje.

– Nie wiesz co?

– Konkretnie nie wiem, ale jestem pewna, że tego chłopaka bardzo długo nie zobaczysz na oczy.

Wypiłyśmy jeszcze po jednym i babcia uprzątnęła narzędzia zbrodni. Na myśl, że mogę nie zobaczyć już Dominika, rozkleiłam się tak bardzo, że w końcu zasnąłam, z trudem wyczołgując się na kanapę. Alkohol porządnie uderzył mi do głowy. Był mocny, a ja na dodatek od wczorajszego śniadania nic nie jadłam.



Babcia niestety się nie myliła. Dominik już w pierwszym tygodniu wakacji wyjechał nad morze do wujka, gdzie miał sobie dorobić w jego warsztacie samochodowym. Nie wiem, w jakim stopniu i czy w ogóle maczała w tym palce moja mama, w każdym razie on sam nie wspominał mi o takim zamiarze. Zastanawiałam się też, co myśli o mojej nieobecności w szkole. Czy się domyśla, że była to inicjatywa mojej matki, czy może doszedł do wniosku, że unikam go z powodu tego, co między nami zaszło.

Rozdział 7

Dojrzewanie



Po wakacjach zaczęłam naukę w liceum muzycznym, które mieściło się w tym samym budynku, co szkoła muzyczna pierwszego stopnia. Mama zmieniła plany. Wcześniej chciała, żebym kształciła się w jakimś dużym mieście, najlepiej w szkole z internatem. Po incydencie z Dominikiem doszła jednak do wniosku, że nie może mi zaufać i puścić samopas w świat. Bardzo byłam rozczarowana tą decyzją, bo odkąd usłyszałam o szkole z internatem, cieszyłam się perspektywą życia poza domem i możliwością decydowania o sobie. Niestety, musiałam zostać w naszym mieście. W ten sposób prawie nic się w moim życiu nie zmieniło poza tym, że w szkole muzycznej przeniosłam się z parteru na pierwsze piętro, a do nauki gry na fortepianie doszły przedmioty ogólne. Czyli teraz miałam dwa w jednym. Otaczali mnie na co dzień ci sami ludzie, stare koleżanki i kolegów spotykałam w drodze do lub ze szkoły. Oprócz Dominika, rzecz jasna. Jeszcze ciągle o nim myślałam, czas jednak robił swoje, a gdy ma się piętnaście-szesnaście lat, dwa miesiące to bardzo dużo.

Mama jak dawniej chodziła do pracy, ja spędzałam czas samotnie lub z babcią w domu bądź w kościele albo jako bierny słuchacz na spotkaniach z jej koleżankami. Było jasne, że w te wakacje będę objęta nadzwyczajną kontrolą, więc nawet nie zabiegałam o pozwolenie na jakiegokolwiek wyjścia. Czasem widywałam przez okno Elę i Beatę, wystrojone, wybierające się wieczorem „na miasto”. Od tego rodzaju pokus uciekałam w książki. Zresztą nawet gdyby udało mi się choć raz z nimi urwać, nawet bym nie wiedziała, co się „na mieście” robi. Nie użalałam się nad sobą, za to użalała się nade mną babcia.

– Siedzisz tak i siedzisz – mawiała. – I ani się nie obejrzysz, jak obrośniesz pleśnią.

– A co mam robić? – Wzruszałam ramionami. – Siedzenie to moja specjalność.

– Więc może nie siedź tak sama przynajmniej. Zaproś jakieś koleżanki czy... hm... koleżanki.

– Superpomysł babciu. Na pewno zrezygnują z dyskoteki, żeby posłuchać ze mną Szopena z płyt, bo innych nie ma w tym domu. Albo zjedzą ze mną kolację przy świecach. Homara lub gulasz z ośmiorniczek.

– Ależ ty się wyszczekana zrobiłaś – zaśmiała się babcia z aprobatą.

– Zawsze byłam wyszczekana, ale mam raczej mało okazji, żeby sobie

poszczekać. Częściej zdarza mi się wyć, choć i to nie jest zbyt dobrze widziane.

Babcia przestała się śmiać. Spojrzała na mnie ze smutkiem, a potem zmarszczyła czoło.

– Słuchaj Marzenka... A może ja bym ci czasem dała alibi i mogłabyś sobie pójść tu czy tam...

– Najpierw byś mi musiała wyszczególnić, dokąd nie łązi Lelkova – zauważyłam kwaśno.

– Na pewno nie łązi na dyskoteki – odparła babcia beztrąsko. – Ani do Zielonej Łodygi.

Zielona Łodyga to była mała kawiarenka w centrum miasta, gdzie przychodziła przede wszystkim młodzież. Tam również czasem można było potańczyć.

– Wiesz co? Pójdziemy tam razem. – Babcia aż klasnęła w ręce. – Wyciągnę też Lelkova, postawię jej kawę, to się skusi.

– Po pierwsze, mówiłaś, że ona tam nie łązi. A po drugie, akurat tej plotkary wolałabym nie spotkać na swojej drodze. Nawet na drodze do kościoła, a co dopiero w knajpie.

– Po pierwsze, nie łązi, bo nikt do tej pory nie proponował jej darmowej kawy w publicznym lokalu, a po drugie: pod latarnią najciemniej. Przecież nie wygada, że cię widziała w kawiarni, skoro sama tam pójdzie w największej tajemnicy. Kazek by jej w życiu na taki eksces nie pozwolił.

– A jak się nie skusi na tę kawę?

– To dorzucę galaretkę z bitą śmietaną, a polecę w podskokach.

– Dobra, a co powiemy mamie? – spytałam, bo chyba coraz bardziej podobał mi się ten pomysł.

– Nawet nie pyta. Pomyśli, że idziemy do kościoła. Jutro piątek, spowiedź, nabożeństwo czerwcowe, msza... no to mamy jakieś trzy godziny. I co?

– Czy to nie będzie grzech? – spytałam, jeszcze nie całkiem pewna.

– Nie będzie. Zapewniam cię, że Pan Bóg ma o wiele więcej luzu niż twoja matka. On by ci chwili rozrywki nie pożałował.

Umówiliśmy się, że nazajutrz wyjdziemy z domu przed siedemnastą i zgarniemy Lelkova w drodze do kościoła. Babcia świetnie wszystko przewidziała. Mama nawet okiem nie mrugnęła, gdy zbierałyśmy się do wyjścia, Lelkova natomiast owszem, mrugnęła, ale nie wahała się długo. Do Zielonej Łodygi poszłyśmy nieco okrężną drogą, żeby nie spotkać innych babcinych koleżanek i nie narazić się na niezręczne pytania.

W kawiarni panował miły chłodek, ponad połowa stolików była zajęta – siedziały przy nich albo pary albo mieszane grupki.

– Marzena! Czy mnie moje piękne oczy nie myślą Chodź do nas! – zawołał mnie ktoś po imieniu.

Rozejrzałam się po sali, ale zanim oczy przyzwyczyły mi się do dymu papierosowego, ktoś pociągnął mnie za łokieć, a potem pchnął przed siebie. To była Ela.

– No, śmiało, nie przyszłaś tu chyba na ploty z własną babką?

– Nie. To babcia przyszła na ploty, a ja... tylko tak...

– W porządku. To jest Patrycja – przestawiła mnie dziewczynie siedzącej przy stoliku razem z nią i Beatą. – Kolesia z naszej szkoły, równa dziewczyna.

– Zapalisz? – spytała Patrycja wyciągając w moją stronę paczkę papierosów.

– Nie, dziękuję, nie palę.

– Nawet jej się nie pytaj, czy wypije z nami po drinku – zaśmiała się Ela. – Odmówi.

– I tu się mylisz – zaprzeczyłam zadowolona.

– No co ty? – spytały Ela i Beata niemal jednocześnie. – Napijesz się z nami?

– Jasne. Wódkę z colą poproszę.

Miałam przy sobie trochę pieniędzy, a gdyby zabrakło, miałam przy sobie też babcię. Przysiadły z Lelkową w kącie pod wielkim filodendronem. Jej koleżankę ledwie widziałam spoza gąszczy liści, więc chyba i ona mnie też. Z babcią od czasu do czasu nawiązywałam kontakt wzrokowy.

Bawiłam się świetnie. Okazało się, że mimo tak długiej przerwy w bliższych kontaktach ciągle mam jeszcze z byłymi przyjaciółkami wspólny język. Gorzej z tematami – one kręciły już z chłopakami, malowały się, słuchały rocka i chodziły na imprezy, nie dały mi jednak odczuć, że jestem inna. Nawet się nie obejrzałam, gdy zrobiła się ósma i trzeba było pomyśleć o powrocie do domu. Gdyby nie gwałtowne znaki babci, pewnie nie spojrzałabym na zegarek. Błyskawicznie wróciłam do rzeczywistości, pożegnałam się z dziewczynami i ruszyłam ku drzwiom. Babcia już tam na mnie czekała, Lelkowej jednak z nią nie było. Po chwili babcina koleżanka wygramoliła się zza filodendrona, ale nie sprawiała wrażenia, jakby zamierzała się z nim rozstać.

– Puść to, do jasnej cholery – warknęła babcia. – Teraz będziesz się trzymała mnie. Złap no ją, Marzenka, z drugiej strony i ciągniemy. Pani przytrzyma donicę! – poleciała przechodzącej obok kelnerce.

Lelkowa władzę w nogach miała raczej mizerną i była niezwykle małomówna, jednak z naszą wydajną pomocą dotarła wreszcie do furtki swojego domu.

– Co teraz? Mamy ją zaprowadzić na samo miejsce czy jak? – spytałam.

– Skąd. Zrobimy to, co zrobiliby w podobnym przypadku każdy dobry kolega: oprzemy ją o furtkę, zadzwonimy i zwiemy.

– No co ty? – zgorszyłam się. – A jak się wywróci i coś sobie zrobi? Albo jeśli jej męża nie ma w domu? Ma tu leżeć na oczach całego miasta?

Babcia zreflektowała się nieco i nacisnęła na dzwonek już bez zamiaru ucieczki.

– Klucza nie masz, Wandzia? Mecz oglądam! – dał się słyszeć z okna wyraźnie niezadowolony męski głos.

– Już nie oglądasz – zdecydowała babcia. – Złóż tu prędko, twoja żona zasłała przy konfesjonale, ledwieśmy ją tu z wnuczką dotaczały.

Pan Kazek nic już nie powiedział, za to po chwili pojawił się osobiście, w piżamie i kapciach.

– Możemy ci pomóc, jak sam nie dasz rady – zaoferowała się babcia.

Mąż Lelkowej wziął ją pod ramiona i spróbował ostrożnie prowadzić przed sobą.

– Anielka! Ale ona czymś śmierdzi! – skonkludował po chwili.

– Wiesz co? Idź ty lepiej oglądać mecz – zdenerwowała się babcia. – Waleriany jej dałam prawie całą flaszkę, więc to jasne, że śmierdzi. Masz, własna żona mu śmierdzi, tfu! Byś się wstydził. Jak była młodsza i trochę ładniejsza, to ci nie śmierdziała, co? Chodź Marzenka, zaprowadzimy nieboraczkę do samego łóżka, bo w tym domu znieczulica panuje!

Ułożyłyśmy Lelkową na tapczanie, a babcia nakryła ją kołdrą. Razem z butami i torebką.

– A ty, Kazek, na kozetkę! – zarządziła. – Niech sobie kobieta dojdzie do zdrowia w spokoju.

– Myślisz, że się nie zorientuje? – spytałam, gdy już wyszłyśmy na drogę.

– Co mi tam... – Babcia wzruszyła ramionami. – Może nie, jak jej nie ruszy do rana.

– Ładna z ciebie koleżanka... A co jej się stało właściwie?

– Taka jak i z niej. Co jej się stało? Obzarała się i opila. Za moje zresztą.

– Czemu jej pozwoliłaś aż tak się urznąć? Przecież nie musiałaś jej tyle stawiać.

– Bo sobie wykalkulowałam, że tak będzie taniej. Gdybym za każdym razem, gdy zechcemy wyjść do kawiarni, miała ją ze sobą wlec, stawiać jej kawę i ciastko, tobym z torbami poszła. A tak? Raz i z głowy. Już ona z pewnością nikomu o Zielonej Łodydze nie wspomni. Ani teraz, ani w przyszłości.

Przygoda z Lelkową znacznie opóźniła nasz powrót do domu, ale stanowiła również niezłe wytłumaczenie. Babcia raz jeszcze powtórzyła historię, jak to Wandzia zasłała w kościele i że musiałyśmy odprowadzić ją do domu.

– Co to za dziwny zapach? – Mama pociągnęła nosem, gdy ją mijaliśmy w przedpokoju.

– Kadzidło – odparła beztrąsko babcia.

– Faktycznie... jakby dym, ale jakiś taki...

– Czasy się zmieniają, to i kadzidła się zmieniają. Gdybyś chodziła do

kościola, tobyś wiedziała.

Babcia zawsze tak pięknie potrafiła odwrócić kota ogonem, że nawet mojej mamie brakowało słów.



I znowu, jak to w moim życiu, targały mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony naprawdę świetnie spędziłam piątkowy wieczór, z drugiej zaś odczuwałam dość duży dyskomfort. I z powodu Lelkowej, i z powodu niecnego postępu, czyli przesiadywania w knajpie. Przede wszystkim jednak głupio mi było z powodu tego całego grubego oszukaństwa. Postanowiłam sobie, że jeśli jeszcze raz coś takiego się powtórzy, to na pewno nieprędko. Babcia też doszła do podobnego wniosku, ale z całkiem innego powodu: bała się, że zbyt częste eskapady „na miasto” mogą wzbudzić u mamy podejrzenia. Dobłą stroną całego przedsięwzięcia było to, że koleżanki zaczęły mnie znów odwiedzać. Gdy przyszły pierwszy raz, o mały włos mnie nie wydały. Przecież nie wiedziały, jak bardzo musiałam kombinować, by móc wyjść na chwilę do kawiarni. Nie wiedziały też jeszcze, że najlepsza pora na odwiedzinę jest pod nieobecność mamy.

Zjawily się niezapowiedziane. Mama przywitała je swoim najlepszym uśmiechem i wskazała drzwi do mojego pokoju. Niestety, zanim je za sobą zamknęły, moja nowa znajoma Patrycja wypaliła:

– Hej, Marzena. Nie mamy co robić, więc wpadłyśmy. Przyjmiesz nas czy idziemy do Łodygi? Ty oczywiście z nami.

Mama zawróciła w pół drogi.

– Do j a k i e j Łodygi? – spytała podejrzenie łagodnie.

– Nie, proszę pani, nie do łodygi, ale po łodygi. Patrycja kupiła sobie królika miniaturową i wybieramy się, żeby mu nazrywać czegoś do jedzenia – zareagowała przytomnie Beata, która błyskawicznie rozeznała się w sytuacji. – Czy Marzena może pójść z nami?

– Zamiast faszrować zwierzaka trawą z ołowiem, kupcie mu coś do jedzenia w sklepie zoologicznym – poradziła im mama.

– W zoologicznym? – Nagle między nami pojawiła się babcia. – Bzdura. Króliki od zawsze się żywiły trawą i całkiem dobrze się miały. W tych gotowych karmach dopiero świństwa się znajdują, chemia sama.

– Ja nie mówię o królikach hodowlanych, tylko o domowym króliku miniaturowym – wyjaśniła mama, jak zwykle przy ludziach bez cienia irytacji.

– No dobrze, pójdziemy do zoologicznego – zgodziła się Patrycja. – Ale czy Marzena może iść z nami?

Mama zastanowiła się przez chwilę.

– Dobrze, idź – zwróciła się do mnie. – Mam tylko nadzieję, że i ty nie wrócisz do domu z jakimś królikiem.

– Nie przepadam za królikami – odparłam z ulgą.

– Wróci ze szczurem – zachichotała pod nosem Patrycja, ale mama już tego na szczęście nie słyszała.

Przebrałam się błyskawicznie i wybiegłyśmy na zewnątrz – byle jak najdalej od mojego domu.

– Ty! Ale ty masz reżim na chacie, ja pierdziu! – Patrycji najwyraźniej taki model wychowawczy nie mieścił się w głowie.

– Daj jej spokój, Patrycja, ma, jak ma – uspokoiła ją Ela.

– Dokąd idziemy? – spytała Beata. – Do Łodygi? Do pizzerii?

– Do sklepu zoologicznego – odpowiedziałam ponuro.

– Jaja sobie robisz? – spytała Patrycja.

– Nie. Przy sklepie zoologicznym jest skwerek i ławka. Tam możemy sobie posiedzieć.

– Starsza cię śledzi czy jak? – Patrycja uniosła w zdumieniu brwi.

Wzruszyłam ramionami.

– Okej. Idziemy na skwerek – zdecydowała Ela.

Dziewczyny zapaliły po papierosie, Ela wyjęła z torebki butelkę kubusia marchwiowo-pomarańczowego. Zapaliłam i ja.

– Chcesz? – spytała.

Przystawiłam butelkę do ust i o mało się nie zakrztusiłam. Sok był porządnie zaprawiony wódką.

– Ej, nie wychlej wszystkiego! – Patrycja odebrała mi butelkę i sama zajęła się degustacją.

Opróżniłyśmy „kubusia” w pół godziny, na cztery gęby nie było to bardzo dużo. Tu muszę wspomnieć, że nie byłam szczególną amatorką alkoholu, wiedziałam już jednak, jak na mnie działa i że w niewielkiej ilości może dać prawdziwe ukojenie od bieżących koszmarów mojego życia. Przekonałam się o tym, praktykując od czasu do czasu tę formę relaksu z babcią. Optymalna ilość dla mnie była taka, żeby ulżyło, ale żeby nie było nic po mnie widać. Dla babuni również. Moje koleżanki miały znacznie słabsze poczucie umiaru i – paradoksalnie – o wiele słabsze głowy.

– Słuchaj, trzeba coś z tobą zrobić – oznajmiła Patrycja, gdy butelka pokazała dno.

Zaniepokoiłam się z lekka.

– Zamknij oczy. Ale zamknij uczucie i nie otwieraj, choćby nie wiem co! – zazaądała.

– Co ona chce zrobić? – spytałam Beatę.

– Pojęcia nie mam – odparła. – Ale na pewno nic mądrego, jak ją znam.

– No! Zamknij! – domagała się Patrycja. – Albo wy jej zamknijcie.

– Dobra, Marzena, zrób, jak mówi, bo się nie odczepi – poradziła mi Ela. – Na pewno nie będzie bolało.

I rzeczywiście nie bolało. Przez jakiś czas odczuwałam coś jakby szarpanie pod szyją, czasem jakieś niezbyt bolesne ukłucie i to było tyle. Kiedy już Patrycja pozwoliła mi spojrzeć, okazało się... że moja całkiem nowa bluzka firmy Tommy Hilfiger ma teraz dekolci do samego pasa. Znacznie poniżej biustu w każdym razie.

– O, sorry, to nie miało być aż tak – stwierdziła trochę zmieszana Patrycja. – Ale wiesz, dysponowałam tylko nożyczkami do paznokci, a takim sprzętem nie da się nic zrobić precyzyjnie.

– No chyba, że obciąć paznokcie – zauważyła przytomnie Ela.

Byłam bardziej niż przerażona: w towarzystwie trzech podpitych koleżanek siedziałam na ławce w publicznym miejscu, z biustem na wierzchu i podejrzanymi dziarami na dekolcie.

– Boże... Boże... – jęknęłam tylko i osłoniłam górę dołem dość długiej na szczęście bluzki.

– Zdaje się, że miałyśmy jej pomóc – stwierdziła z przekąsem Beata.

– No co! Chęci miałam jak najlepsze! – broniła się Patrycja. – Bo kto to widział, żeby taka seksowna dziewczyna nosiła się jak zakonnica. Swoje atuty trzeba pokazać światu.

– No i właśnie pokazałam. Każdemu, czy chciał, czy nie chciał – stwierdziłam ponuro, bo już mi chyba było wszystko jedno.

Matka miała taki dar, że jeśli rzeczywiście robiłam coś złego, a raczej „złego”, swobodnie dawała się robić w bambuko. Obrywałam za to sowicie w sytuacjach, w których tak naprawdę kompletnie nie zawiniłam. Dziś co prawda nie byłam całkowicie bez winy, ale z pewnością mama zinterpretowałaby sobie moją przygodę o wiele drastyczniej, niż wyglądała w istocie. Z mocnym podtekstem seksualnym rzecz jasna.

– Co tam masz jeszcze w torebce? – spytała Patrycja. – Bo może masz igłę i nici, to przyszyłabym z powrotem...

Dziewczyny jak na komendę zaczęły przeszukiwać torebki. Znalazły dwie agrafki, spinacz biurowy i kłameczkę do włosów. Z ich pomocą udrapowały mi idiotyczny dekolci, ale grunt, że nie świeciłam już biustem. Na moje nieszczęście na dworze było bardzo ciepło i ani ja, ani moje koleżanki nie miałyśmy żadnego wierzchniego odzienia. Nawet najmizerniejszej apaszki.

Wracałam do domu niespiesznie, próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie dla mojego stanu. Niestety, nic nie przychodziło mi do głowy. Gotowa niemal na śmierć wlokłam się po schodach na górę. Mama była w kuchni, a z nią babcia, sprzeczały się o coś ściszonymi głosami. Bez słowa stanęłam w drzwiach. Na mój widok mama urwała w pół słowa i tak już została, z otwartymi ustami. Po chwili

jednak podbiegła do mnie i jedną po drugiej – odpięła z mojej bluzki kontrowersyjne ozdoby. Ta natychmiast opadła swobodnie ukazując nie tylko biustonosz, ale i kawałek pępka.

– Boże, Boże! Penicyliny, doktora, natychmiast! – wrzasnęła babcia, zanim mama zdążyła cokolwiek powiedzieć. – A nie mówiłam ci dziecko, że króliki są niebezpieczne? Nieraz mówiłam – biadała. – Ale ty jak zwykle swoje, głupolu jeden! Na pewno był wściekły! Niewściekły królik by ci tego nie zrobił!

Powoli zaczęłam pojmować, do czego zmierza. Mama również, co objawiło się nagłym przestrawieniem na jej twarzy.

– Pójdę po wodę utlenioną. Mamo, dzwoń po pogotowie – krzyknęła i pobiegła do łazienki.

– Wszystko w porządku? – spytała babcia.

Skinęłam tylko głową, bo mama pojawiła się natychmiast z powrotem. Byłam w totalnym szoku. Moja kochana, zwariowana babunia niezawodnie uratowała mnie z opresji, robiąc to jak zwykle w taki sposób, że to mama teraz czuła dyskomfort. Zachciało mi się śmiać i pewnie w końcu wybuchłabym śmiechem, gdybym nie usłyszała sygnału karetki pogotowia. Temu niestety babcia nie dała rady zapobiec. Kiedy do mojego pokoju wszedł lekarz, byłam już z grubsza „oporzędzona”. Uważnie oglądał moje rany na szyi i dekolcie.

– Królik? Jesteś pewna, że to był królik? – spytał. – Trochę dziwne te ślady...

Lekarz okazał się jednak niezwykle empatyczny, bo kiedy spotkaliśmy się wzrokiem i dostrzegł w moich oczach bezgraniczne przerażenie, powiedział:

– No tak, teraz widzę, że królik. Spotkałem się już kilka razy z podobnym przypadkiem – dodał z czającym się w kącikach ust uśmiechem. – Proszę nas zostawić, dam córce zastrzyk. – Mama wyszła niechętnie i pociągnęła za sobą babcie.

– Chłopak? – spytał doktor. – Na przemoc mi to nie wygląda, raczej przeciwnie...

– Nie, koleżanki. Postanowiły mi przerobić bluzkę na ładniejszą, a miałam ją niestety na sobie – dodałam prędko. – Przepraszam za fałszywy alarm, ale...

– W porządku... – Doktor się uśmiechnął. – Na szczęście pilniejszych wezwań nie było. Dyscyplina w domu, co?

Westchnęłam zamiast odpowiedzi.



Wracam pamięcią do podobnych wydarzeń, mimo że te akurat wydają się dziś bardziej komiczne niż traumatyczne, by móc lepiej zrozumieć siebie z tamtych

czasów i jakoś uprawdopodobnić rzeczy, które dziś wydają mi się nie do uwierzenia, na przykład moje dorastanie. Dzięki babci dość wcześnie nauczyłam się kombinować, kręcić i unikać odpowiedzialności za swoje „grzeszki”, w wieku trzynastu lat zaczęłam popijać z nią alkohol, mając lat siedemnaście na całego paliłam już papierosy i właściwie ktoś, patrząc z boku, mógłby powiedzieć, że niezły ze mnie numer. Z drugiej strony moja życiowa świadomość w wielu innych dziedzinach była jednak zdumiewająco mała. Mając siedemnaście lat, oczywiście wiedziałam, skąd biorą się dzieci, a jednocześnie nie byłam do końca świadoma, co tak naprawdę mężczyzna i kobieta robią z sobą w łóżku.

Pocałunek z Dominikiem, który sprawił mi tak wielką, do dziś niezapomnianą przyjemność, sam w sobie nie był dla mnie wtedy czymś złym. Zła była ta przyjemność właśnie. Owszem, budziła się we mnie seksualność, dawały znać o sobie nieznane wcześniej potrzeby. Nawet przychodziło mi do głowy, że fizyczny kontakt z mężczyzną może być całkiem miły, ale z całych sił starałam się trzymać to wszystko na wodzy. Dla mnie czerpanie przyjemności z „tych rzeczy” było czymś niedopuszczalnym. Może gdyby uświadomieniem mnie zajęła się babcia, inaczej wyglądałoby moje dojrzewanie, ona jednak należała do pokolenia, które niechętnie mówiło na te tematy wprost. Jeśli już, to pod postacią żartów czy aluzji. Mama natomiast nigdy w życiu nie przeprowadziła ze mną odpowiedniej rozmowy, a ponieważ ja o nic nie pytałam, nie mogłam liczyć na żadną odpowiedź. Nie pytałam, bo nie miałam odwagi.

W moim domu seks był tematem tabu, dla mamy pewnie mówienie o tym było nieeleganckie i „bez klasy”. To wprost niewiarygodne, że z początkiem dwudziestego pierwszego wieku moja wiedza seksualna znajdowała się na poziomie średniowiecza. Przyczyny? Od czasu, gdy w domu pojawiło się pianino, zostałam niemal całkiem odizolowana od koleżanek. Gdy one dokonywały pierwszych odkryć w tej dziedzinie i z wypiekami na twarzy dzieliły się swoją wiedzą, ja biegałam od szkoły do szkoły, brałam prywatne lekcje gry albo przesiadywałam z babcią w kościele. Oczywiście ani z telewizji, ani z książek, a nawet z kolorowej prasy nie miałam szans dowiedzieć się czegokolwiek, bo to mama decydowała o tym, co mogę oglądać i czytać. W pewnym momencie sama przejęłam jej poglądy i było dla mnie całkiem oczywiste, że pewnych filmów nie należało oglądać czy też sięgać po pewnego rodzaju lekturę. Nabrałam przekonania, że rzeczy, które nie zasługują na to, by mówić o nich głośno, są z gruntu złe. Tak też utrzymywał kościół. Później, ale to znacznie później moją edukacją zajęły się koleżanki.



– No właśnie, powiedz no Marzena, za co twoja matka przepędziła z miasta Dominika? Kręcił z tobą podobno czy coś? – spytała kiedyś Beata raczej ni z tego, ni z owego, bo owo zajście z Dominikiem miało miejsce ze dwa lata wcześniej.

– Kurczę, faktycznie! Już dawno się nad tym zastanawialiśmy – ożywiła się Ela, popijając drinka w moim domu.

Mama była w pracy na wieczornej zmianie, babcia dyskretnie czuwała nad całokształtem spotkania.

– Nie przepędziła go. Sam wyjechał – odparłam, ale słowa Beaty zaszczepiły we mnie pewne podejrzenie.

– Na mieście mówią...

– Co mówią?

– No że podobno był dość nachalny w stosunku do ciebie i że twoja matka przekonała jego matkę, że powinien uczyć się w innym mieście. Podobno nawet... dała jej na to kasę.

– Nieprawda! – uniosłam się. – Dominik nie wzięłby od niej ani grosza. Jego mama też.

– No dobra, spoko – włączyła się do rozmowy Patrycja. – Ale co się właściwie stało, starsza przyłapała was w łóżku czy jak?

– Zwariowałaś? Mieliśmy wtedy po piętnaście lat!

– I co z tego?

Spojrzałam na nią straszonym wzrokiem.

– No więc o co poszło? – spytała Ela.

– Pocałował mnie i koleżanka babci to zobaczyła – wyznałam i oblałam się rumieńcem.

– Ja pierdziu! I tylko tyle? Nie, no w takim razie twoja starsza ma nierówno pod sufitem – skwitowała Patrycja.

– To był twój pierwszy raz? – spytała Beata.

– Pierwszy i ostatni.

– Jaja sobie robisz! – wrzasnęła Patrycja tak szczerze, że aż babcia do nas zajrzała.

– Czemu? – zdziwiłam się. – Wy często się całujecie z chłopakami?

Koleżanki spojrzwały po sobie.

– No cóż... owszem. Robimy z nimi różne rzeczy. Wiesz, nic co ludzkie, nie jest nam obce... – zaśmiała się Ela.

– Naprawdę?!

Dla mnie wówczas do robienia „różnych rzeczy” z chłopakiem uprawniało, jeśli już nie małżeństwo, to przynajmniej narzeczeństwo. I nie wykraczały one raczej poza pocałunki „z języczkiem”.

– Masz, napij się. – Patrycja dołała mi wódki do jeszcze niewypitego drinka.

– Znieczul się, musimy pogadać.

– Nie chcę – zaprotestowałam, mając w pamięci różne jej pomysły.

– Ale naprawdę musimy – poparła ją Ela.

Już się nie odezwałam. Czekałam.

– Od czego by tu zacząć... – zastanowiła się Beata, ale Patrycja ją ubiegła.

– Od początku.

Wyjęła z torebki długopis, przystawiła go sobie do oka i zaczęła w nim coś majstrować.

– Spójrz tu, w ten otworek. – Wetknęła mi go w rękę.

Posłuchałam jej bez oporów. Sama miałam kiedyś podobny, w środku był jakiś komiks, można było przesuwając obrazki w koło Macieju.

– Wiesz, co to jest? – spytała Patrycja, gdy uznała, że wystarczająco porządnie się przyjrzałam.

– Gruszka do lewatywy?

Beata zabrała mi długopis i sama spojrzała na obrazek.

– Nie, to nie jest gruszka do lewatywy – odparła, tłumiąc śmiech.

– Moja mama ma taką – odparłam zdezorientowana, na co dziewczyny całkiem już nie mogąc się opanować, zanosły się śmiechem.

– Kurde, spytaj się, gdzie kupiła, też taką chcę – wyjęczała Patrycja.

Siedziałam zmieszana i urażona, czekając, aż im przejdzie.

– Podpowiedz za sto punktów. – Nachyliła się w moją stronę Patrycja. – Ku-tas! To jest męski kutas, słyszałaś kiedyś o czymś takim?

Złapałam za długopis i spojrzałam jeszcze raz. Potem przesunęłam obrazek. Na kolejnym było widać kobietę i mężczyznę. On... trzymał TO w jej ustach. Zrobiło mi się niedobrze. Dostałam torsji, ledwie dobiegłam do łazienki.

– Nie przesadz z tym popijaniem, Marzenka. – Czujna babcia natychmiast znalazła się pod drzwiami.

– To nie od tego – uspokoiliam ją, wychodząc.

Babcia podreptała z powrotem do siebie. Usiadłam obok koleżanek i nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Jak wrażenia? – spytała Patrycja.

– Ludzie nie robią z sobą takich rzeczy – powiedziałam.

– A jakie robią, twoim zdaniem?

– Odbywają czasem stosunki, gdy zachodzi taka potrzeba.

– O? A kiedy zachodzi? – dowcipkowała.

– Gdy chcą mieć dzieci...

Chyba byłam coraz mniej pewna tego, co mówię. Nie dlatego, żebym nagle zmieniła pogląd, ale po prostu po każdej mojej wypowiedzi dziewczyny wybuchały śmiechem.

– No dobra, spokój – przywołała je w końcu do pionu Beata. – Nie, Marzena, to nie tak. Ludzie, jak to powiedziałaś, „odbywają stosunki”, bo to jest bardzo

przyjemne. Cholernie przyjemne, powiem ci. Robią to każdej nocy, każdego dnia, jak mają wolną chatę i w każdej wolnej chwili. I nie „odbywają stosunków”, tylko się kochają.

– Moi rodzice nie robili takich rzeczy!

– Nie przy tobie w każdym razie...

– W ogóle nie!

– Wobec tego jak przyszedłeś na świat?

– Owszem, zrobili mnie, ale to tyle. Niczyja wina, że to się odbywa w taki... taki... niechlujny sposób!

– Kurwa mać! Marzena, ty masz skończone siedemnaście lat! Za osiem miesięcy obchodzisz osiemnastkę! Gdzie ciebie chowali, w studni?! – pofolgowała sobie Patrycja.

– Nie klnij – zgromiła ją Ela.

– Sorry, ale mnie się to zwyczajnie w pale nie mieści. Ja bym się chyba wściekła, gdyby mi starsi zafundowali taki celibat. Na dłuższą metę nie można sobie zrekompensować braku faceta. Uwierz mi. To zupełnie nie to samo.

– Co... nie to samo?

– No wiesz, jest różnica między zabawą z sobą a zabawą z kimś...

– Ona ma na myśli – podjęła temat Ela na widok mojej miny – że w sumie to, co możesz zrobić z chłopakiem, możesz zrobić sobie z braku laku sama. Ty jednak o tym nie wiesz chyba, co?

– Nie! Ja nie chcę już tego słuchać. Wy jesteście jakieś nienormalne, zboczone! Na miłość boską, Ela, Beata, co się z wami stało?

– Dorosłyśmy, w przeciwieństwie do ciebie.

– Dość. Wyjdźcie proszę. – Wskazałam koleżankom drzwi, a one bez najmniejszego sprzeciwu opuściły mój dom.



Przez kilka najbliższych dni nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Zupełnie wbrew sobie zaczęłam przyglądać się ludziom i zadawać sobie pytanie, czy aby oni nie należą do tej wyuzdanej zbiorowości ludzi uprawiających seks dla przyjemności. To, o czym mówiły i co mi pokazały koleżanki, było wstrętne. Obleśne i wulgarne. To niemożliwe, żeby ktokolwiek, kogo znam, robił takie rzeczy. A już na pewno nie mama ani babcia. Ani nauczycielki ze szkoły, ani tatuś z panią Teresą... A jeśli byli tacy, którzy dopuszczali się podobnych ekscesów, byli po prostu degeneratami i dziwkami. Albo lepiej: kurwizjonami, jak mawiała czasem babcia. Nie, nie mogło mi się pomieścić w głowie, żeby na przykład pani Wolska od fortepianu albo pani Grzegorzycy od polskiego kładła się wieczorami

przed swoim mężem rozkraczona i z radością czekała na ciąg dalszy. Zresztą jej mąż, a znałam go z widzenia, zupełnie nie wyglądał na zbrojeńca.

Eli, Beaty i Patrycji unikałam, jak mogłam, ale nie potrafiłam odciąć się od swoich seksualnych rozważań. Któregoś wieczoru, po wyjściu mamy do pracy zakradłam się do jej sypialni i otworzyłam szufladę toaletki. Leżało w niej podłużne, skórzane etui. Kiedyś już natknęłam się na nie, zajrzałam do środka i zobaczyłam gruszkę do lewatywy. Przeszłam nad tym do porządku dziennego, oczywiście nie przyznając się nigdy do buszowania w jej rzeczach. Dziś zrobiłam to po raz drugi. Tym razem wyjęłam gruszkę z opakowania i obejrzałam dokładnie. Jak na przyrząd do lewatywy była zdecydowanie za długa i za gruba. Nie miała żadnych otworów, a poza tym... była na prąd! To mnie zdecydowanie przerosło. Pobiełam do babci.

– Może ty mi powiesz, porządnie i uczciwie, co to jest? – zapytałam kategorycznie, podstawiając jej urządzenie pod oczy.

– To twojej matki?

– Owszem.

– Musi się nieboraczka czuć naprawdę samotnie... Czyżby nie było już amatorów na damy z klasą? – odparła babcia i zakończyła temat.

Odchorowałam ten przyśpieszony kurs edukacji seksualnej psychicznie i fizycznie. Przede wszystkim: w żaden sposób nie potrafiłam pogodzić się z nabytą wiedzą. Po jakimś czasie jednak wszystko między mną a koleżankami wróciło do normy, najpierw jednak musiałam przetrwać wszystko w samotności i skonfrontować, na ile byłam w stanie, ich informacje z rzeczywistością. Zaczęłam czytać romanse, oglądać filmy, w których pojawiały się sceny erotyczne, w końcu sięgnęłam po *Pamiętniki Funny Hill*. Zmienił się też nieco mój stosunek do mamy, nie była już dla mnie uosobieniem doskonałości. Teraz, kiedy próbowała wpływać na moje wybory, jeśli chodziło o telewizję i literaturę, buntowałam się całkiem jawnie.

– Mamo, przecież to wszystko jest dla ludzi! – zaprotestowałam, gdy chciała przełączyć telewizor na inny kanał podczas dość subtelnej łóżkowej sceny.

– Nie dla przyzwoitych ludzi! – odparła mama i zabrała mi pilota.

– Czy to znaczy, że przyzwoici ludzie nie robią takich rzeczy? – spytałam, odważnie patrząc jej w oczy.

Mama odłożyła pilota i wyszła. Świadomość, że trzyma w swojej toalecie „gruszkę do lewatywy” (inaczej nie nazywałam tego nawet w myślach), nieraz dodawała mi odwagi.

Rozdział 8

Nataniel



Latem, w wakacje poprzedzające klasę maturalną, do naszego miasteczka wprowadzili się państwo Tyliczowie. Kilka ulic od naszego domu wybudowali piękną willę, nowoczesną i przestronną. Pan Tylicz podjął pracę w urzędzie miejskim, a jako prężny działacz jednej z wiodących wówczas partii, po najbliższych wyborach samorządowych został również członkiem rady miasta. Pani Tyliczowa dostała posadę nauczycielki geografii w funkcjonującym w naszym mieście już od kilku lat gimnazjum. Oboje od razu zakwalifikowani zostali przez resztę mieszkańców do miejscowej elity, błyskawicznie zresztą stali się jej pełnoprawnymi członkami. Rzecz jasna były to kręgi, do których aspirowała i w których z ogromnym zapałem obracała się moja matka, w związku z czym coraz częściej o Tyliczach rozmawiało się w naszym domu. Stanowili dla niej wzór dobrze wykorzystanego życiowego potencjału, zaś łatwość, z jaką im ten potencjał procentował, budził w niej bezkrytyczny zachwyt. Oprócz uporczywości, konsekwencji i umiejętności znalezienia się zawsze we właściwym miejscu i czasie państwo Tyliczowie mieli k o n e k s j e, których nie miała ona. Stryj pani Tyliczowej przez dwie kolejne kadencje brylował w rządzie, pan Tylicz natomiast był bratankiem ważnego biskupa, który brylował na salonach i w mediach – co czyni z powodzeniem do dziś.

Na moje nieszczęście państwo Tyliczowie mieli syna, jedynaka i moja matka ubzdurzyła sobie, że zrobi z nas parę. Nataniel był młodszy ode mnie o rok, ale dla niej nie stanowiło to najmniejszego problemu. Chłopak sprawiał wrażenie „ułożonego” (jedno z ulubionych słówek mamy) i poważnego. Był też, również na moje nieszczęście, cholernie ładny. Po raz pierwszy zobaczyłam go u nas na grillu zorganizowanym przez mamę dla miejscowej śmietanki towarzyskiej. Zależało jej tak bardzo na dobrym wrażeniu, że dwa tygodnie przed tą imprezą zniżyła się do tego, aby poprosić ojca o przywrócenie ogrodu do dawnej świetności. Ojciec jak ojciec – nie miał nic przeciwko. Z rozpędu podreperował też altanę i ławki.

- Nie sądzisz chyba, że ci zapłacę? – spytała mama, gdy już skończył robotę.
- Bynajmniej – odparł tata. – Zrobiłem to z miłości.

Matka spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– O? Czyżbyś chciał do nas wrócić? – spytała z uśmiechem czającym się w kącikach ust.

- Miałem na myśli miłość do tego ogrodu. – Tata zabrał skrzynkę

z narzędziami i poszedł.

– Cham! – skomentowała matka. – Oby się tobie taki nie dostał.

– No, nie wiem... Ja bym chyba chama nie wzięła – odparłam, bo od pewnego czasu podobne odzywki sprawiały mi dużą przyjemność. Myślę, że z czasem nabyłam tę umiejętność od babci, skutek w każdym razie był podobny: mamie brakowało koncepcji na odpowiedź.

Od czasu rozvodu rodziców spotykałam się z ojcem raz na miesiąc lub dwa, głównie w jego nowym domu. Pani Teresa szykowała się na moje wizyty bardzo starannie, gotowała, piekła, dogadzała mi, jak umiała. Być może robiła to ze względu na niego albo w ten sposób próbowała mi choć trochę zrekompensować brak ojca. Nie pytałam w każdym razie. Mama nie była rada z moich wizyt u taty, ale nic nie mogła na nie poradzić. Czasem próbowała ode mnie wyciągnąć informacje, jak im się razem układa, nie byłam jednak aż tak złośliwa, by ją raczyć opowieściami o jego małżeńskim szczęściu. Bo tata był szczęśliwy i to nie ulegało wątpliwości. Było to widać w sposobie, w jaki patrzył na swoją nową żonę, jak się do niej odnosił i jak ona odnosiła się do niego. Nigdy dotąd nie widziałam u ojca tak czułych spojrzeń i gestów. Pani Teresa była dla mnie bardzo miła, ale nie wylewna. Lubiłam u nich bywać, choć te spotkania niczego nowego w moje życie nie wносиły – ani dobrego, ani złego.



Przed mamą stało jeszcze jedno zadanie: skoro ogród wyglądał już teraz więcej niż dobrze, należało na czas imprezy pilnie wyekspediować dokądś babcie.

– Taki ładny weekend się zapowiada, nie wybrałabyś się na jakąś pielgrzymkę, do Częstochowy na przykład czy innego Lichenia? – Mama zaczęła drążyć temat już tydzień wcześniej.

– Akurat nie ma żadnych pielgrzymek, ani do Częstochowy, ani do Lichenia – odparła babcia ku mojej uciechu.

– A... gdzie indziej?

– Są. Jedna do Medjugorie, a druga do Lourdes. I chyba do papieża, zdaje mi się.

– Bliżej nie ma?

– Ale czemu ja mam jechać na pielgrzymkę właściwie?

Babcia, oczywiście bardzo dobrze wiedziała czemu, ale mama nigdy nie wyjaśniała takich manewrów wprost.

– Ciągłe tkwisz w jednym miejscu, zajmujesz się domem, należy ci się – odparła pokrętnie i tym razem.

– No to niestety, nie skorzystam – westchnęła babcia. – Nie stać mnie

przecież.

Mama z trudem ukryła irytację i na chwilę dała spokój.

– No dobrze – wróciła do tematu po dwóch dniach. – A gdybym ci zafundowała taki wyjazd?

– Kochana jesteś, Joasiu, ale nie narażę cię na taki koszt, przecież wiem, że musiałybyś wydać wszystkie oszczędności – powiedziała babcia.

– Co tam, wiem, że zawsze marzyłeś o zobaczeniu tych wszystkich cudów. Możesz już nie mieć więcej okazji, a nuż zdrowie ci przestanie dopisywać...

Spojrzałam na babcię z niepokojem, bo ta uwaga z pewnością nie była w „dobrym stylu”. Ale w jej oczach zamiast uczucia przykrości ujrzałam tak dobrze znany, charakterystyczny błysk.

– W takim razie pędzę się zapisać, może jeszcze znajdzie się miejsce. – Babcia autentycznie się ucieszyła i poszła się przebrać.

Cały jej chytry plan zrozumiałam w dniu przyjęcia.

– Nie pakujesz się? – spytała mama rano niewinnie.

– A co tu pakować na trzy dni? Coś na grzbiet, coś do spania i parasol od wszelkiej biedy.

– Aha. A o której wyjeżdżacie?

– O piętnastej zbiórka pod kościołem.

Mama powtarzała swoje pytanie mniej więcej co godzinę, za każdym razem z węższym uśmiechem na twarzy. Gdy w okolicach czternastej zastała babcię beztrudnie szykującą sobie w kuchni obiad, nie wytrzymała.

– Mamo! Co ty kombinujesz? Zapłaciłaś za tę pielgrzymkę czy nie?

– No pewnie, że zapłaciłam. Chcesz kwit?

– Nie chcę żadnego kwitu! Chcę tylko wiedzieć, dlaczego na niecałą godzinę przed wyjazdem nie jesteś jeszcze gotowa!

– Godzinę? Jak to godzinę? – Babcia pogrywała sobie na całego.

– Mówiłaś, zdaje się, że o piętnastej zbiórka...

– Ojej, pewnie źle mnie zrozumiałaś, Joasiu. Owszem, ale jutro, nie dziś!

– Jak to... nie dziś?

– No nie. Wyjeżdżamy o piętnastej trzydzieści w niedzielę. Spod kościoła. Długo do tego grilla? Bo nie wiem, ile teraz zjeść...

– Za... zamierzasz być na grillu?

– No pewnie, cały tydzień się na niego nastawiam.

Mama miała bladą, nieruchomą twarz i obłęd w oczach.

– Marzenka, zrób coś – syknęła mi prosto w ucho, uprzednio zawlókłszy mnie za łokieć do siebie. – Ona nie może mi zepsuć tego przyjęcia!

– Co ja mogę?

– Jako jedyna w tym domu masz wpływ na tę kobietę. Wiem, że możesz.

– Nawet jeśli mogę, to nie chcę – odwróciłam się, żeby odejść, ale mama

znów złapała mnie za łokieć.

– Marzenka! To leży w twoim własnym interesie! Jak myślisz, po co ja to robię? Co? Ten grill to inwestycja w twoją przyszłość!

– Tak? – autentycznie się zdziwiłam, bo każda impreza w tym domu była inwestycją w jakąś przyszłość, ale nigdy dotąd w moją.

– Państwo Tyliczowie przyjdą z synem. Chciałabym, żebyście się poznali i zaprzyjaźnili.

– Okej. Ale co ma do tego babcia?

– „Okej” to nie jest wyrażenie dla dobrze ułożonej panienki! Syn państwa Tyliczów z pewnością tak nie mówi!

– Dobrze, proszę mamy – spróbowałam jeszcze raz. – A co babcia ma do tego?

Mama spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Myślę, że doskonale wiesz, co ma. Ona po prostu wszystko jak zwykle zepsuje.

– Uważasz, że z powodu babci syn państwa Tyliczów nie zechce się ze mną zaprzyjaźnić? – brnęłam w tę głupią dyskusję.

Mama na moment straciła rezon. Musiała przemyśleć odpowiedź.

– Może i zechce, ale ona narobi ci wstydu.

– Mnie nie. Ja się babci nie wstydzę.

Moja odpowiedź najwyraźniej mamusię przerosła. Mogłaby oczywiście ją skomentować, ale musiałyby przyznać, że to ona się wstydzi własnej, rodzonej matki. A jeszcze nigdy dotąd nie nazwała sprawy po imieniu. To by było „bez klasy”.



O siedemnastej zaczęli schodzić się goście i obsługa. Mama zatrudniła praktykantów ze swojej restauracji do operowania grillem i kelnerowania. Pogoda dopisała jak na zamówienie. Tylicz senior przyniósł mamie kwiaty, a Tylicz junior – mnie. Muszę przyznać, że zrobił na mnie ogromne wrażenie: wysoki, zgrabny, opalony, o naprawdę ponadprzeciętnej urodzie. Obcisłe dzinsy i sportowa koszula z krótkimi rękawami doskonale eksponowały jego wysportowaną sylwetkę.

– Marzena to piękne imię. Jak marzenie – powiedział i obdarzył mnie bukietem oraz najpiękniejszym w świecie męskim uśmiechem.

Nataniel zupełnie nie wyglądał na młodszego ode mnie ani z wyglądu, ani z zachowania.

– A tośmy popełnili nietakt, tato. W tym domu jest jeszcze jedna dama – stwierdził na widok babci i natychmiast zrekompensował jej brak kwiatów

szarmanckim pocałunkiem w rękę. Tata Tylicz zrobił to samo.

– Dlaczego nas nie uprzedziłaś, Joanno? – zapytał z lekkim wyrzutem.

– Mama... miała w zasadzie do ostatniej chwili inne plany – odparła i prędko wskazała gościom ich miejsca.

Na szczęście impreza była plenerowa i nie kazano mi grać. Po dość sztywnym początku, gdy goście zaczęli się rozkręcać, a dyskusje przeradzać się w mniej oficjalne, usiedliśmy z Natanielem na ławce w pewnym oddaleniu od centrum wydarzeń. Rozmawialiśmy, jak to na początku każdej znajomości: o szkole, zainteresowaniach, filmach i muzyce. Popularnej, rzecz jasna. Okazało się, że mamy całkiem podobne gusta i pokrewne pasje. Gdy zaczęła zapadać szarówka, Nataniel przyniósł mi sweter. A kiedy zgłodnieliśmy i dołączyliśmy do stołu, usługiwał mi jak prawdziwy dżentelmen. Babcia posiedziała z gośćmi tylko chwilę i poszła się pakować. W końcu swój cel już osiągnęła.

– Marzenko, a może zaprosisz koleżkę do siebie? – spytała w pewnym momencie mama. – Pokażesz mi swój pokój i kolekcję płyt?

– Jeśli o mnie chodzi, to bardzo chętnie – odpowiedział za mnie Nataniel. – Co o tym sądzisz?

Bez słowa ruszyłam przed siebie, a on za mną. Dla mnie pytanie mamy było poleceniem.

– Fajny pokój, sama go urządziłaś? – pochwalił Nataniel, rozglądając się dookoła.

– Nie, to aranżacja mamy – odparłam jak „ułożona młoda dama”.

W moim pokoju wszystko było zrobione pod jej gust, nie było żadnego plakatu na ścianach, naklejek na meblach, maskotek czy innych infantylnych gadżetów. Przypuszczam, że gdyby ktoś nie wiedział, kim jest mieszkanka owego lokum, pewnie nie wpadłby na to, że jest nim zwyczajna nastolatka. Przeczył temu choćby idealny porządek.

– Nie martw się, moi starsi też tak mają. – Nataniel się roześmiał. – Ich zdaniem wszystko co bym zrobił, zrobiłbym gorzej od nich. Też urządzili mi pokój. Mama wybiera mi ubrania, a tata elektronikę. Teraz zamierza mi wybrać samochód.

– Serio? – Spojrzałam na niego zdziwiona, bo raczej nie wyglądał na maminsynka. – I ty się na to godzisz?

– A ty? – odpowiedział pytaniem.

– Nie mam innego wyjścia.

Nataniel usiadł na sofie i roześmiał się głośno.

– Ja mam – odparł. – Ale to jest zwyczajnie nieopłacalne. Usiądziesz?

Zajęłam miejsce na samym brzegu.

– Masz tu coś sensownego do picia?

– Jest cola i mineralna bez gazu.

– Nie to miałem na myśli... – Puścił do mnie oko.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Babcia jeszcze nie spała i obdarowała mnie jedną z dwóch butelek wiśniówki, które już miała spakowane na drogę.

– No cóż – powiedział Nataniel na widok mojego łupu – brandy się raczej nie spodziewałem. Ale może być. Palisz?

– Tak, ale raczej nie w domu. Chyba, że mamy nie ma.

– Ja palę całkiem oficjalnie. Daj jakąś popiołkę, będzie na mnie, jakby co.

Wyjęłam ukrytą w tapczanie popielniczkę, kieliszki i paczkę pall malli.

– No, widzę, że z ciebie równa dziewczyna – stwierdził z aprobatą Nataniel.

– Może wobec tego jeszcze jakaś muzyczka? Twoja starsza wspominała o kolekcji płyt...

– Owszem, ale to sama muzyka poważna. Mogę włączyć radio, jeśli chcesz.

– Okej, ale znajdź coś do sensu.

A jednak syn państwa Tyliczów używał słowa „okej”. Używał też określenia „starsi”, pił i palił. Ciekawa byłam, co moja mama by na to powiedziała.

W miarę opróżniania butelki wiśniówki nasza rozmowa robiła się coraz bardziej swobodna. Nataniel miał duże poczucie humoru i spory dystans do otaczającej go rzeczywistości. Opowiadał różne dykteryjki, używając sobie przy tym ile wlezie na własnych rodzicach. Kiedy na dworze zrobiło się ciemno, w moim pokoju panował półmrok rozpraszany wyłącznie przez światło ulicznej lampy. Okno mojego pokoju nie wychodziło na ogród, więc nie mieliśmy żadnej kontroli nad tym, co dzieje się na zewnątrz. Zupełnie więc się nie spodziewałam nadejścia mamy. Weszła dość cicho i zapaliła światło. Nie miałam na szczęście papierosa w ręce, oboje za to mieliśmy kieliszki z wiśniówką. Zdrętwiałam.

– Och, tu sobie siedzicie? Przepraszam, już gaszę. Marzenko, zamknij potem okno dobrze? Bo się komarów nazlatuje.

Już miała wychodzić, gdy odwróciła się jeszcze na chwilę i spojrzała na stojącą na podłodze butelkę.

– Ależ ze mnie gospodyni! Zupełnie nie pomyślałam, żeby kupić dla was jakieś delikatne wino. Ale na szczęście twój kolega o to zadbał.

– Ejże, nie jest z nią aż tak źle – skomentował Nataniel po wyjściu mamy.

Nie odpowiedziałam.

– Czym się smucisz? – przysunął się do mnie bliżej.

– Nie smucę się. Chyba popadłam w zadumę.

– Ale nie smutną, mam nadzieję?

– W... zadumaną.

Wówczas Nataniel objął mnie za szyję i pocałował. Pachniał tytoniem i alkoholem. Jego język jakimś cudem znalazł się w moich ustach i zmierzał w kierunku gardła. To nie było miłe. Odepchnęłam go od siebie i wstałam.

– Czyżbym się pomylił i nie jesteś tak miłą dziewczyną, jak mi się wydawało? – spytał zawiedziony.

– Miłą, czyli jaką? – Po tym jego pytaniu wszystkiego mi się odechciało.

– No wiesz... miłą, po prostu.

– Jestem. Ale chyba inaczej to rozumiemy.

Podeszłam do drzwi i zapaliłam światło.

– Czy to znaczy, że koniec imprezy?

– Nie. Zaświeciłam, bo było ciemno.

– Wobec tego może zobaczę, jak się bawią rodzice – oznajmił Nataniel i wyszedł.

I to rzeczywiście był koniec imprezy. Goście powoli zbierali się do odejścia, a gdy dołączył do nich syn, uznali, że czas wracać do domu. Wynajęta obsługa sprzątała pozostałości po imprezie, mama więc miała czas, by zajrzeć do mnie przed snem.

– Czemu Nataniel tak szybko wyszedł, stało się coś? – spytała.

– Nie. Wyszedł, bo widocznie już pora była na niego.

– Obawiam się, że nie mówisz prawdy. Sprawiał wrażenie wzburzonego.

Zrobiłaś mu coś?

– A cóż ja bym mu mogła zrobić?

– Jakąś przykrość na przykład.

– Więc mu chyba zrobiłam. Chciał mnie pocałować, ale nie pozwoliłam na to. Tak mnie przecież wychowałeś.

Mama spojrzała na mnie jak na niedorozwiniętą.

– Nie, nie tak cię wychowałam. Wpajałam ci zawsze, że nie powinnaś się zadawać z byle kim. Sam pocałunek z porządnym chłopcem to nie zbrodnia.

– Przecież ja go kompletnie nie znam...

– Dlatego właśnie go zaprosiłam, żebyś mogła go poznać.

– Okej. Jak go poznam, to go będę całować. *À propos*, on mówi „okej”.

– Tak się dziś przecież mówi. – Mama wzruszyła ramionami.

Miałam wielką ochotę podejść do ściany i z całej siły przywalić głową w mur. Nie zrobiłam tego. Nalałam sobie za to pełny kieliszek wiśniówki i wychyliłam jednym haustem. Mama nawet okiem nie mrugnęła.

– To bardzo wartościowy chłopak – powiedziała na odchodne. – Przemyśl to. Druga taka znajomość może ci się już nie przytrafić.

Rozdział 9

Pierwsza miłość



Przez następny rok uczyłam się do matury, pilnie ćwiczyłam grę na pianinie i spotykałam się z Natanielem. Nie sądziłam, że tak się stanie, bo po incydencie towarzyszącym naszemu poznaniu się nie bardzo miałam ochotę na kolejne spotkania. Nataniel jednak przyszedł do mnie nazajutrz z czekoladkami i przeprosił za swoje zachowanie. Na wszelki wypadek nie zapraszałam go do siebie, posiedzieliśmy więc trochę na ławce w ogrodzie.

– Chyba wiśniówka tak na mnie podziałała – wyznał ze skruchą. – Zwykle nie jestem aż tak natarczywy.

Sprawił wrażenie szczerego i przejętego tym, co zaszło, więc szybko mu wybaczyłam. Nie bez znaczenia były przy tym jego wygląd i urok osobisty. Jak tylko puściły pierwsze, a w zasadzie drugie lody, nasze rozmowy znów stały się swobodne, a nawet całkiem zabawne. Dużym plusem naszej znajomości było to, że nie musiałam w ogóle kręcić i kombinować – miałam na nią całkowite przyzwolenie mamy. Mogłam przyjmować Nataniela u siebie o dowolnej porze, wychodzić z nim wieczorami do kawiarni, kina czy na dyskotekę. Moje postępy w nauce zeszyły u niej na drugi plan, ja jednak z przyzwyczajenia byłam pilną uczennicą i rozsądnie godziłam obowiązki z przyjemnościami.

Pierwszego wieczoru, gdy Nataniel zaprosił mnie na kawę, spotkaliśmy w knajpce Beatę, Elę i Patrycję. Pomachałam do nich. Moja niechęć do koleżanek z czasem minęła i spotykałyśmy się nadal, prawie jak dawniej. Prawie, bo nie wracając już do pewnych tematów. Tyle wystarczyło, by dziewczyny natychmiast przysiadły się do nas.

– Może przedstaw nas sobie? – zażądała Patrycja.

Rada nierada dokonałam prezentacji. Nataniel nie wyglądał na przejętego niespodziewanym towarzystwem.

– Co dla pań? – spytał. – Woda czysta czy ognista? Ja zapraszam.

– Skoro tak, ma się rozumieć, że ognista – odpowiedziała za wszystkie Beata.

Nataniel natychmiast znalazł z moimi koleżankami wspólny język, dzięki czemu całkiem miło spędziliśmy czas. Jak tylko wyszedł do toalety, dziewczyny na mnie napadły:

– Ja nie mogę, Marzena, skąd wytrzasnęłaś takie zjawisko? To twój facet? – spytała Patrycja.

- Mój. To znaczy spotykamy się od pewnego czasu.
- Kurde, zawiść mnie zżera... A was?
- Niewątpliwie – odarła Ela. – Mój Gregor niestety nie jest taki śliczny. Ale mów, Marzenka, kto zacz?
- Syn znajomych mamy. Sprowadzili się tu nie tak dawno.
- Do tej zarąbistej willi na Herbacianej?
- Do tej.
- Łał! Kurza mordą, a to ci się jednak matka na coś przydała. Słyszałam, że to są niezłe ustawiona rodzina?...
- Podobno – odparłam niechętnie, bo dla mnie nie był to akurat żaden plus.
- Życ nie umierać! – podsumowała Patrycja z podziwem. – Nie pytam nawet, jaki jest w te klocki, bo założę się, że nie wiesz.
- Uspokój się. – Ela trąciła ją łokciem.
- No co, już nic powiedzieć nie wolno?
- Masz rację, nie wiem – odpowiedziałam. – I na razie mnie to nie ciekawi.

Na szczęście wrócił Nataniel i przerwał ich dociekania. Bawiliśmy się w piątkę aż do zamknięcia kawiarni. Dziewczyny miały już w sposób widoczny w czubie i w sumie chętnie poszłyby gdzieś jeszcze, ale skoro ja zrejterowałam, zrobił to też Nataniel, a perspektywa imprezowania we własnym gronie widać aż tak ich nie bawiła. Odprowadził mnie więc do domu, siłą rzeczy również Elę i Beatę, a potem zadbał o bezpieczny powrót Patrycji, która mieszkała znacznie dalej.

To przypadkowe spotkanie zaowocowało kolejnymi, już w szerszym gronie, bo dołączyli do niego chłopacy koleżanek: Gregor, czyli Grzesiek Patrycji, Motor, czyli Janusz Beaty, i Gibon Eli, też Grzesiek.

– A ty? Masz jakąś ksywkę? – spytała Beata Nataniela, gdy się sobie przedstawili.

– Miałem w poprzedniej budzie, tu się jeszcze nie dorobiłem – zaśmiał się Nataniel.

– Jaką?

– Mniejsza z tym, została w przeszłości. Pomyślmy lepiej, dokąd pójść – spróbował zmienić temat.

– Nie powiesz nam? Taki z ciebie kumpel? – naciskała Patrycja.

– No, skoro ona się wzięła do przesłuchania, nie masz wyjścia – zaśmiała się Ela. – Jeszcze jej nie znasz, ale gotowa jest na pewno pojechać tam, skąd przybyłeś, żeby się dowiedzieć.

Nataniel sposepniał. Po chwili roześmiał się i odpowiedział:

– Wikary. Lżej wam?

– O matko. A czemuż to tak?

– Nie wiem. Może mam gadane jak ksiądz... W każdym razie na imię mam

Nataniel i to wystarczy.



Im bardziej mama była zadowolona z naszej znajomości z Natanielem, tym bardziej sceptyczna stawała się babcia. W sumie nie dziwiło mnie to ani nie niepokoiło, od dawna bowiem znałam je obie i zdążyłam się przyzwyczaić, że ich poglądom nigdy nie było po drodze. Ja, jako solidnie zakochana już w Natanielem, skupiałam się wyłącznie na nim i na mnie, lekce sobie ważąc zarówno niezdrowy entuzjazm mamy, jak i podejrzaną wątpliwość babci. Oczywiście dopóki nie wywiązała się z tego jakaś awantura. Dobrze pamiętam pewien znamieny wieczór, kiedy to oboje z Natanielem zostaliśmy zaproszeni na osiemnaste urodziny jego kuzynki, które miały się odbyć w dość kameralnym gronie, w górskim pensjonacie. Zupełnie, ale to zupełnie bez żadnych dorosłych – tak bowiem widzieli wejście w dorosłe życie swojej córki jej rodzice. Ich udział w imprezie ograniczył się jedynie do jej zorganizowania i opłacenia. Byłam już prawie spakowana (czynność tę nadzorowała pilnie mama, bym nie zapomniała niczego i by wszystko, co z sobą zabieram, było najwyższej jakości), gdy do akcji wkroczyła babcia.

– Przyjdź do mnie, jak skończysz, moje dziecko – zażądała oficjalnym tonem.

– Po co? – spytała mama, stając między nami.

– Ja też mam coś dla niej na drogę – odparła babcia i poszła do siebie.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz słuchać jakichś przestarzałych dyrdymałów sprzed pół wieku? – Mama spojrzała w stronę oddalającej się babci z niesmakiem.

– Nie wiem. Bo nie mam pojęcia, o co chodzi – odpowiedziałam dyplomatycznie.

Babcia posadziła mnie naprzeciw siebie przy stole i napełniła dwa kieliszki cytrynowką.

– Wypij, Marzenka, przed podróżą. – Nie czekając, wychyliła swoją wódeczkę.

Zrobiłam to samo.

– Wiesz, ja mam całkiem inne pojęcie o życiu niż twoja matka. Ale zależy mi na tobie jak na mało kim, więc powiem ci, że mój nos nie wyczuwa tu nic dobrego...

Babcia wyglądała na rzeczywiście przejętą.

– To znaczy? – spytałam.

– Chodzi o tego... chłopaczka. Nie zrozum mnie źle, ale coś mi się w nim

nie podoba...

– Przesadzasz, babciu. Ale oczywiście, doceniam twoją troskę.

– Nie! Nie przesadzam, tylko że... nie bardzo potrafię powiedzieć, o co mi chodzi. Wiem jedno: to nie jest partia dla ciebie. Jest w nim coś takiego, co nie daje mi spokoju. Nieszczerość jakaś czy coś...

– Babciu! – zaśmiałam się w głos. – Ale ja sama nie wiem, czy to jest partia dla mnie, to się okaże z czasem! Ja w każdym razie donikąd się nie śpieszę.

– Ja wiem, Marzenko... – Babcia złapała mnie za rękę. – Rozsądna z ciebie dziewczyna, ale wierz mi, że są rzeczy, których rozsądek nie ogarnia... po prostu się dzieją, nie wiadomo kiedy... A to nie jest dobry chłopak. Tak to czuję.

– Bez obawy, babuniu, nie zamierzam zająć w ciążę, jeśli o to ci chodzi.

– Ale... tak sobie pomyślałam, że może powinnaś coś na ten temat wiedzieć... – powiedziała babcia i natychmiast poczerwieniała.

Kochana babunia, na pewno ta rozmowa dużo ją kosztowała.

– Babciu... możesz być spokojna, naprawdę, bo ja nie zamierzam... robić tego, z czego biorą się dzieci – zapewniałam i właśnie chciałam się do niej przytulić, gdy nagle w drzwiach babcinego pokoju ukazała się matka.

– To już przechodzi wszelkie granice – oznajmiła złowrogo. – Mamo, czy ktoś cię prosił o tego rodzaju wykłady?

– Nikt mnie nie musiał prosić, jeszcze mam prawo mówić, co chcę!

– Weź pod uwagę, kobieto, że Marzenka jest moją córką, a nie twoją!

Wtedy stało się coś dla mnie dziwnego. Babcia wstała, popatrzyła mamie w twarz i wolno cedząc słowo po słowie, odparła:

– Zależy jak na to spojrzeć!

Mama, która najwyraźniej miała zamiar coś jeszcze powiedzieć, odwróciła się na pięcie i pociągnęła mnie za sobą.

– Zaraz przyjedzie po ciebie Nataniel, a ty się wdajesz w bezsensowne dysputy z... tą niereformowalną kobietą...

Wówczas, podekscytowana wyjazdem, nie bardzo miałam głowę do analizowania powyższego zajścia. Pierwszy raz w życiu miałam wziąć udział w „dorosłej” imprezie, bez towarzystwa mamy czy nawet babci.

Właściwie nie wspomniałam tu o jednej rzeczy: ten wyjazd miał miejsce w roku, w którym jesienią powinnam być już dumną studentką Akademii Muzycznej w jakimś ważnym ośrodku akademickim, ale tak się nie stało. Dziś doskonale wiem, dlaczego nagle mama z jakichś przyczyn uznała, że nie powinnam od razu po maturze zdawać na studia, lecz kolejny rok poświęcić dalszym prywatnym lekcjom gry na pianinie, by zwiększyć swoje szanse na zdanie egzaminu wstępnego rok później. Wówczas była to dla mnie rzecz niewytłumaczalna, bo to matka właśnie jak nikt inny dążyła do tego, bym jak najprędzej zrobiła muzyczną karierę. Po jakimś czasie zrozumiałam jednak, że

„kariera” była dla matki znacznie szerszym pojęciem niż tylko sukcesy na polu zawodowym. Karierą było też dla niej odpowiednie zamążpójście i tego właśnie zamierzała w pierwszym rzędzie dopilnować. Nataniel był ode mnie o rok młodszy, więc zanim ukończyłby szkołę średnią, ja już od roku studiowałabym gdzieś daleko od domu. A to niosło ze sobą ryzyko, że jakaś pannica sprzątnie mi go sprzed nosa. Najwyraźniej mama umyśliła sobie, że Nataniel po zdanej maturze wybierze się na studia na jakąś prestiżową uczelnię, a wówczas i ja znajdę dla siebie coś nieopodal.



Bożenna, kuzynka Nataniela świętująca swoją osiemnastkę, była dziewczyną nadzwyczaj miłą i ciepłą. I rozsądną, jak na dziewczynę, która po raz pierwszy w życiu miała robić za panią domu, podczas gdy jej goście nie byli osobami specjalnie dojrzałymi. Zaraz po przyjeździe rozdysponowała pokoje, osobno dla dziewczyn i osobno dla chłopaków, wychodząc z założenia, że w ten sposób spełniła swoją powinność. Zaś jak to będzie wyglądało w praktyce, i tak będzie zależało od nas samych. Właściwa impreza miała się odbyć w dużym pokoju gościnnym, przewidzianym na tego rodzaju zjazdy. Była cała masa jedzenia, wino i szampan na toast. I muzyka, rzecz jasna.

Początkowo miałam obawy, że nie odnajdę się wśród tak licznej grupy zupełnie nieznaney mi młodzieży, jednak opiekuńczość „pani domu” i „mojego” Nataniela sprawiła, że wszystkie lody natychmiast zostały przełamane. W tych ludziach, należących do sfer, w których tak bardzo rada byłaby mnie widzieć matka, nie było za grosz snobizmu, nikt nie podkreślał swojej wyjątkowości, nie chlubił się czymkolwiek i nie licytował, choć każdy z nich z całą pewnością miałby czym zaimponować swoim rówieśnikom. Choćby własnymi samochodami, ciuchami czy kieszonkowym, które śmiało mogło konkurować z zarobkami niektórych „zwykłych” dorosłych. Być może uznali mnie za swoją i z tego powodu całkiem bezproblemowo mnie zaakceptowali, a może tacy po prostu byli. Nie mam pojęcia, musiałbym ich pewnie zobaczyć w relacjach na przykład z kolegami z klasy. Mimo to bywały chwile, w których czułam się nieswojo – bo ja wiedziałam, że nie jestem postacią z tej bajki.

– Świetna kiecka – pochwaliła piękna, wysoka i gibka jak trzcina brunetka o orientalnej urodzie, gdy spotkałyśmy się w którymś momencie przy bufecie. – Od kogo?

W pierwszej chwili pomyślałam, że dziewczyna pyta od kogo ją dostałam, a konkretniej, po kim ją donaszam, i zrobiło mi się głupio. Tym bardziej, że moja sukienka była w istocie przeróbką którejś z balowych kreacji matki. Zaraz jednak zorientowałam się z ulgą, że chodzi jej o markę.

– W sumie nie wiem... mama ją gdzieś zamówiła... – odparłam niemal zgodnie z prawdą.

– Och te mamuśki, czasem się jednak przydają... – zaśmiała się dziewczyna.
– Laura jestem, a ty?

– Marzena – przedstawiłam się dość cicho, bo moje imię, jak i ja cała, na tle tych ludzi wypadają niezwykle pospolicie. Z tego, co zapamiętałam z prezentacji Nataniela, na przyjęciu Bożenki bawili się między innymi Nora, Betina, Ligia i Debora, Iwo, Borys i Kordian.

– Fascynujące imię! – zachwyciła się Laura. – Takie świeże i wiosenne, a przy tym bezpretensjonalne... Chodź, musimy koniecznie razem się napić.

Usiadłyśmy same nieco na uboczu toczącej się imprezy. Laura przyniosła butelkę wina i dwa kieliszki.

– Uwielbiam poznawać nowych ludzi – oznajmiła, wręczając mi napełnioną po brzegi lampkę. – Co porabiasz w życiu tak w ogóle?

– Teraz akurat niewiele. Przygotowuję się do egzaminów do akademii muzycznej.

– Serio? To genialnie! Właściwie poza moim bardzo dalekim kuzynem, który studiuje malarstwo, nie znam żadnego artysty. Uważam jednak, że każdy szanujący się człowiek powinien mieć w gronie znajomych jakiegoś artystę. Nie sądzisz?

– Nie wiem, bo ja mam głównie takich znajomych. – Roześmiałam się, bo gdybym w istocie miała wyliczyć osoby, które znam, byłoby to w większości moi koledzy i koleżanki ze szkoły muzycznej. Plus Ela, Patrycja i Beata.

– Boże, jak ja ci zazdroszczę... – Laura spojrzała na mnie z niekłamanym podziwem. – Ten luz-blues, swoboda obyczajów i inne przywileje... Jak ja bym tak chciała!

– Nie masz wystarczającej swobody? – zdziwiłam się, bo odniosłam zupełnie inne wrażenie.

– Owszem, mam, ale... jakby innego rodzaju. Starzy za wiele mi nie zabraniają, bujam się gdzie chcę i z kim chcę. Oczywiście są jakieś zasady: nauka przede wszystkim, czerwone paski na świadectwach i powroty do domu w przyzwoitym stanie i o przyzwoitej godzinie dają przepustkę do tej swobody, ale jak przychodzi co do czego, oni podejmują decyzje. Już od dziecka wiem na przykład, że po maturze będę startować na medycynę. Gdybym miała jakiś talent, to co innego, nikt by mi nie zabronił iść w tym kierunku. Ale nie mam, niestety...

– A dlaczego nie chcesz iść na medycynę?

– Bo się do tego kompletnie nie nadaję. Nawet nie chodzi o to, że się boję krwi czy oglądania umarłaków, ja po prostu... nie mam cierpliwości do ludzi. A już w szczególności do tych obolałych i marudnych... I cholernie brzydzę się zarazkami. Ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz? – podsumowała filozoficznie.

– Czemu więc akurat twoi rodzice tak się upierają przy medycynie? Są jeszcze inne dobre zawody: prawo, architektura, dziennikarstwo...

– Ha, ha, a to dopiero trafiłaś w sedno! – Moja odpowiedź wyraźnie ją rozbawiła. – Widzisz tego blondyna przy oknie? To Kordian. Będzie studiował prawo, bo jego rodzice są prawnikami. Ta laska obok niego to Debora. Jej ojciec jest wziętym architektem, ma własne biuro projektów, więc i jej los jest już przesądzony. Moi starzy są lekarzami. I na tym to polega...

– O czym tak żywo dyskutujecie? – W pewnym momencie podszedł do nas Nataniel. – Mam nadzieję, Laura, że nie zanudzasz mojej księżniczki kieckami i najnowszymi trendami w damskim fryzjerstwie?

Zrobiło mi się bardzo przyjemnie, nie tyle z powodu troski jego o mnie, co nazwania mnie swoją księżniczką.

– Raczej nie. Jesteśmy akurat w temacie naszej zawodowej przyszłości. No właśnie, *à propos*, spośród nas wszystkich tylko Nataniel się jeszcze nie określił. Obawiam się, że jak już on coś wymyśli, będziesz zmuszona biec za nim na Harvard co najmniej – odgryzła się Laura.

Spojrzałam na mojego chłopaka pytająco, bo do tej pory rzeczywiście nigdy nie słyszałam od niego o jego życiowych planach.

– A ty jak zwykle wszystko musisz wiedzieć. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, słyszałaś kiedyś o tym? – odparł bez cienia uśmiechu na twarzy.

– No chyba, że tobie powiedział? Jeśli tak, to podzielisz się rewelacjami z przyjaciółką? – Laura trąciła mnie łokciem i puściła oko. Nie miałam pojęcia, co powinnam odpowiedzieć, więc na wszelki wypadek nie odpowiedziałam.

– Chodź maleńka, zatańczymy. Stęskniłem się za tobą. – Nataniel chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę kołyszących się w takt muzyki, ciasno złączonych ze sobą par.

– Przykro mi to mówić – szepnął, pochylając się w moją stronę – ale... na urodzinach mojej własnej kuzynki bawi dość płytkie towarzystwo. Nawet, jeśli sprawiają całkiem inne wrażenie. Wierz mi, znam ich od lat.

– A ty? Gdzie do tej pory byłeś? – spytałam, tuląc się do niego.

– Potrzebowałem chwili samotności. A wcześniej grałem z Iwem w bilard w sali obok... I wiesz co?

– Co?

– Najlepiej mi z tobą i tylko z tobą. Tak blisko jak teraz...

Przetańczyliśmy kilka piosenek w milczeniu, nie mając potrzeby mówienia o czymkolwiek. Czułam się w jego ramionach cudownie. Kochałam go wówczas jak szalona, zwłaszcza że to już od dawna nie był ten sam Nataniel, którego poznałam na przyjęciu matki. Przez rok naszego „chodzenia” spowaźniał i wydorósł, nigdy więcej nie powtórzył swojego ówczesnego zachowania, czyli krótko mówiąc, nie dostawiał się już do mnie tak obcesowo. Przez ten czas, choć to

może niewiarygodne, pocałowaliśmy się raptem kilkanaście razy, a on nigdy nie dążył do niczego więcej. I chyba dlatego tak bardzo zapadł mi w serce, miałam bowiem świadomość, że jeśli jest ze mną, to dla mnie samej, nie zaś dla fizycznych korzyści, które mógłby czerpać z tej relacji. A to oznaczało, że byłam dla niego kimś więcej niż tylko obiektem pożądania...

Impreza wyraźnie miała się ku końcowi, tańczące pary powoli rozpraszały się po kątach, szukając dla siebie odosobnionych miejsc.

– Chwila, chwila! Gawiedzi droga, zanim zmrużycie oczęta, czy co tam innego macie w planach, mam propozycję absolutnie nie do odrzucenia! – wykrzyknęła Laura ni z tego ni z owego i zapaliła górne światło.

Chłopaki i dziewczyny szybko doprowadzili się do porządku i spoglądali teraz na swoją koleżankę raczej niechętnie.

– Zdaje się, że wszystkie możliwe toasty już były – skwitował kwaśno Iwo.

– Na pewno nie będę z tobą grał w bilard o tej porze – mruknął Borys.

– Czy mi się zdaje, czy właśnie odtrącasz moje męskie ramię wraz z innymi atrybutami? – spytał jej chłopak Iwo.

– Nie chcę grać w bilard, nie chodzi mi też o toasty ani o twoje, że tak powiem, ramię, Iwo. Rzecz jest znacznie bardziej wzniosła. Otóż... ja nie wiem, czy wy wiecie, że mamy pośród nas artystkę – kontynuowała Laura. – Utalentowaną i niepospolitą, która za lat parę koncertowała będzie za daleką granicą, a o bilety bić się będą nie tacy jak wy! Jest więc jedyna i niepowtarzalna okazja posłuchać jej za free. W sali obok jest fortepian. Nie odmówisz nam Marzenko, co nie?

Poczułam się jak wywołana do tablicy, znienacka, bez uprzedzenia i bez przygotowania.

– No co ty? – wyjąkałam. – To nie czas i nie miejsce, a poza tym nie sądzę, żeby pozostali poparli twój pomysł.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu tu i ówdzie rozległy się głosy aprobaty.

– Proszę, zagraj coś. Cokolwiek – poprosił cicho Nataniel. – Chcę się tobą pochwalić....

To był argument, któremu nie mogłam się sprzeciwić. Przeszliśmy więc wszyscy do sąsiedniego salonu. Zasiadłam do instrumentu i praktycznie bez zastanowienia zaczęłam grać mój ulubiony nokturn Szopena, utwór jednocześnie rzewny i dynamiczny, taki, który moim zdaniem musiał dotrzeć do najgłębszych pokładów duszy każdego, kto go choć raz posłuchał. Już po pierwszych dźwiękach umilkły wszelkie rozmowy, moi słuchacze zaczęli otaczać mnie coraz ciaśniej, siadając bezpośrednio na podłodze. Najbliżej mnie usiadł Nataniel. Obserwowałam go kątem oka, był wyraźnie wzruszony.

Gdy skończyłam, przez jakiś czas panowała kompletna cisza. Z przyjemnością musiałam przyznać, że zdumiała mnie ich reakcja na moją

muzykę... Znacznie większe wrażenie wywarło na mnie jednak to, co zrobił Nataniel: podszedł do mnie, położył głowę na moich kolanach i wyszeptał:

– Kocham cię, malutka, wiesz o tym?

– Nie wiem – odparłam szeptem, ponieważ nigdy wcześniej mi tego nie mówił. – Ale ja też cię kocham.

Zaraz potem rozległy się gromkie brawa. Nie dałam się jednak namówić na kolejny utwór. Moim zdaniem to, co się przed chwilą wydarzyło, było tak kompletne i dopełnione samo w sobie, że cokolwiek bym teraz zagrała, mogłoby jedynie zburzyć tę niezwykłą atmosferę. Tu po prostu nie było już nic do powiedzenia. Zebraliśmy się więc z powrotem w pary i ruszyliśmy do z góry ustalonych pokoi.

Trzymając się z Natanielem za ręce poszliśmy na najwyższe piętro, gdzie zakwaterowała nas Bożenna.

– Gdzie śpimy? – spytałam. – U mnie czy u ciebie?

– U siebie – odparł Nataniel. – Każde w swoim pokoju.

Przystanęłam w pół kroku niezdecydowana. Miałam wrażenie, że albo on wyraził się niejasno, albo ja go nie zrozumiałam. Bo jak nigdy przedtem (i potem chyba również), nie byłam aż tak zdecydowana, by stracić z nim dziewictwo, i on przecież musiał to wyczuć. Mimo deklaracji danych sobie i babci. Bo jeśli chodzi o matkę, to niewykluczone, że na to właśnie liczyła...

– To znaczy? – spytałam zdezorientowana.

– To znaczy, kochanie, że każde z nas śpi osobno. Dziś nie umiałbym się oprzeć pokusie.

– A... gdybym ja tego chciała?

Nataniel przytulił mnie do siebie mocno i tak trwaliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

– Ja też bym tego chciał, pojęcia nie masz, jak bardzo. Są jednak rzeczy, o których nie powinno się decydować pod wpływem chwili.

– Nie rozumiem...

– Marzenko, są w życiu człowieka sprawy tak ważne, że powinien się nad nimi zastanowić dłużej niż chwilę i na pewno więcej niż jeden raz...

– Okej. A zatem dobranoc – odparłam szorstko i poszłam do siebie.

Z jednej strony Nataniel swoją postawą niezwykle mi imponował, z drugiej zaś poczułam się zwyczajnie odrzucona. Kompletnie nie wiedziałam, co o tym myśleć, zwłaszcza że na początku naszej znajomości to ja musiałam mu się opierać, nie on mnie. Uznałam w końcu, że rok dla tak młodego (a w każdym razie o rok młodszego ode mnie) chłopaka to kawał czasu, szczególnie w kwestii jego rozwoju uczuciowo-emocjonalnego. I być może mój instynkt samozachowawczy tak to przerobił, że w gruncie rzeczy moje poczucie klęski szybko zamieniło się w dumę, że mam takiego dojrzałego chłopaka.



Z imprezy wracaliśmy w czwórkę samochodem Nataniela. Usiadłam obok niego na przednim siedzeniu, z tyłu zaś umościła się Bożenna ze swoim Kordianem. Siedzieli przytuleni do siebie, od czasu do czasu dając sobie buziaki. Nataniel, widząc te sceny w wstecznym lusterku sprawiał wrażenie poirytowanego ich zachowaniem. Włączył radio i pruł przed siebie w milczeniu, a na prostych odcinkach, gdy mógł sobie na to pozwolić, trzymał mnie za rękę.

– Ej, co robisz, zwolnij może trochę – zaprotestowała Bożenna, gdy licznik pokazał sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. – Pozabijasz nas, a ja bym jeszcze chciała to i owo od życia!

– Co ty możesz chcieć, robaczku świętojański... – Nataniel roześmiał się jakoś nienaturalnie. – Życie ci samo da, co uzna za stosowne. Albo zabierze. Więc gdyby pisane było ci dzisiaj zginąć, zapewniam, że tak by się stało nawet wówczas, gdybym włókł się czterdzieści na godzinę.

– Kurka blaszka, weź, zwolnij, bo przerażasz mnie, stary – poparł ją Kordian. – I nie o szybkość mi chodzi, bo ja się speedu nie boję, sam lubię docisnąć gaz. Twoja gadka przy tym mnie wnerwia...

– A ty? Co sądzisz, maleńka? – Nataniel ścisnął mocniej moją rękę.

Ja także się bałam, jednak moje zaufanie do Nataniela w tej kwestii, chyba niekoniecznie uzasadnione, brało górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Wierzę w ciebie i wierzę w nasz los – odparłam spokojnym głosem, choć dziś muszę przyznać, że włożyłam w to sporo wysiłku.

– We mnie czy w los? – spytał Nataniel.

– Dla mnie wychodzi na to samo.

– W sumie chyba masz rację. Zależy jak na to spojrzeć – odparł mój chłopak i jeszcze bardziej docisnął pedał gazu.

Dojechaliśmy na miejsce cali, zdrowi i nawet bez mandatu. Tyle tylko że Bożenna i Kordian znacznie gorzej przeżyli tę podróż. Ich stosunek do Nataniela był bowiem zdecydowanie bardziej realny niż mój.

– Wejdiesz na chwilę? – spytałam, gdy podwiózł mnie pod dom.

– Nie, wybaczone, ale jestem cholernie zmęczony – powiedział i pocałował mnie... w czoło.

– Okej, rozumiem. – Przytuliłam się do niego na pożegnanie i sama poszłam do domu.

W kuchni czekała na mnie mama. Widocznie zobaczyła przez okno samochód Nataniela.

– Wiem, że pewnie wszystko, o czym teraz marzysz, to kąpiel i sen,

córeczko – odezwała się do mnie wyjątkowo ciepło – ale jestem tak ciekawa wrażeń z imprezy, że może zechcesz poświęcić mi chwilkę?

Nie czekając na moją odpowiedź, postawiła na stole dwie filiżanki z kawą i ciasto.

– Wszystko w porządku, mamó. Było bardzo miło – odparłam, licząc naiwnie, że taka relacja jej wystarczy.

– Siadaj kochanie. Dobra kawka to jak gorąca kąpiel w pianie, mówię, bo wiem. I proszę o więcej konkretów: jak wasze relacje z Natanielem? Przez cały czas bawiliście się razem? A tak w ogóle, zadowolona jesteś... z niego?

– Bawiliśmy się wszyscy razem, gośćmi jego kuzynki było bardzo zgrane grono, zaprzyjaźnione od lat, takie, co to umie spędzać z sobą czas. Ale szybko się z nimi oswoiłam, a oni ze mną. Więc impreza udała się świetnie.

Mama była jakby trochę rozczarowana.

– Ja rozumiem, oczywiście, towarzystwo towarzystwem, ale może... znaleźliście choć trochę czasu tylko dla siebie?

– Pewnie, że tak.

– To znaczy?

– To znaczy, rozmawialiśmy, tańczyliśmy...

Pytania matki coraz bardziej mnie irytowały. Nawet nie chciałam myśleć, do czego zmierza...

– No tak... Jasne – podsumowała w końcu, jakby tracąc ochotę do dalszej rozmowy.

Zanim jednak mogłam się spokojnie położyć, musiałam wstąpić jeszcze do babci, która czyhała na mnie za drzwiami swego pokoju.

– Cytrynoweczki? – spytała szeptem.

– Nie... Albo daj – zmieniłam zdanie, skoro i tak musiałam odbębnić swoje.

– Mów, jak było! – zażądała babcia.

– W porządku. Jestem cała, zdrowa i... nietknięta, jeśli o to ci chodzi.

– Biedactwo. Pewnie musiałaś bronić swojej godności z całych sił... – Babcia spojrzała mi z niepokojem w oczy.

– A wyobraź sobie, że wcale nie! – odparłam zadziornie. – Mimo że osobiście nie miałam nic przeciwko.

– To znaczy, że on... wcale na ciebie nie nastawał? – zdumiała się babcia.

– Wcale a wcale.

– No tak. Mówiłam przecież, że z tym chłopakiem jest coś nie w porządku.

– Babciu! O ile sobie przypominam, przed moim wyjazdem miałaś całkiem odmienne obawy – zaprotestowałam.

– Takie czy inne, obawy to obawy. I sprawdziły się, niestety. Bo jeśli młody, zdrowy chłop nie próbuje w sprzyjających warunkach uwieść tak pięknej dziewczyny jak ty, coś z nim jest nie tak.

– A może on mnie po prostu szanuje? Może jest młodym, rozsądnym mężczyzną zdającym sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji takiego porywu chwili! – odszczeknęłam się, coraz bardziej zła.

– Moja droga... – Babcia zmarszczyła brwi. – Szacunek szacunkiem. Rozsądek rozsądkiem, ale wierz mi, że bywają sytuacje, w których żaden zdrowy, pełnokrwisty chłop nie będzie ich przedkładał nad swoje przyrodzone chucie. Natura, ot co!

– Babciu!!! – zniecierpliwiłam się już nie na żarty. – Dlaczego mi to robisz? Jeśli już w końcu znalazł się ktoś taki, kogo akceptuję i ja sama, i nawet moja matka, ty nagle zaczynasz mi mieszać w uczuciach?!

– Nie, kochanie. W niczym nie chcę ci mieszać. Wiedz tylko, że jakby on cię jakoś skrzywdził, fuzja myśliwska dziadka nadal znajduje się w skrzyni na strychu...

Dom wariatów – po raz pierwszy w życiu wyraziłam w myśli opinię, przed którą od lat broniłam się z całych sił. Niestety, z czasem, gdy coraz więcej wolno mi było myśleć samodzielnie, takie i im podobne wnioski nasuwały się coraz częściej.

Rozdział 10

Pierwszy dramat



Na jakiś miesiąc przed maturą Nataniela przestaliśmy się widywać całkowicie. Miał mnóstwo nauki, więc taka decyzja z jego strony była dla mnie zupełnie zrozumiała. Było oczywiste, że stara się uzyskać jak najlepsze oceny, by móc się dostać na jak najlepszą uczelnię. Wciąż jeszcze nie mówił, czym zamierza się zająć w przyszłości, ale i to było dla mnie oczywiste: pewnie nie chciał zapeszyć. Postawę całkiem przeciwną do mojej (cierpliwej i pełnej zaufania) przyjęła moja matka. Wciąż naciskała, że powinnam się od czasu do czasu z nim spotkać, choćby po to, by podtrzymać go na duchu czy pomóc się odstresować w tak napiętej sytuacji. Ja jednak trwałam przy swoim: jeśli on teraz potrzebował spokoju, zamierzałam mu go zapewnić, przynajmniej ze swojej strony.

– Co z ciebie za kobieta, jeśli nie potrafisz w trudnych życiowych sytuacjach wesprzeć swojego mężczyzny – mawiała.

– Daleko mi jeszcze do kobiety – odpowiadałam. – A poza tym wspieram go w sposób, jakiego on ode mnie oczekuje. Daję mu spokój od siebie.

– Wiesz, a ja mam pewien pomysł – wymyślała innym razem. – Kiedy on zda już tę swoją maturę, gotowa wam jestem z tej okazji zafundować wczasy, na przykład w Chorwacji. Niezła myśl, prawda?

Osobiście nie miałam nic przeciwko spędzeniu sam na sam dwóch tygodni ze swoim ukochanym, irytowała mnie jednak ta matczyna nadgorliwość.

– Niezła. Ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakie on ma plany na wakacje. A nuż rodzice wykupili mu już jakiś wypasiony wypoczynek na Karaibach? – opowiadałam jej na złość.

– Jeśli tak, to z pewnością nie jednoosobowy – igrała ze mną matka. – Oni również widzą was razem w przyszłości.

Co do tego ostatniego, nie byłam pewna, ponieważ to ich syn, a nie oni przystępował do egzaminu dojrzałości. Państwo Tyliczowie zrobili się jednak równie nieuchwytni jak on sam. Nie zaszczykali już swoją obecnością imprez i wieczorków matki, ciągle znajdując jakieś wymówki. Jednak ich powody dla rozluźnienia kontaktów z nami były dla matki znacznie bardziej racjonalne niż powody ich syna.

Pierwszy niepokój pojawił się u mnie, gdy po ostatnim maturalnym egzaminie Nataniela na próżno czekałam na jego telefon. Wreszcie postanowiłam zrobić pierwszy krok i to ja zadzwoniłam. Nataniel miał się czym pochwalić: mimo

że jeszcze nie było wszystkich wyników, wiedział już, że poszło mu bardzo dobrze.

– Może byśmy to w takim razie jakoś uczcili? – zaproponowałam.

– Oczywiście. Ja też uważam, że powinniśmy się w końcu spotkać – odpowiedział Nataniel, a ja przyjąłam to za dobrą monetę.

Umówiliśmy się wieczorem w Ptysiu, kawiarnio-cukierni, gdzie nigdy dotąd się nie spotykaliśmy. Nataniel o ustalonej godzinie czekał już na mnie, ubrany bardzo oficjalnie w czarny garnitur i niebieską koszulę. W pierwszym odruchu pomyślałam, że to dla oddania wzniosłości chwili.

– Witaj, Marzenko. – Nataniel wstał, by mnie przywitać, i jak całkiem dorosły pocałował mnie w rękę.

– Cześć, kochany! Boże, jak ja się za tobą stęskniłam – wyznałam trochę zawstydzona. – Ale mam nadzieję, że teraz mamy się już tylko dla siebie...

– Czego się napijesz? Kawa? Cola? – spytał, nie podtrzymując tematu. – Bo na zagrychę firmowy ptyś, rzecz jasna?

– Kawa. I ptyś, rzecz jasna. – Uśmiechnęłam się, ciągle jeszcze pełna najlepszych myśli.

Przez jakiś czas Nataniel zdawał mi relację z przebiegu egzaminów, rzucał anegdotkami, a gdy temat się wyczerpał, zamilkł. Siedzieliśmy w milczeniu, a napięcie rosło. Czułam, że zbiera się w sobie, żeby mi coś ważnego powiedzieć. Jednak tego, co usłyszałam, zupełnie nie brałam pod uwagę nawet w najczarniejszych przewidywaniach.

– Musimy się rozstać, Marzenko – wyrzucił z siebie jednym zdaniem.

Najpierw było niedowierzenie, po sekundzie szok – z tych, co to wałą obuchem w łeb – potem uznałam, że to mi się śni. Tak czy inaczej, na pewno nie dzieje się naprawdę! Teraz ja zacisnęłam mocno palce na jego dłoni, żeby się przekonać, z jakiego rodzaju absurdem mam do czynienia: snem, przywidzeniem, omamem? Ręka Nataniela była niestety w stu procentach realna. Milczałam. Nawet gdybym wiedziała, co powiedzieć, pewnie nie byłabym w stanie tego wyartykułować.

– No cóż... wydaje mi się, że podchodzisz do tego rzeczowo i na spokojnie – powiedział po długiej, zbyt długiej chwili ciszy.

– Nie wiem co innego mogłabym w tej sytuacji zrobić – odparłam prawie szeptem, cały wysiłek wkładając w to, by się nie rozplakać.

– Marzenko... ja... bardzo cię kocham... Nigdy nie kochałem tak żadnej dziewczyny. Ty jesteś zresztą inna niż one wszystkie, o wiele więcej warta niż te, które dotąd znałem, razem wzięte. Szczerze mówiąc, zawsze unikałam jakichś głębszych relacji z nimi, pewnie ze strachu, że w końcu przytrafi mi się to, co z tobą...

Nataniel ważył słowa, mówił powoli, z zastanowieniem. A ja kompletnie nie wiedziałam, o co mu chodzi.

– To znaczy... konkretnie... że się zakocham. Mało powiedziane: że oszaleję na czyimś punkcie tak, jak na twoim.

– Nie rozumiem – powiedziałam w końcu.

– Bo wiesz, chodzi o to, że mój los już od dawna jest przesądzony i nie ma w nim miejsca na żadną inną kobietę oprócz mojej matki. Krótko mówiąc, od października wstępuję do seminarium duchownego.

– Co ty pleciesz, Nataniel? Nie, to chyba jednak nie dzieje się naprawdę...

– Owszem, i ja do niedawna miałem taką nadzieję. Ale to niestety jak najbardziej realna rzeczywistość.

– Ale kochasz mnie, tak?

– Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić jak bardzo.

– Rodzice kazali ci zostać księdzem?

– Tak... – Nataniel spuścił oczy.

– No wiesz, ja rozumiem, że ludzie tak postępowali dwieście, sto lat temu.

Ale dziś?

– Dziś to polega dokładnie na tym samym: na pewnych zależnościach nie do przeskokowania.

– Ale jakie ty, do cholery, możesz mieć zależności wobec swoich rodziców?

– stopniowo odzyskiwałam głos i jasność umysłu. – Oczywiście, wychowali cię, łożyli na ciebie, ale czy to nie za duża cena? Nie myśl, że zamierzam wpływać na twoją decyzję, chciałabym jednak pojąć jej powód.

– To nie jest takie proste. Ty zresztą i tak nie zrozumiesz. Zwłaszcza ty.

– Bo?

– Bo ty z pewnością postąpiłabyś inaczej, ja nie potrafię. Nie umiałbym ot tak, od jutra zacząć żyć na własny rachunek, studiować gdzieś zaocznie po to, by móc jednocześnie pracować na chesne, mieszkanie, opłaty, na całe swoje utrzymanie. Ciućać, by za parę lat kupić sobie jakieś używane auto nie najwyższych lotów, zastanawiać się, czy kupić lody czy może bilet do kina, zrezygnować ze wszystkiego, do czego od urodzenia jestem przyzwyczajony. Ja... zastanawiałem się nawet nad tym, wiesz?

– Tak czy inaczej, twoje wnioski były jednoznaczne – podrzuciłam nieco złośliwie.

– Nie. Nie były. Bo to, że musiałbym nagle zacząć żyć więcej niż skromnie, to tylko jedna strona medalu. Druga jest taka, że długo byś mnie w takim wydaniu nie zniosła. Obawiam się sytuacji, że gdyby mi się nie powiodło, mógłbym zacząć obwiniać o to siebie, ciebie, cały świat. Masz do czynienia z maminsynkiem, Marzenko. A warta jesteś prawdziwego faceta.

– Po co więc zwracałeś mi głowę przez taki kawał czasu?

– I tego właśnie nie umiem sobie darować. Po prostu przekroczyłem granicę rozsądku i już nie potrafiłem żyć bez ciebie. A może trochę liczyłem na to, że

rodzice, widząc moje uczucie do ciebie, zmieniają zdanie...

– Ale nie zmienili.

– Nie zmienili.

– To dlatego miałaś kiedyś ksywkę „wikary”?

– Tak. W poprzedniej szkole wlokła się za mną jak smród. Tu nikt nie znał ich wizji mojej przyszłości. zabroniłem rodzicom się tym przechwalać.

– Ale czy bycie księdzem to dla nich aż taka wielka sprawa w dzisiejszych czasach?

– Księdzem nie. Ale biskupem czy innym wysokim hierarchą Kościoła – owszem.

– Nie wierzę w to, co słyszę. W jakim ty, do cholery, świecie żyjesz? Moja matka też zawsze chciała mi układać życie, ale gdyby doszło do zawłaszczenia całej mojej przyszłości, postawiłabym się. Nawet za cenę życia o chlebie i wodzie. To tyle.

Wstałam od stolika i wyszłam, zostawiając Nataniela z dwoma nietkniętymi ptysiami. Miałam dość. Na zewnątrz, na moje szczęście, mocno się ściemniło, zerwał się porywisty wiatr i lunął deszcz. Nie chowałam się i nie uciekałam, szłam wolno, pragnąc, by moja droga do domu była jak najdłuższa. wszystko inne natomiast, rozmazany makijaż i mokra twarz były w tym momencie zupełnie uzasadnione. Oprócz mojego stanu ducha, rzecz jasna.



– Nie wzięłaś parasolki? – powitała mnie mama krytyczną uwagą.

– Skąd mogłam wiedzieć, że będzie lało?

– Przewidujący człowiek zawsze się z tym liczy.

– Ja niestety nie jestem przewidująca. – Wbrew sobie pociągnęłam nosem.

– No tak, jeszcze się rozchorujesz. A ja mam raptem dwa dni na wpłacenie zaliczki za wasze wczasy.

– Jakie wczasy?

– Mówiłam ci przecież, że jak Nataniel zda maturę, wykupię wam turnus w Chorwacji.

– Daruj sobie może, on ma przecież swoich rodziców. Niech mu wykupią.

– Marzenka! – Mama potrząsnęła mną za ramiona. – Co się stało? O co chodzi? Coś między wami nie tak?

– Jestem mokra i zmarznięta, powinnam się przebrać i napić gorącej herbaty. Nie mam teraz ochoty na pogawędkę – odparłam z nadzieją, że to choć na chwilę załatwi sprawę.

– Jak ty się do mnie, smarkulo, odnosisz? – Mama podniosła głos. – Jeśli ja

chce z tobą o czymś rozmawiać, twoja ochota nie ma tu nic do rzeczy!

– Chcesz, żeby twoja córka dostała zapalenia płuc? – jak zwykle z odsieczą przyszła mi babcia. – Zdejmij te mokre ciuchy i wskakuj pod koc, herbaty ja ci przyniosę.

– Oczywiście! Moja niezawodna matka, jak zwykle we właściwym miejscu i czasie! – wkurzyła się mama.

– Dokładnie. Sama bym tego lepiej nie ujęła – odpowiedziała babcia ze spokojem.

– Czy ty nie rozumiesz? Nie rozumiesz, że nie da się wychowywać dziecka na dwa skrajnie różne sposoby? Ja tak, ty inaczej. Ja inaczej, ty jeszcze inaczej! Zajmij się, mamó, swoimi sprawami i nie wtrącaj się do mojej córki. Już nigdy, przenigdy!

– Bo? – zapytała babcia.

– Bo to ja wiem, co dla niej najlepsze!

– Doprawdy? Więc może nam powiedz, co jest dla niej najlepsze. – Babcia swoim sprawdzonym sposobem wprawiła matkę w konsternację. Nastąpiła cisza.

Korzystając z ich sprzeczki, pobiegłam do łazienki. Zrobiłam sobie gorącą kąpiel i siedziałam w niej tak długo, aż na zewnątrz zrobiło się zupełnie cicho. Babcia pewnie poszła do siebie, a mama do pracy. Ale jak tylko przemknęłam się dyskretnie, jak mi się zdawało, do swojego pokoju, przyszła babcia.

– Mam nadzieję, że jestem pierwsza... – Spojrzała na drzwi. – Herbatka dla ciebie. Z rumem.

Wzięłam od niej kubek i na ile pozwalała temperatura płynu, popijałam raz za razem.

– Coś się stało, prawda?

– Owszem, Nataniel zerwał ze mną – odparłam zwięźle.

Babcia przysiadła na brzegu mojego łóżka i jakby zastygła w poczuciu grozy. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko moje siorbanie.

– Kochanie moje... Moje ty biedne kochanie... – wyszeptała staruszka.

– Spokojnie, babciu. Jeśli tylko nie powiesz „a nie mówiłam”, jakoś przeżyję – odparłam, sama nie bardzo w to wierząc, bo w tym momencie było mi bliżej do śmierci niż do życia.

– Nie powiem. I jasne, że przeżyjesz. Człowiek to silna sztuka, żal mi tylko twoich łez i nieprzespanych nocy.

– Może nie będzie aż tak źle... – Uśmiechnęłam się do babci wyłącznie z litości. – Mamy sercowe porażki też tak przeżywałaś? Pewnie nawet bardziej, w końcu to twoja córka...

– Ona nie miała sercowych porażek. To znaczy miała, ale na pewno nie sercowe – odparła babcia z dziwnie zaciętą twarzą.

– To znaczy?

– Twoja matka zawsze kalkulowała tak jak dzisiaj. W kategoriach: „opłaca się”, „nie opłaca”.

– Nie rozumiem...

– Szczerze mówiąc, ja też nie. Ale taka była. I taka jest. No cóż. Wracając do ciebie, nie powiem ci „nie martw się” ani że „czas leczy rany”, czy innych podobnych głupot. Zapewniam cię tylko, że możesz na mnie liczyć zawsze i w każdej sprawie. I że ze wszystkich sił pomogę ci przez to przejść.

Przytuliłam się do babci, wdzięczna za jej postawę i za to, że o nic nie pytała. Nie byłam jeszcze gotowa, by komukolwiek powiedzieć o tym, co zaszło. A kiedy tak sobie siedziałyśmy objęte, do pokoju weszła matka. Przestraszyła mnie tym wejściem, bo byłam przekonana, że nie ma jej w domu.

– No tak, można było się spodziewać – skomentowała zastaną scenę. – A nad czym tak bolejecie we dwie, jeśli można spytać?

– Nad moim byłym związkim – powiedziałam niechętnie, aby uprzedzić to, z czym mogłaby się wyrwać babcia.

– Jak to... byłym? Co się stało? Nataniel cię rzucił?

– Nie pomyślałaś, że to może Marzenka rzuciła jego? – wtrąciła się babcia.

– To raczej nie wchodziłoby w grę. Mam rację, córko?

– Owszem. To on rzucił mnie.

– Mamo, wyjdź, proszę – zwróciła się matka do babci.

Babcia zamierzała oponować, ale dałam jej do zrozumienia wzrokiem, żeby jednak zostawiła nas same.

– A teraz mów, o co poszło. Bo na pewno nie zaszło nic takiego, czego nie dałoby się odkręcić.

– Tego się nie da na pewno.

– Bzdura! Chodzi o ten wyjazd na urodziny, prawda?

– Nie.

– A ja sądzę, że tak. Najwyraźniej chłopak zawiódł się w jakiś sposób na tobie.

– Nie, nie zawiódł się.

– Co ty mi ty będziesz oczy mydlić! Ja znam życie i wiem, jakie chłopcy mają oczekiwania od dziewczyn. Zwłaszcza wówczas, gdy zaczynają traktować je poważnie!

– Co ty gadasz, mamo? O ile dobrze rozumiem, do czego zmierzasz, to jest akurat dokładnie odwrotnie. I jeśli ci się zdaje, że Nataniel mnie zostawił, bo nie poszłam z nim do łóżka, to sama nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

– Poszłaś?

– Nie!!! Ale chciałam... On nie chciał.

– Co więc jest z tobą nie tak?

– Ze mną? Nic. To on się mną bawił sporo ponad rok, od dawna wiedząc, że

zamierza zostać księdzem.

– A, o to chodzi... – Mama spojrzała gdzieś w bok.

– Wiedziałaś o tym? – Zerwałam się odruchowo na równe nogi, strącając pusty już na szczęście kubek na podłogę.

– Jego mama coś mi wspominała na początku naszej znajomości, ale nie brałam tego poważnie.

– A może ja bym wzięła? Nie uważałaś za stosowne mi o tym powiedzieć?

– Nie, bo od razu byś skapitulowała. Byłam przekonana, że moja własna córka ma na tyle atutów, sprytu i oleju w głowie, by zaniechał podobnych pomysłów. Myliłam się, niestety.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

– A czyja? Prawdziwa kobieta potrafi wyrwać faceta z dobrze funkcjonującego związku, a co dopiero, gdy jej przeciwnikiem jest jakaś bliżej niepokreślona, mętna idea.

Spojrzałam matce hardo w oczy, jako preludium tego, co miałam powiedzieć.

– Jak pani Teresa mojego ojca... prawda?

Matka zamachnęła się i z całej siły uderzyła mnie w twarz. Tak mocno, że upadłam na kolana. Nie czułam bólu. Czułam satysfakcję.

– Ty mała suko! Ta... kobiecina do pięt mi nie dorasta, zapamiętaj to sobie! Tak jak ty Natanielowi.

Matka wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Zostałam sama. Bałam się tej strasznej nocy przede mną. Moja dusza rwała się w strzępy, serce odmawiało posłuszeństwa, waląc mi w piersi nierównym rytmem. Grubo po północy wymknęłam się do łazienki, żeby zobaczyć, czy matka nie ma czegoś na sen. Miała. Przeczytałam ulotkę i wzięłam jedną pigułkę. „A może – przeleciało mi przez myśl – warto by było zasnąć i już nigdy się nie obudzić?” Nie zastanawiając się nad tym dłużej, wysypałam na dłoń całą zawartość fiołki i popijając wodą prosto z kranu, łykałam jedną po drugiej.



Mój sen nie potrwał wiecznie, ale kilka dni i kilka nocy przebiegło jakby bez mojego udziału. Kiedy złapałam pierwszy kontakt z rzeczywistością, leżałam w swoim łóżku, a nade mną pochylał się jakiś facet. Lekarz, jak się okazało. Badał mi tętno.

– I cóżeś ty, panna, najlepszego zrobiła? – spytał, widząc, że patrzę już dość przytomnie.

– Niestety, do najlepszego nie doszło – odparłam, kojarząc wolno, co się

stało.

– Bój się Boga, dziecko! Zamierzałaś z jakichś błahych powodów zostawić swoją kochającą mamusię i babcię? Przecież one mają tylko ciebie – zatroskał się doktor.

– W tym właśnie problem. Ich problem.

– Co ty znowu za głupoty odpowiadasz – odezwała się matka, której do tej pory nie zauważyłam.

Stała w otwartych drzwiach i obserwowała poczynania lekarza.

– Nie sądzisz, że dość już narozrabiałaś? Co zamierzałaś w ten sposób udowodnić i komu?

– Ci... cicho, proszę pani... – Lekarz położył palec na ustach. – Jeszcze nie pora na takie rozmowy.

Widać ta krótka wymiana zdań pomiędzy mną i matką tak mnie wyczerpała, że znów zasnęłam na ładnych kilka godzin. Albo może był to taki mechanizm obronny. Na szczęście tym razem po przebudzeniu zastałam w swoim pokoju babcię. Tylko babcię.

– Powiedz mi, co się stało... – spytałam, uprzednio lustrując pokój, czy aby nie ma w nim nikogo poza nią.

– Nie wiesz, co się stało?

– Wiem, że się otrułam, ale niezbyt dokładnie.

– Właśnie. Na szczęście zwymiotowałaś to świństwo do łóżka. Potem poiłyśmy cię z matką mlekiem i prowokowałyśmy dalsze wymioty. Zanim przyjechał lekarz, nie miałaś w żołądku niczego oprócz śliny.

– Nie byłam w szpitalu?

– Nie... – zmieszała się jakby.

– Zawsze czytałam, że w takich przypadkach w szpitalu robi się płukanie żołądka.

– Nie byłam w stanie przekonać Joanny, żeby zadzwoniła po karetkę. Ale wezwała lekarza rodzinnego.

– Naprawdę? Już nie zależało jej na mnie?

– Zależało. Ale równie mocno zależało jej na tym, żeby się nie rozeszło po mieście. A skoro lekarz stwierdził, że będziesz żyła, sprawa została przesądzona. Odwiedzał cię dwa razy dziennie, a i my czuwałyśmy przy tobie na zmianę. Dzięki Bogu wszystko dobrze się skończyło.

– Więc nikt o tym nie wie? – spytałam lekko rozczarowana, bo może nawet chciałam, by dotarło do Nataniela, co mi w swojej beztrosce zafundował.

– Nikt a nikt.

– Babciu... Co teraz będzie? – spytałam, bo kompletnie nie potrafiłam wyobrazić sobie przyszłości, nawet najbliższych dni.

– Oczekujesz ode mnie rady czy przepowiedni?

– Najpierw przepowiedni. A jeśli nie będzie za fajna, wówczas rady.

– No cóż... Na podstawie tego, jak się do tej pory w naszym domu działo, jestem w stanie przewidzieć, że będzie dokładnie tak samo do usranej śmierci. Jeśli zaś chodzi o radę, trzeba by wreszcie coś z tym zrobić...

– Mówisz jak Pytia na haju, babciu, mętnie i niejasno.

– A cóż w tym niejasnego? Chcesz żyć własnym życiem? To chyba nie jest niemożliwe. Choć może być na początku mocno nieprzyjemne...

Zamknęłam oczy, usiłując zobaczyć to „własne życie” w wyobraźni. Nie zobaczyłam, za to znów zmorzył mnie sen i nawet nie wiem, kiedy babcia wymknęła się z pokoju.

Rozdział 11

Pani Teresa



Okazało się, że mama jednak wykupiła te wczasy w Chorwacji. Nie wiem, z jaką intencją, bo w końcu wybrała się na nie sama. O jej wyjeździe dowiedziałyśmy się z babcią raptem dwa dni wcześniej.

– Muszę odpocząć od problemów, odstresować się – uzasadniła krótko swoją decyzję. – Mój system nerwowy pada. Jeśli nie zrobię teraz czegoś dla siebie, rozsypię się na kawałki...

– A jedź, jedź – poparła ją babcia. – Szkoda, żeby się zmarnowało, skoro już opłacone.

– Właśnie – przytaknęła mama. – To byłoby marnotrawstwo.

– No ale... tak w pojedynkę się wybierasz na dwuosobowe wczasy? Może zabrałabyś ze sobą Marzenkę? – podrzuciła babcia. – Jej też by się trochę słońca i wody przydało.

– Jeśli się potrzebuje podleczenia nerwów, nie zabiera się z sobą problemów – oznajmiła matka i ucięła temat.

Nie poczułam się zbyt dobrze z tą konkluzją, mimo że w gruncie rzeczy wyjazd matki był mi na rękę. Za żadne skarby nie wybrałabym się z nią, nawet gdyby tego chciała. Nie wiem, co w babcię wstąpiło, przecież i ona z pewnością mi nie życzyła dwutygodniowych wyrzutów i pretensji, choćby w jak najbardziej egzotycznej scenerii.

– Chodź Marzenko, pójdziemy do kościoła. Pomodlimy się za szczęśliwą podróż twojej matki – zaproponowała babcia, kiedy spod domu odjechała taksówka z jej córką i walizą ubrań oraz kosmetyków.

– Nie, babciu, ja nie idę – odmówiłam po raz pierwszy w życiu. – Idź sama, ja może pójdę na spacer. W sumie dawno nie byłam poza domem.

Kościół ostatnio mnie jakoś nie pociągał, miałam pretensje do Pana Boga, że odebrał mi Nataniela, i w żaden sposób nie mogłam się przemóc.

Wyszłyśmy z babcią razem, potem ona skręciła w swoją stronę, a ja w kierunku plant. Zbliżał się wieczór, ale jeszcze nie zaczęło się zmierzchać. Tą trasą mogłam obejść dookoła niemal całe miasto i wrócić do domu, nie ryzykując, że spotkam którąś z koleżanek. Potrzebowałam pobyć sama z sobą, na świeżym powietrzu, pośród zieleni i jako takiego spokoju. Przede mną od pewnego czasu szła kobieta o jakby znajomej sylwetce, pchając przed sobą spacerowy wózek. Zajęta swoimi myślami nie bardzo skupiałam się na niej, ale ponieważ szłam

szybciej, w końcu przyszło mi ją wyminąć. To była... pani Teresa, żona mojego ojca!

– Macie dziecko? – spytałam zdumiona, zapominając, że najpierw powinnam powiedzieć dzień dobry.

– O! Marzenka! – ucieszyła się pani Teresa. – Też na spacerek?

Rzuciłam okiem w stronę wózka. Siedział w nim mały chłopczyk, blondynek z szopą loków na głowie, jak jego towarzyszka.

– Też. To wasz synek? – ponowiłam pytanie.

– Nie! – Pani Teresa się roześmiała. – To mój siostrzeniec, wzięłam go na kilka dni do siebie, bo jego mama ma obronę pracy dyplomowej i potrzebuje trochę spokoju do nauki.

Dziecko uśmiechnęło się do mnie szeroko i złapało mnie za nogawkę spodni umazaną nieziemsko łapką.

– Adaś, nie wolno! Pobrudzisz panią – skarciła go pani Teresa, a on, nic sobie z tego nie robiąc, oznajmił:

– Czekoladę mam.

– Widzę – odparłam.

– Chcesz tloczę? – zademonstrował trzymaną w drugiej dłoni bezkształtną brązową kłuchę.

– Nie, dziękuję – wzdrygnęłam się na myśl, że miałabym coś takiego wziąć do ust.

– Nie zabrałam z sobą chusteczek, a on mi się cały wymazał – powiedziała skonsternowana pani Teresa. – Nie będę jednak z tego powodu wracać do domu, doczyszczę go po spacerze.

Zachciało mi się śmiać z tego wszystkiego: z mojego podejrzenia, uwalanego do granic możliwości malca i bezradności pani Teresy, której zapobiegliwość, jaką ma w małym palcu każda matka, była raczej dość obca. Kobieta, widząc moją minę, zmieszała się jeszcze bardziej.

– Przepraszam, że się uśmiecham, ale to przecież zabawne... – Teraz zaśmiałam się już w głos.

Mały mi zawtórował. Śmiał się tak szczerze i serdecznie, błyskając przy tym bielą drobnych mleczaków na tle czekoladowej reszty, że i jego opiekunka w końcu się roześmiała. Po chwili obie ścierałyśmy z oczu łzy – ja na szczęście byłam zaopatrzona w paczkę chusteczek.

– Siądziemy? – zaproponowałam, czując, że przez jakiś czas obie nie będziemy zdolne do zachowania powagi.

Usiadłyśmy na ławce. Pani Teresa wyjęła Adasia z wózka i posadziła między nami.

– Gorzej już nas nie upačka – wyraziła nadzieję, mając na myśli plamy z czekolady na swoim i moim ubraniu.

– Upaćka! – ucieszył się chłopczyk, po czym równo i sprawiedliwie umazał nas resztką trzymanego w ręczce przysmaku.

Nastała chwila ciszy, po czym dzieciak znów się roześmiał głośno i zaraźliwie.

– No i z czego się cieszysz, łobuzie? – Pani Teresa strząsała ze spódnicy większe grudki.

– Bo ona się cieszy! – Pokazał na mnie palcem. – Ciesys się?

– Jasne, każdy by się cieszył... – Również na nowo wybuchłam śmiechem. – Ile on ma lat? – spytałam, gdy mi trochę przeszło.

– Trzy i pół.

– Czemu go pani wozi, zamiast prowadzić za rękę?

– Bo tak łatwiej go opanować. Jak chodzi luzem, to mi ucieka.

– Ucieknem – oznajmił Adaś, zsunął się z ławki i zanim pani Teresa zdążyła zareagować, pędził przed siebie w kierunku wypróżniającego się na trawniku spaniela.

Ja byłam szybsza. Dogoniłam malca, złapałam pod pachę i wierzgającego odniosłam na miejsce.

– Dziękuję, Marzenko – powiedziała pani Teresa z ulgą. – Sama widzisz. Ja niestety tak sprawnie nie biegam.

– Ucieknem! – zagroził Adaś i już miał zamiar wprowadzić słowo w czyn, ale mu go udaremniłam, sadzając go sobie po prostu na kolanach.

– Nie uciekniesz.

– Upaćkam!

– Nie upaćkasz, bo już nie masz czym.

– Kupis? – zwrócił się do pani Teresy.

– Czekolada służy do jedzenia, nie do paćkania – odpowiedziałam mu zamiast niej.

– Dlacemu?

– Dlatemu. Są rzeczy, które się tylko je, i są rzeczy, którymi się tylko paćka. Farby na przykład. Umiesz malować farbami?

– Umiem, ale w domu. U cioci nie ma farb.

– To czym się bawisz u cioci?

– Miśkiem.

– O? I zostawiłeś go samego, bez opieki?

– Misiek leżakuje.

– Co robi? – zapytałam szeptem panią Teresę.

– Leżakuje. Tak jak w przedszkolu. Adaś normalnie o tej porze jest w przedszkolu, ale już się zaczęły wakacje.

– A ty nie leżakujesz? – spytał mnie chłopczyk.

– Nie o tej porze. Ja leżakuję w nocy.

– Ja też leżakuje w nocy. Ale Misiek nie. On poluje.
– Na co?
– Na muchi.
– Chyba żartujesz. I co on robi z tymi muchami, je?
– Je. Je i łośnie. Bo po muchach się łośnie, nie wiesz?
– Coś takiego! – Z trudnością utrzymywałam powagę. – Ja nigdy nie jadałam much, a zobacz, jaka duża urosłam.
– To jesteś dupek.
– Adaś! Co ty mówisz? – zgromiła chłopca pani Teresa.
– Jak ktoś nie potrafi złapać muchi, to jest dupkiem. Tata tak mówi.
– Boże święty, co ty pleciesz... – Opiekunka malca zarumieniła się po samą grzywkę.
– Bo... – Chłopiec nabrał powietrza w płuca, widać szykował się do dłuższej oracji. – Hipolit łapie muchi i je. A Lolek też by chciał, ale tego nie lobi, bo jest dupkiem.
– Hipolit to pies rodziców Adasia, Lolek to kot – Teresa pośpieszyła z wyjaśnieniem, zanim zdarzyła wyciągnąć błędne wnioski. – Przepraszam cię, Marzenko, za te rewelacje, ale dzieciak to dzieciak, sama rozumiesz. A poza tym chyba będziemy już wracać, zbliża się pora kolacji Adasia...
– W porządku. Wobec tego ja też już pójdę. Jeśli pani to nie przeszkadza, możemy wracać razem.
– Oczywiście, że nie. – Kobieta wyraźnie się ucieszyła, widząc, że nie mam jeszcze dość towarzystwa jej podopiecznego i jej samej.
Rozstałyśmy się przy furtce jej domku – budynek był maleńki, parterowy, mieścił zaledwie dwa pokoje, kuchnię i łazienkę.
– Może wejdiesz na chwilę? Tata się ucieszy – zaproponowała pani Teresa.
– Nie, dziękuję, babcia by się martwiła. Ale chętnie was odwiedzę, na przykład jutro, jeśli można. I Adasia, rzecz jasna.
– Pewnie, wpadaj kiedy zechcesz. Zawsze będziesz mile widziana.
Żona taty wyglądała na autentycznie ucieszoną, może dlatego że nasze dotychczasowe kontakty bywały raczej okazjonalne, ona zaś nieustannie dążyła do tego, bym traktowała jej dom jak swój.



– Chryste panie, a gdzieżeś ty była?! – wykrzyknęła babcia na mój widok. – I jak ty w ogóle wyglądasz?
– Słodko – odparłam z uśmiechem, a babcia spojrzała na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie.

- Wszystko dobrze? – spytała.
- Jak na moją obecną sytuację, nawet nieźle. Spotkałam na spacerze żonę ojca z dzieckiem i trochę się zasiedziałyśmy na ławce. To ono mnie tak urządziło.
- Ano tak, ja też ją czasem widuję z tym małym. Miło by było, jakby mieli własne, no nie?
- Chyba już są za starzy – wyraziłam wątpliwość.
- Kto to wie? Teresa ma najwyżej czterdziestkę, kobiety jeszcze rodzą w tym wieku. Nie chciałabyś mieć rodzeństwa?
- A wiesz, że nawet bym chciała? – odparłam, dziwiąc się sama sobie.
- Tak ci się ten mały spodobał?
- Nie wiem, czy spodobał. Śmieszny jest, przynajmniej rozerwałam się trochę. Jutro się do nich wybieram, pani Teresa mnie zaprosiła.
- No pewnie, że idź. Dobrze ci zrobi trochę kontaktu z ludźmi.



Mówi się, że czas leczy rany. Nie wiem, czy moja zaczynała się powoli goić, czy też może tylko przestawała być odczuwalna pod grubym opatrunkiem z siły woli. Myślę, że tak zwany hart ducha był moją cechą nabytą już wcześniej dzięki sytuacjom, na które, chcąc nie chcąc, musiałam godzić się od wczesnego dzieciństwa, kompletnie nie mając na to ochoty: rozczarowania, niezaspokojone potrzeby, niespełnione nadzieje. A może do stopniowej poprawy mojego samopoczucia przyczyniło się to, że od kilku dni nikt mi niczego nie wypominał, nie uzmysławiał mi mojej nieudolności, nie sterował moim zachowaniem, wypowiedziami, a nawet myślami.

Z samą babcią mieszkało mi się świetnie. Nie absorbowałyśmy się sobą w nadmiarze, gawędziłyśmy, gdy miałyśmy ochotę albo gdy było o czym, wieczorami raczyłyśmy się cytrynowką (jednak bez przesady), najważniejsze było jednak dla mnie poczucie stabilizacji. Z jej strony nie groziło mi bowiem nic nieprzewidzianego, nie musiałam żyć w ciągłej gotowości na polecenia i reprimendy. Wyjazd mamy był najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się obecnie przydarzyć. Swobodnie odwiedzałam tatę i jego żonę, bez obawy, że zaraz po powrocie będę musiała zdać z tych odwiedzin szczegółową relację, starannie ważąc przy tym słowa. A robiłam to coraz chętniej. Początkowo ze względu na Adasia, który wyjątkowo dobrze na mnie działał, potem zaczęłam się coraz lepiej czuć w nowej rodzinie taty. Mój dystans do pani Teresy znacznie się zmniejszył, bo jednak czułam do niej żal o to, że zabrała mi ojca. Tak to już chyba jest, że w podobnych sytuacjach najchętniej obarcza się winą osobę, z którą nie łączą nas żadne uczucia, mimo że logika nakazuje całkiem co innego. Bo to przecież

niewierny mąż ponosi największą winę w przypadku zdrady, wszak to on miał być wierny i lojalny wobec swojej ślubnej, nie zaś ta trzecia. Ona zrobiła świństwo obcej kobiecie, on natomiast – własnej żonie i dzieciom. Tak ja to widzę, choć w przypadku moich rodziców mogłabym dać głowę, że za przyczyną pani Teresy czy też bez niej – tata i tak w końcu by od nas odszedł.

– Co masz dla mnie? – spytał Adaś, gdy zgodnie z obietnicą odwiedziłam go nazajutrz.

– Farby i kredki – odpowiedziałam, zanim pani Teresa zdążyła oburzyć się jego interesownością. – Będziemy paćkać, chcesz?

– Chcem, chcem! – ucieszył się chłopczyk.

Pani Teresa przyniosła papier do drukarki i rozłożyła kilka kartek na stole.

– Nawet nie zaproponowałam ci nic do picia, przepraszam – tłumaczyła się.
– Kawy? Herbaty?

– Na razie niczego mi nie trzeba, może potem, jak już powstaną kilka dzieł, dla ich uczczenia.

Malowaliśmy pędzlem i palcami. Adaś głównie produkował duże zaokrąglone plamy, a ja domalowywałam im oczy, nosy, usta, nogi i ręce. Tak zastał nas tata.

– Miło cię widzieć, córeczko. – Chciał mnie objąć na powitanie, ale Adaś go powstrzymał.

– Uważaj, paćkami!

– A, rzeczywiście... – Tata zatrzymał się w pół kroku. – Kupiłem coś na słodko, dla każdego. Ale to chyba za chwilę?

– Przecież mówiłam ci, Czesiu, że upiekłam ciasto. Kto mi je potem zje? – skarciła go Teresa.

– Ciasto to ciasto, a lód to lód. Jedno drugiemu nie wchodzi w paradę. Nie bój się, Teńka, damy radę i temu, i temu, prawda, córcia?

– Pławda – odpowiedział za mnie Adaś. – Jeszcze namalujemy dwa brzuchaki i wszystko zjemy.

– Co to są brzuchaki? – spytał tata.

– Nie widzisz? Bzuchy z uchami.

– Sama bym lepiej tego nie nazwała... – Uśmiechnęłam się do chłopca. – Wobec tego dwa ostatnie brzuchaki i myjemy ręce.

– I na lody!

Adaś pomógł mi uprzątnąć farby, a potem złapał mnie za rękę i poszliśmy do łazienki. Dziwne to było uczucie, dziwne i... miłe. Podając mi swoją miękką łapkę, dzieciak zadeklarował swoje pełne do mnie zaufanie, gotów był towarzyszyć mi, dokądkolwiek pójdę. Zmywaliśmy farbę z rąk w milczeniu, bo Adaś był już pewnie myślami przy lodach.

– Może wyjdźmy do ogródka – zaproponował tata. – Zobaczysz przy okazji,

Marzenko, jak go urządziłem.

Mały domek pani Teresy otaczał niewielki ogródek. Na środku stały dwie ławeczki i stolik. Nawet tuje i bukszpany przycięte były do niewielkich rozmiarów. Rosły tu kolorowe kwiatki, na ogrodzeniu wił się bluszcz. Wszystko urządzone było przemyślnie i gustownie – jak to u mojego taty.

– Pięknie, tatusiu – pochwalałam, bo najwyraźniej na to czekał. – Bardzo pięknie.

– Chyba zrobię jeszcze huśtawkę, teraz dla Adasia, a potem... kto to wie? Może dla wnuka?

– Musisz ją wobec tego porządnie zagruntować, bo obawiam się, że do tego czasu zeżre ją robactwo.

– No właśnie, a co tam u ciebie w tych sprawach, Marzenko? Masz jakiegoś chłopca? – Tata dalej brnął w niezręczny dla mnie temat.

– Nie mam i tymczasem mi niepilno – odparłam tonem, który powinien mi zasugerować zakończenie tej rozmowy.

– Niemożliwe. Taka śliczna dziewczyna powinna być oblegana przez adoratorów...

– Dajże spokój, Czesiu, to są jej prywatne sprawy. – Pani Teresa albo się zorientowała, że temat wyraźnie mi nie leży, albo może coś niecoś już słyszała o moim rozstaniu z Natanielem. Bo o naszym „chodzeniu” wiedziała z pewnością, matka trąbiła o tym na każdym zakręcie. Tata, jak to on, mógł być nieco niedoinformowany.

– Zabierz talerzyki do kuchni, Czesiu, jeszcze Adaś potłucze i się skaleczy – dorzuciła skwapliwie.

Teraz już wiedziałam, że ona wie.

– Owszem, miałam chłopaka, ale już nie mam. I nie chciałabym o tym mówić – zaznaczyłam wyraźnie, gdy tata poszedł z naczyniami do domu.

– Cemu już nie masz? – spytał jakby nieobecny do tej pory Adaś. – Poszedł w chuj?

Pani Teresa poczerwieniała, zbladła, a następnie zasłoniła chłopcu ręką usta.

– Ja nie wiem, skąd on bierze podobne wyrażenia, bo na pewno nie z domu – wyjąkała.

– Z pseckola – poinformował ją Adaś, gdy już uwolnił buzię od jej dłoni.

– Bardzo cię przepraszam, Marzenko...

– Ależ nie ma pani za co. Adaś ma słuszną rację: poszedł w chuj. Sama bym lepiej tego nie ujęła.

Pani Teresa zastygła w bezruchu.

– No widzisz? – spytał malec z triumfem. – Poszedł w...

Nie zdążył dokończyć, Teresa błyskawicznie otrząsnęła się z szoku i ponownie zasłoniła mu usta.

– A cóż to za ograniczanie wolności słowa? – zapytał ze śmiechem tata, który właśnie do nas dołączył.

– Słowo to za dużo powiedziane. Wyobraź sobie, że ten dzieciak nauczył się w przedszkolu brzydkich wyrazów.

– No cóż, niedobrze, że akurat w przedszkolu, ale tak czy inaczej, gdzieś by je w końcu usłyszał – odparł dość beztrąsko tata.

– Właśnie! – poparł go Adaś.

– Ani mi się waź! – Pani Teresa pogroziła chłopcu. – Jeszcze raz coś podobnego usłyszę, nie dostaniesz ode mnie żadnych słodyczy. Zero, rozumiesz?

– Od Mazenki dostanę, co nie?

Adaś chyba opacznie zrozumiał moją aprobatę dla jego słownictwa i poczuł się moim kumplem. Takim na dobre i na złe.



Po powrocie do domu, zamiast obiadu zastałam w kuchni gościa. Przy stole siedziała pani Michalska, właścicielka dobrze prosperującej kwiaciarni. Znałam ją z widzenia, bo należała do grona znajomych mamy. Czasem bywała u nas ze swoim mężem, dyrektorem Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. W pierwszej chwili pomyślałam, że kobieta jest bardzo chora, bo wyglądała blado i mizernie, ubrana, że tak powiem, dość niezobowiązująco, bez uczesania i makijażu.

– Dzień dobry – przywitałam się układnie. – Czy coś się stało?

To pytanie skierowane było raczej do babci, ale odpowiedziała mi pani Michalska:

– Przyszłam do Joanny, ale okazuje się, że wyjechała na dłużej.

– Zgadza się – powiedziałam. – Do końca tygodnia powinna jednak już być z powrotem.

– No właśnie... Do końca tygodnia, czyli do kiedy konkretnie? – ożywiła się nieco kobieta.

– Do soboty. Tak, w sobotę wraca.

– Do... soboty – powtórzyła jakby odruchowo.

– A może ja mogłabym w czymś pomóc? – spytała babcia z przejęciem. – Bo jeżeli... Joanna na przykład jest pani winna jakieś pieniądze...

– Nie, skąd. Joanna nigdy się nie zapożycza – przerwał jej gość. – I nie może pani pomóc, niestety. Pójdę już wobec tego.

– Nie wiesz, co się jej stało? – zapytałam babcie po jej wyjściu.

– Nie chciała powiedzieć. Wyglądało, jakby miała jakąś ważną sprawę do twojej matki.

– Dziwne, nie mogła do niej zadzwonić, skoro to takie pilne?
– Sama tego nie rozumiem. Ale cóż, chyba wie, co ma robić. Jak tam wizyta u ojca?

– Fajnie. Strasznie głodna jestem, pani Teresa napychała nas głównie na słodko.

– Masz na kuchence gołąbki, ciepłe jeszcze chyba.

– Jesteś nieoceniona, babciu. Boże, jak ja dawno nie jadłam takich rzeczy... Jutro zrobimy placki ziemniaczane, dobrze? A pojutrze leniwe z cukrem, nawcinamy się jak bąki, zanim na stół znów wjadą mamine przysmaki...

– Jasne – poparła mnie babcia. – A na pierwsze grochówka ze skwarkami, co ty na to?

Zamiast odpowiedzi cmoknęłam babcie w policzek, czując, że ślinka sama napływa mi do ust.

– Jedz prędko, przejdziemy się potem na nabożeństwo czerwcowe.

– Ja nie idę – odparłam zdecydowanie.

Babcia przyjrzała mi się uważnie.

– Posłuchaj... Pan Bóg wie, co robi. I wie, co dla nas dobre. Nie tak jak twoja matka, On wie naprawdę. Nie obarczaj Go winą za to, co się stało.

– Nie obarczam. W każdym razie nie chcę obarczać, ale muszę to w sobie przerobić, babciu. Jeszcze nie jestem gotowa.

– Jak sobie chcesz, ale jak będziesz gotowa, to powiedz.

– Jasne, babuniu. Ty się dowiesz pierwsza – zapewniłam i w końcu dorwałam się do gołąbków.

Rozdział 12

Adaś



Kiedy po raz kolejny odwiedziłam tatę, a ściślej biorąc siostrzeńca jego żony, w ich domu panowała dość nerwowa atmosfera. Pani Teresa przewróciła się, ganiając po ogródku za Adasiem, i coś sobie zrobiła w nogę.

– Dobrze, że jesteś... – Tata ucieszył się na mój widok. – Posiedź, proszę, przez chwilę z małym sama, ja będę musiał podwieźć Teńkę do lekarza.

– Nie ma sprawy – zgodziłam się chętnie. – Ale jeśli pani Teresa pozwoli, wolałabym go wziąć na spacer.

– Boże kochany, mogłabyś? – Kobieta spojrzała na mnie z nadzieją. – Bo ja chyba nieprędko wyjdę z nim gdziekolwiek.

– Z przyjemnością. Ale wózka nie biorę.

– Jeśli jesteś pewna, że sobie z nim poradzisz...

– Poradzę sobie. Wzięłabym tylko dla niego jakieś picie, a jakby coś jeszcze było trzeba, po drodze są sklepy.

– Cukielki ceba – podpowiedział Adaś. – I weźmiemy Miśka, dobrze?

– Nie ma sprawy.

Misiek był całkiem sympatycznym pluszakiem niewielkich rozmiarów, jednak wyraźnie po przejściach.

– Nie, Adasiu, Miśka lepiej zostaw w domu – zaproponowała pani Teresa. – On się trochę nie nadaje na widok publiczny.

– Czemu? Moim zdaniem się nadaje, w końcu kumpel to kumpel, uroda nie ma tu nic do rzeczy – poparłam Adasia, bo przypomniała mi się moja żyrafa, którą matka za wyglądn postanowiła skazać na śmierć.

– Misiek jest bardzo piękny pseciez! – oburzył się Adaś.

– A czy ktoś mówi, że nie jest? – Uśmiechnęłam się znacząco do pani Teresy. – No to w drogę! – ponagliłam.

Początkowo szliśmy stałą spacerową trasą Adasia, ale później zamierzałam wyjść „w miasto”. Już wcześniej sobie umyśliłam, że przy najbliższej okazji porozglądam się za jakąś pracą. Enigmatyczna rada babci-Pytii dała mi bowiem do myślenia i w rezultacie dojrzałam do decyzji, że zacznę żyć na własny rachunek. Wbrew wszystkim i wszystkiemu. Zobaczę, czy dam radę temu, czego tak bardzo obawiał się Nataniel – choćbym miała jeść suchy chleb i popijać go wodą. A matka? Co mi tam ona? Przecież od jakiegoś czasu byłam już pełnoletnia.

– Podoba ci się misiek? – spytał Adaś, chyba ze dwa razy lub więcej,

wytrącając mnie w końcu skutecznie z zamyślenia.

– Podoba mi się. Od dawna go masz?

– Zawsze go mam.

– Lubisz go najbardziej ze wszystkich zabawek?

– Misiek to nie jest zabawka. Zabawki to auta i pistolety – odparł urażony.

– No tak, jasne, Misiek to kumpel. Ja też miałam w dzieciństwie swoją kumpelę. gdyby nie to, że była żyrafą, mogłabym powiedzieć, że nawet do niego podobną. Miała na imię Kacper, bo to był on, żyraf.

– Dlacemu podobną?

– Bo... jak by ci tu powiedzieć... też była taka trochę sfatygowana.

– Co to znaczy sfatygowana? – Adaś nie dał się zbyć dyplomatycznie.

– Trochę zniszczona.

– To znaczy stała. Misiek też jest stały i tak wygląda. Cesiek też jest stały i go ciocia bieżę na spacely. A Miśka nie chce.

– Wiesz co, mały? Z logiką u ciebie wszystko w porządku. – Zaśmiałam się.

– No – przytaknął z dumą, choć pewnie nie bardzo rozumiał, o czym mowa.

W najbliższym napotkanym sklepie kupiłam dwa lizaki, dla Adasia i dla Miśka, żeby zająć mu na chwilę buzię – przypomniało mi się bowiem, że w sklepie z obuwiem do niedawna szukano sprzedawcy, zamierzałam więc tam wstąpić i zapytać. Niestety, oferta była już nieaktualna. Szliśmy sobie powolutku, noga za nogą, a ja lustrowałam witryny sklepów w poszukiwaniu ogłoszeń o pracy. Szczęście mi chyba sprzyjało, bo gdy już miałam skapitulować, po drugiej stronie ulicy zauważyłam dużą kartkę na szybie sklepu z bielizną damską. Okazało się, że faktycznie szukają tu sprzedawczyni.

– Chodź, Adasiu, wejdziemy tu na chwilę. – Pociągnęłam dzieciaka za łapkę.

– Chcesz sobie kupić majty?

– Nie, raczej sprzedawać.

– Te co masz na tyłku? – zdziwił się Adaś.

– Chciałabym tu pracować jako sprzedawczyni. – Mały po raz kolejny mnie rozbawił.

– Aha – stwierdził ze zrozumieniem.

Kierowniczką sklepu, którą – jak prawie wszystkich w tym mieście – znałam z widzenia, była bardzo sympatyczna. Popytała o to i owo, o doświadczenie, dyspozycyjność, oczekiwania finansowe i... można powiedzieć, że zostałam przyjęta. Pozostały tylko formalności.

– Myślę, że tak elegancka i gustownie ubrana dziewczyna świetnie da sobie radę w tej branży mimo braku doświadczenia. Zrobimy pani przyspieszone szkolenie z brafittingu i możemy zaczynać. Chciałaby pani już czy od początku przyszłego miesiąca?

– Jeśli chodzi o mnie, jestem zainteresowana jak najszybciej.

– O! Moja mama ma takie! – Adaś wskazał lizakiem na koronkowe body z wycięciem w kroku.

– Wobec tego twoja mama ma świetny gust... – Kierowniczka uśmiechnęła się pod nosem.

– Ale to nie ja jestem jego mamą – wyjaśniłam prędko.

– Mazenka to moja kumpela – potwierdził Adaś. – Tez mas taką dziulawą pizame?

– Nie, takiej nie mam.

– To sobie kup.

– Ja lubię inne pizamy. Nie dziurawe. Dziękuję pani – zwróciłam się do właścicielki sklepu, chcąc zamknąć ten temat. – Przyjdę jutro z niezbędnymi dokumentami.

– Podglądasz swoją mamę, świntuchu? – spytałam Adasia na zewnątrz.

– Nieplawda! W sufladzie widziałem! – oburzył się Adaś.

– Grzebanie w cudzych szufladach też nie jest zbyt piękne.

– Dlacemu?

– Bo ktoś może nie chcieć, żeby inni widzieli, co w niej trzyma.

– Dlacemu?

– Może twoja mama by nie chciała, żebyś oglądał jej bieliznę.

– Dlacemu?

– Bo... bielizna to bardzo, ale to bardzo prywatna sprawa. Kapujesz coś z tego?

– Kapuję. Ale moja mama to też jest moja prywatna sprawa.

Na ten argument niestety nie znalazłam już odpowiedzi. Kiedy wchodziliśmy z powrotem na planty, zdarzyło się coś, czego z pewnością bym się nie spodziewała. Otóż z przeciwka, nieśpiesznie, szedł w moją stronę... Dominik. Mimo że nasza znajomość i to, w co mogła się przeobrazić, została daleko w przeszłości, serce zabiło mi mocniej za sprawą wspomnień.

– Cześć, Marzenko. – Chłopak wyciągnął do mnie rękę, uśmiechając się niepewnie.

– Cześć Dominiku. Dawno się nie widzieliśmy. Wyjechałeś tak jakoś nagle.

– Czasem trzeba coś zmienić w swoim życiu. Najprościej środowisko...

– A teraz? Wracasz na stare śmieci jak to się mówi?

– Nie, wpadłem do domu tylko na kilka dni, mama narzeka, że rzadko ją odwiedzam. Bo tata zmarł w zeszłym roku jesienią.

– Ojej... nic nie wiedziałam, bardzo mi przykro...

– Teraz ja jestem głową rodziny, ale taką... na odległość. – Dominik uśmiechnął się smutno. – Studiuję w Gdańsku logistykę i inżynierię transportu, tam też pracuję w warsztacie samochodowym, pomagam rodzinie.

Te słowa wywołały we mnie nagły skurcz w żołądku. Przed oczami stanął mi

Nataniel i nasze ostatnie spotkanie...

– Ej, co się stało, płaczesz? – Chłopak starł mi z policzka uronioną mimo woli łzę.

– Chodźmy już! Chodź do domu plędko! – Zaniepokojony Adaś pociągnął mnie za rękę.

– To twój synek? – spytał Dominik, jakby teraz dopiero dostrzegł chłopca.

– Nie. To...

– Tak! – wrzasnął Adaś. – Synek.

Dominik spojrział na mnie jakoś dziwnie, pożegnał się i poszedł w swoją stronę.

– Na miłość boską, a cóż tobie do łepetyny strzeliło, Adasiu!

– Musiałem cię blonić. Płakałaś psez tego palanta, co nie? – odparł chłopiec z dumą.

– To nie jest żaden palant, tylko mój kolega ze szkoły. A płakałam, bo się wzruszyłam. Rozumiesz to?

– Ściemnias.

– Nie ściemniam. I wiesz co? Zła jestem na ciebie.

Adaś zrobił minę w podkówkę, a jego szafirowe oczka zaszklily się niebezpiecznie. Natychmiast pożałowałam swoich słów. Kucnęłam obok niego i przytuliłam mocno.

– No nie maż się, już nie jestem zła. No? Już nie płaczmy, okej? Ani ty, ani ja.

– Wzlu... wzlუსylęm się – chlipnął Adaś i wytarł ręką nos.

– Dobra, dobra, ściemniasz... – Roześmiałam się, a mały mi zawtórował.

Kątem oka dostrzegłam, że Dominik wcale daleko nie odszedł. Stał po drugiej stronie ulicy i patrzył w naszą stronę. Zrobiło mi się cholernie głupio. Już nie chodziło o to, że mógł pomyśleć, iż Adaś w istocie jest moim synkiem. Znacznie gorsze było to, że pewnie w jego mniemaniu na zimno się własnego dzieciaka wyparłam. Cóż mogłam na to poradzić? Przecież nie mogłam go gonić i się tłumaczyć? Całe to zajście znacznie popsulo mi humor, nie dawałam jednak tego znać po sobie ze względu na małego.

A co do Dominika... ogarnął mnie jakiś niejasny żal. Żal i wątpliwości, czy aby naprawdę nie wyjechał przeze mnie. Może gdyby został, to... Nie! – skarciłam się w myślach i z całych sił skierowałam je na inny tor.

– A Mazenka będzie spsedawała majty! – oznajmił Adaś, kiedy tylko weszliśmy do domu pani Teresy.

Tata i jego żona spojrzeli po sobie, a potem utkwili oczy we mnie.

– Znalazłam pracę w sklepie z bielizną – wyjaśniłam. – Co z pani nogą?

– Na szczęście nie jest zwichnięta ani skręcona, dam jej odpocząć przez kilka dni i będzie dobrze.

– Pracę? Jak to... pracę? – zdziwił się tata. – A studia?
– Jesienią mogłabym być już na drugim roku, ale niestety złożyło się inaczej.
A na razie odechciało mi się studiów.
– Co na to matka?
– Jeszcze nie wie.
Tata wyraźnie się zmartwił.
– Zresztą chwilowo jej nie ma, więc nie mam jak ją o tym poinformować.
Wyjechała na wczasy.
– Wyjechała? A więc jednak... – Pani Teresa i tata spojrzeli na siebie jakoś tajemniczo.
– No tak, wyjechała. Co w tym dziwnego?
– Czy ja wiem? Ja bym powiedział w sumie, że nic a nic – odparł tata.
– No więc, o co chodzi?
– O nic.
– Nie mów mi, że o nic, bo widzę po tobie. Powiesz mi, tato?
– Ja już od dawna nie żyję życiem twojej matki, nie zamierzam się do niej wtrącać i nie mam w związku z tym o czym mówić. Za to twoje życie obchodzi mnie bardzo i na tym się skupmy, okej?
– Okej – zgodziłam się, choć ton wypowiedzi taty był co najmniej niecodzienny.
– Czesiu, nakryj do obiadu. proszę. Myślę, że wszyscy już jesteśmy wystarczająco głodni – poprosiła pani Teresa, niewykluczone, że chcąc w ten sposób zmienić temat.
– Jeśli chodzi o mnie, dziękuję, ja zjem w domu. – Przypomniały mi się obiecane przez babcię placki ziemniaczane.
Myśl o plackach wystarczająco skutecznie odwróciła moją uwagę od innych spraw.



W sobotę wieczorem wróciła mama. Opalona, jeszcze piękniejsza niż zwykle i w bardzo dobrym humorze. Przywiozła prezenty: dla mnie fikuśną buteleczkę z morskim piaskiem i muszelkami, dla babci różaniec z czarnych, nieregularnych kamyczków.

Pod koniec wspólnej kolacji babcia wspomniała o wizycie pani Michalskiej.
– Zadzwoń do niej, Joanno, może jeszcze dziś, bo kobieta sprawiała wrażenie, jakby miała jakąś pilną sprawę do ciebie.

Mama odstawiła na bok trzymaną w dłoni filiżankę z herbatą, a z jej twarzy natychmiast zniknął dobry nastrój.

– Jak to... Tu była?

– Była, ale nie mówiła, o co chodzi.

Mama sięgnęła do torebki po komórkę i poszła do siebie, a wówczas babcia na paluszkach podeszła do drzwi i nadstawiła ucha. Po chwili równie cicho wróciła na miejsce.

– Nie dodzwoniła się – tylko tyle zdążyła mi szepnąć, bo zaraz weszła mama.

– I co? Rozmawiałaś z nią? – spytała babcia niewinnie.

– Nie i nie zamierzam – odparła mama chłodno.

– No to do kogo dzwoniłaś?

– Chyba nie sądzisz, że będę ci się tłumaczyć? Zmęczona jestem, idę spać.

Pozmywaj, Marzenko.

Trochę dziwnie to wszystko wyglądało, ale babci nie dawało spokoju o wiele bardziej niż mnie.

– Posprzeczały się, czy co? Ale o co mogło im pójść? – zastanawiała się na głos, pomagając mi sprzątnąć ze stołu. Jej pytania jednak na jakiś czas pozostały bez odpowiedzi.

Nazajutrz, gdy wybrałam się do miasta, żeby dostarczyć obiecane dokumenty mojej przyszłej szefowej ze sklepu bieliźniarskiego, zastałam w nim... panią Michalską. Wyglądała zupełnie inaczej niż poprzednio, miała na sobie zwiewną letnią sukienkę z dużym dekoltem na plecach, była starannie umalowana i chyba zmieniła kolor włosów na jaśniejszy. Pani Marta, bo tak miała na imię właścicielka sklepu, rozkładała przed nią kolejne komplety bielizny.

– No właśnie, Marzenko, to będzie twoja pierwsza lekcja pogładowa. – Uśmiechnęła się na mój widok. – A oto moja nowa pracownica – zaprezentowała mnie swojej klientce.

Pani Michalska spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– To ładnie, że młodzi chcą dziś sami pracować na swoje utrzymanie – powiedziała. – Wobec tego, jak się domyślam, studiujesz zaocznie?

– Wcale nie studiuję. W końcu nie wszyscy musimy być magistrami – dodałam, widząc zdziwienie na jej twarzy.

– No pewnie, że nie musimy – poparła mnie pani Michalska i na powrót skupiła się na bieliźnie.

Przymierzyła kilka kompletów, a pani Marta pokazała mi, jak dobierać właściwie rozmiar biustonosza.

– To co, zaczynamy od poniedziałku? – spytała po wyjściu klientki. – Spójrz, jeszcze tu nie pracujesz, a już przynosisz mi szczęście...

Pani Michalska kupiła wszystko, o czym ja się wyraziłam pochlebnie. A były tego trzy zestawy biustonoszy z figami, oprócz tego dwie pary stringów i króciutka przezroczysta koszulka nocna.

– Rany, nie wiedziałam, że mamy w mieście aż takie elegantki – skomentowałam mimo woli.

– No wiesz... to małe miasto, więc chcąc nie chcąc, obowiązuje nas pewna dyskrecja. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Jasne – odparłam z powagą.

– Wybierz coś sobie jako prezent ode mnie na rozpoczęcie współpracy – zaproponowała pani Marta.

– Nie, dziękuję, nie trzeba – zaproponowałam, rumieniąc się.

Asortyment sklepu pani Marty był bowiem nie tylko elegancki, ale i bardzo drogi. Poza tym nie zwykłam nosić bielizny z koronek i jedwabiu, na dodatek tak skąpej.

– Śmiało – zachęciła kobieta. – Nie? To ja ci coś wybiorę.

Wyszłam ze sklepu z wiśniowym kompletem i ciągle jeszcze z rumieńcami na twarzy. Po drodze wstałam do taty, licząc na relaksującą pogawędkę z Adasiem. Niestety, chłopiec właśnie zdrzemnął się po obiedzie, ale skoro już tu zaszłam, dałam się namówić na małą kawę.

– I co tam w biznesie, córka? – spytał tata.

– Dobrze. Od poniedziałku zaczynam pracę.

– Twoja matka wróciła?

– Tak, ale nadal o tym nie wie, na razie żyje wspomnieniami z wczasów.

Tata i pani Teresa znów spojrzeli na siebie w ten sam sposób, co poprzednio. Tym razem to zignorowałam.

– Wiesz, córku... – Tata dość długo ważył dalszą część wypowiedzi. – Tak sobie z Teńką mówiliśmy, że jakby co... No wiesz... kiedykolwiek... To znajdzie się u nas miejsce i dla ciebie.

– Dziękuję za dobre chęci, ale chyba nie ma takiej potrzeby – podziękowałam niezbyt wylewnie, bo przecież nie mogłam tego zrobić własnej matce. Wystarczająco przeżyła już odejście ojca.

Zaraz po powrocie do domu zamierzałam poinformować mamę o mojej decyzji odnośnie pracy, by załatwić to z marszu, jednak jej nie zastałam.

– Poleciała dokądś zaraz po twoim wyjściu – poinformowała mnie babcia.

Jej oczywiście zdążyłam pochwalić się dużo wcześniej, co przyjęła z wielką aprobatą. Poszłam zatem do swojego pokoju i postanowiłam przymierzyć prezent od pracodawczyni. Miała naprawdę niezłe oko, bo biustonosz i majteczki leżały na mnie idealnie. Poza tym były w cudownym kolorze dojrzałej wiśni i zostały uszyte z przepięknej koronki połączonej z jedwabiem. Przyglądałam się sobie z przyjemnością i jednocześnie powątpiewaniem, czy kiedykolwiek komuś oprócz mnie będzie dane zobaczyć te cudneńka.

Nie zdjęłam ich z siebie od razu. Ubrałam się z powrotem i poczułam się jak prawdziwa dama. Chyba było sporo racji w tym, co pisano w modowych

czasopismach, że odpowiednia bielizna dodaje kobiecie pewności siebie. Mnie ona była dziś potrzebna jak mało kiedy.

Mama wróciła do domu w porze kolacji. Miałam wrażenie, jakby była po kilku lampkach wina.

– Zrobić ci kawy albo herbaty? – spytałam, żeby był jakiś pretekst do chwili rozmowy przy stole.

– Dziękuję, już piłam – powiedziała jakby z roztargnieniem. – Ale możesz podać mi wody.

– Znalazłam pracę – poinformowałam ją bez wstępów.

– Tak? A po co ci praca? – spytała mama bez szczególnych emocji.

– Mam zamiar przejść na własne utrzymanie.

– O? A w jakim to celu?

– Takie czasy. Młodzi ludzie chcą być niezależni – odparłam dość obcesowo.

– Rozumiem zatem, że nie wybierasz się na akademię muzyczną?

– Nie. W każdym razie nieprędko.

– Co więc zamierzasz robić? Poza pracą, oczywiście? – spytała mama nadal dziwnie spokojnie.

– Nie wiem. Zobaczą, co przyniesie los.

– Nic dobrego, tyle mogę ci powiedzieć. Bo los taki już jest. Dlatego nie zamierzam cię przekonywać do czegokolwiek, posmakuj trochę prostego życia, a może ci się odmieni.

– Jej coś się chyba stało – skomentowała babcia po wyjściu mamy z kuchni. Oczywiście jak zwykle podsłuchiwała pod drzwiami.

– Też tak sądzę. Ale co? Mam nadzieję, że nie zachorowała na coś w tej Chorwacji...

– No cóż... Nie wiem. Ale się dowiem – zapewniła staruszka.



Sprawa wyjaśniła się szybciej, niż babcia zdążyła się do niej zabrać. Zaraz po niedzieli zadzwonił do mnie tata, że Adaś jest już u nich z powrotem i że domaga się mojego towarzystwa. Obiecałam, że wpadnę, wracając z pracy, bo był to akurat mój pierwszy dzień za ladą.

– Ceść, Mazenka! – Chłopczyk rzucił mi się na szyję. – Tęskniłem za tobą, wiesz?

– Ja za tobą też, szkrabie.

– Mam coś dla ciebie – Adaś wygrzebał z kieszeni małą plastikową żyrafę, najprawdopodobniej zabawkę z jajka niespodzianki.

– Och, jaka piękna! Zupełnie jak mój Kacper! – Ucieszyłam się

demonstracyjnie. – Tylko mniejszy.

– Pokazesz nam kiedyś Kacpla?

– Wam, czyli komu?

– Mnie i Miśkowi.

– Jasne – obiecałam, bo od czasu, gdy byłam już na tyle duża, by obronić go przed ekspansją mamy, mieszkał w moim pokoju na szafie. – A odwiedziś mnie kiedyś?

– Telaz!

– No nie, teraz raczej nie. Może jutro.

– Jak bum-cyk-cyk?

– Jak bum-cyk-cyk! – Położyłam rękę na sercu.

– Co wy tam knujecie, jeśli można wiedzieć? – spytała pani Teresa z sofy.

– Chciałabym jutro zabrać do siebie Adasia na jakąś godzinkę, jeśli pani się zgodzi.

– Ja tak, ale czy twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu? Wiesz, jaki Adaś potrafi być żywy...

– Jutro będę całkiem nieżywy, ciociu, obiecuję! – zapewnił Adaś gorliwie.

– Oj tam, jak będziesz trochę żywy, to jeszcze nie będzie problemu. – Roześmiałam się.

– A... jak tam mama? – spytała pani Teresa.

– To znaczy? – wyostrzyłam czujność.

Pani Teresa chyba zmieszkała się swoim pytaniem i zamilkła. Ja – przeciwnie. Korzystając z nieobecności taty, postanowiłam zgłębić temat do końca.

– Pani Tereso. – Przysiadłam się do niej na sofę. – Proszę, niech mi pani powie, co się dzieje... Mama jest od swojego powrotu jakaś dziwna, wcześniej nachodziła nas pani Michalska, wy z ojcem mówicie do mnie jakimiś dziwnymi półsłówkami...

Pani Teresa nadal milczała.

– Pani akurat chyba dobrze wie, jak to się odbywa. Ludzie mówią, huczą, w mieście wrze, tylko najbliżsi do końca nie wiedzą, co jest grane – nawiązałam do jej własnej sytuacji sprzed kilku lat. – A ja czuję, że coś się dzieje. Jest pani jedyną osobą, która może mnie w tej sprawie uświadomić, zanim jakiś grom spadnie na mnie z jasnego nieba. Jeśli pani zechce, rzecz jasna.

– Mówi się – podjęła po wyraźnym namyśle pani Teresa – że twoja mama nie wybrała się sama na te wczasy...

– Nie? A z kim? Zaraz... – Nagle zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. – Nie chce pani chyba powiedzieć, że... z dyrektorem Michalskim?!

– No, akurat tak się mówi – odparła pani Teresa ostrożnie.

Poczułam, jak krew z całego ciała odpływa mi do stóp. Moja matka? – myślałam gorączkowo. Moja matka i taki obleśny romans? Nie, to nie mieściło mi

się w głowie. Pan Michalski był bowiem nie tylko sporo od niej starszy. Był łysy, gruby i celował w prostackich, seksistowskich żarcikach. I przede był wszystkim żonaty. Nie pasował do mojej matki jak mało kto. Gdyby jej serce skradł jakiś młody szalony artysta o aparycji Adonisa, zrozumiałabym. Nawet może bym jej kibicowała, ale ten brzuchaty, wiecznie spocony gość z niewyparzoną gębą? Tego byłoby za wiele jak dla mnie. Ale niestety, wiele rzeczy zaczęło mi się układać w logiczną całość.

– Boże mój, ona chyba nie zamierza sprowadzić go do domu? – wymknęło mi się.

– Nawet jeśli zamierza, nie masz się czego obawiać. Pan Zenon wrócił z podkulonym ogonem na łono rodziny.

Teraz szybko skojarzyłam z tym faktem ostatni imaż pani Michalskiej, jej specyficzne zakupy, i w duchu odetchnęłam z ulgą. Już mi się nie chciało na ten temat rozmawiać. Ale oglądać matki też mi się nie chciało. Cóż jednak miałam zrobić? Chcąc nie chcąc, wróciłam do domu.

Rozdział 13

W sklepie z bielizną



Moje nastawienie do matki radykalnie się zmieniło. O ile do mojej rozmowy z panią Teresą byłam skłonna jej współczuć, widząc, jak się z czymś gryzie w samotności, teraz czułam do niej coś w rodzaju chłodnej pogardy. Nie poruszały mnie jej podsinione od niewyspania oczy ani przeciągłe westchnienia.

– Co tak długo? – spytała, gdy wróciłam pierwszego dnia z pracy.

– Wstąpiłam po drodze do taty – odparłam bez owijania w bawełnę.

– Po co?

– Bo jest moim tatą. Gdzie babcia? Jest jakiś obiad?

– W kuchence jest risotto. Źle ci poszło? – spytała matka, przyglądając mi się podejrzliwie.

– Nie, przeciwnie... – Jakiś diabeł nagle we mnie wstąpił. – Wyobraź sobie, że była u nas żona dyrektora wodociągów i kupiła kilka kompletów seksownej bielizny. Minimum za dwie stowy każdy. Chyba dostanę z tego tytułu jakąś specjalną premię, bo właścicielka była ze mnie bardzo zadowolona.

– Perwersyjna żmija – skomentowała matka chyba nie całkiem świadomie.

– Czemu? Przecież jest mężatką, więc pewnie dla męża kupowała te rzeczy – zaprotestowałam niewinnie.

Mama omal nie udławiła się kawą. Na jej twarzy malowała się wściekłość.

– Może i tak – syknęła. – Ale każdy wiek ma swoje prawa. Michalska nie jest już dzierlatką niestety.

– Myślałam, że jesteście w podobnym wieku... – Diabeł wyraźnie nadal panoszył się w mojej duszy.

– Ewka jest ode mnie starsza o cały rok – stwierdziła mama z całkowitą powagą.

– Aha – skwitowałam. – Dobrze to risotto. Kto robił, ty czy babcia?

– Ja. Wreszcie zjesz coś przyzwoitego.

– Dzięki mamó. Muszę teraz wpaść do babci, mam do niej sprawę. Pozmywam za chwilę.

Wyszłam, zanim mama zdążyła cokolwiek powiedzieć. Babcię zastałam nad szklaneczką (tak, szklaneczką a nie kieliszkiem) cytrynowki. Siedziała posępna za stołem, widać wiedziała już o wszystkim. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, żadna z nas nie musiała już nic mówić.

Pierwszy raz w życiu doznałam uczucia, że to ja wstydzę się za moją matkę.

Do tej pory to ona zawsze wstydziła się za każdego z nas. Dziwne to było uczucie i niezwykajne. Ona jednak dość prędko przeszła do porządku nad swoją porażką i żyła nadal tak, jakby nic się nie stało. Szybko wróciła jej pewność siebie, postawa „damy z klasą” i skłonność do oceniania wszystkich dookoła. Najprawdopodobniej myślała, że nikt o niczym nie wie, ludzie zaś, jak to ludzie (a my z babcią przede wszystkim) – dalecy byli od krytyki prosto w oczy. Tak więc po urlopie mama normalnie wróciła do pracy i ogólnie rzecz biorąc, żyła, jakby nic się nie wydarzyło.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Adasia zmuszona byłam o kilka dni przełożyć jego wizytę u mnie. Chciałam, żeby najpierw wszystko jako tako się unormowało. Ale gdy już do niej doszło, nastął w naszym domu wielki dzień. Babcia upiekła bezy i własnoręcznie ukręciła lody według sekretnego przepisu z lat młodości.

– Pamiętasz jeszcze, Joanno, lody karmelowe? – zapytała babcia, gdy mama zajrzała do kuchni. – Właśnie chłodzą się w lodówce, zrobiłyśmy razem z Marzenką.

– Lody karmelowe... pamiętam! – Mama spojrzała gdzieś hen przed siebie. – Lody karmelowe i bitą śmietaną z rodzynkami... nawet pamiętam ten smak. A to na jaką okazję?

– Będę miała gościa. To taki mały chłopczyk, siostrzeniec pani Teresy. Zaprzyjaźniliśmy się trochę ostatnio – wyjaśniłam.

– Chłopczyk? – zdumiała się mama.

– Tak, trzyletnie dziecko.

Mama wzruszyła ramionami, zrobiła sobie kawę i wyszła.

– Nie pamiętam, żebyś robiła takie lody – zdziwiłam się.

– Robiłam, każdego lata niemal codziennie, ale nie tutaj.

– A gdzie?

– W... jak by ci tu powiedzieć... w domu dzieciństwa twojej matki.

– Czyli?! Znowu jakieś sekrety rodzinne?

– Kiedyś ci opowiem. A teraz kręć tę śmietaną, bo czas leci.

Wymiana zdań mamy z babcią bardzo mnie zaintrygowała, ale ponieważ Adaś miał przyjechać lada chwila i czas rzeczywiście naglił, skupiłam się na pracy. Myślałam, że mama może wpadnie do nas na chwilę, żeby poznać małego, ale zaszyła się u siebie na cały wieczór.

– Małe dzieci mnie irytują – odparła później na moje pytanie, czemu do nas nie przyszła.

Adaś, jak obiecał, zachowywał się wzorowo. Poza tym, że wycygnął ode mnie Kacpra. Szczerze mówiąc, był jedyną osobą pod słońcem, której z całkowitym spokojem mogłam oddać pod opiekę moją żyrafę, najlepszego przyjaciela z dzieciństwa. Uznałam, że smutno mu samemu u mnie na szafie i znacznie lepiej poczuje się w towarzystwie Miśka oraz jego opiekuna. Zwłaszcza

że było to nasze spotkanie pożegnalne, jeszcze tego wieczoru rodzice zabierali chłopca do domu, a mieszkali daleko, bo na Mazurach. Mama Adasia obroniła pracę i nic już nie stało na przeszkodzie, by mogła cały swój czas poświęcić synkowi. Miałam tylko nadzieję, że będzie miała o wiele więcej wyrozumiałości dla dyskusyjnej urody Kacperka niż pani Teresa dla Adasiowego Miśka.



Któregoś popołudnia, gdy byłam już w pracy sama, do sklepu wpadły moje dawne koleżanki.

– Ja cię nie mogę! – wykrzyknęła na mój widok Patrycja. – A cóż to porabia za ladą z gaciami nasza wirtuozka pianina?

– Sprzedaję, doradzam, pomagam. – Uśmiechnęłam się wcale niezawstydzona. – Czyżbyście nie wiedziały? Przecież w naszym mieście słowo jest szybsze niż myśl!

– No nie! – zaperzyła się Beata. – My w zasadzie na zakupy przyszłyśmy.

– Mówcie więc, czego wam trzeba, bo nie mogłyście lepiej trafić. – Roześmiałam się, w gruncie rzeczy zadowolona, że je widzę.

– O, to musisz się postarać, bo przyszłyśmy wybrać ślubną bieliznę dla Elki.

– Serio? Ela, wychodzisz za mąż?

– Tak się złożyło – odparła Ela.

– No wiesz, Gibon nie zdążył się w porę wycofać... – Patrycja mrugnęła do mnie. – A skoro tak, musi dalej iść naprzód. Po męsku.

– Spodziewasz się dziecka? – spytałam z zainteresowaniem.

– E tam! – Znow do odpowiedzi wyrwała się Patrycja. – Jakby się spodziewała, nie dopuściłaby do siebie Grześka bez gumki. Problem w tym, że się nie spodziewała.

– Pytam, czy Ela jest w ciąży – uściśliłam, nie wiedząc, czy Patrycja nie rozumie, czy tylko się wygłupia.

– Trzeci miesiąc – powiedziała Ela. – Ślub w lipcu, nic jeszcze nie będzie widać.

– Na wszelki wypadek pokaż jakieś większe galoty – podrzuciła Patrycja.

– Żadnych większych! – zgromiła ją Ela. – Sama sobie weź większe, ja noszę eski i tylko takie chcę obejrzeć.

Ułożyłam na ladzie bieliznę w tym rozmiarze, białą rzecz jasna i najbardziej elegancką. Łącznie z podwiązkami i koszulkami na noc poślubną. Wybór był spory, więc dziewczyny decydowały się do samego zamknięcia sklepu. Zaopatrzyły się wszystkie, nie tylko panna młoda, więc na drugi dzień mogłam się spodziewać pochwały od szefowej. Na to konto, nie wzbraniając się zbyt mocno,

przyjęłam zaproszenie koleżanek do Zielonej Łodygi na małe co nieco.

– Dla matki sok marchwiowy, reszta pije, co chce – zarządziła Patrycja, sadowiąc się przy stoliku. – Czyli czystą z colą i z lodem.

– Niech będzie – zgodziła się Beata w imieniu reszty.

– No dobra, to ty już z grubsza wiesz, co u nas, opowiadaj teraz o sobie – zwróciła się do mnie Ela.

– Wiem co u c i e b i e – doprecyzowałam. – A ja? Żyję, pracuję, chwilami się nudzę. I to w zasadzie wszystko.

– Podobno rozeszłaś się z Natanielem? O co poszło?

– A więc jednak coś wiecie. – Nie darowałam sobie tej uwagi.

– Nie tyle, ile byśmy chcieli. No, gadaj, ulży ci.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo chce mi się o tym gadać, bo zaraz mi zaczniecie flaki wypruwać, dopytując o szczegóły. Ale powiem wam, a wy się nie czepiajcie za bardzo, okej?

– Zrobimy, co w naszej mocy – obiecała Patrycja.

– No więc... Nataniel postanowił zostać księdzem. To znaczy nie teraz nagle, już dawno, ale zapomniał mi o tym powiedzieć.

Pierwsza zakrzuszyła się Ela swoim sokiem, po niej regularnie bezdechu doznały Patrycja i Beata.

– Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jaja sobie robisz. Ale niestety, za poważna z ciebie laska na takie numery. – Pierwsza głos odzyskała Beata.

– No nie mówcie, że miasto o tym nie huczy. – Spojrzałam na nie zdziwiona.

– Może by i huczało, ale twoja matka zdecydowanie cię przebiła... – wyrwała się Patrycja.

– Zamknijże się, durna. – Ela trąciła ją łokciem.

– A bo co? Nie chce mi się wierzyć, żeby Marzenka nie wiedziała o bzykaniu się swojej matki z Michalskim. Byłam kochasiem, bo facet puścił ją w trąbę – skorygowała. – I to jest temat numer jeden.

Widać było, że koleżanki są na nią wściekłe. Pospuszczały głowy i umilkły.

– Spokojnie dziewczyny, to dla mnie nie nowina. – Mój spokojny ton wiele mnie kosztował.

Patrycja była obcesowa jak zwykle, ale z drugiej strony wołałam to niż szeptanie za plecami.

– Dobra, mniejsza z tym, mów o Natanielu – Ela zwróciła rozmowę na właściwy tor.

– Niestety, nie ma o czym. Było, skończyło się, świat kręci się dalej – podsumowałam filozoficznie. – Miałam iść na studia, ale tymczasem mi się nie pali. Popracuję, pożyję, poczekam, co przyniesie los.

– Matka cię nie naciska?

– O dziwo nie. Przynajmniej na razie.

– Właśnie, Marzenka! A może zagrałabyś na moim ślubie w kościele? – Ela na tę myśl aż klasnęła w ręce. – Organista będzie na urlopie, właśnie miałam kogoś szukać. Zagrasz?

– Czy ja wiem? Musiałabym poćwiczyć jakieś okolicznościowe utwory.

– Po co zaraz okolicznościowe? Normalnie polecisz sobie Szopenem, Bachem czy innym van Goghciem – uprosiła sprawę Patrycja.

– A wiesz, że może to i jest myśl? Tak czy inaczej, odpowiem wam za kilka dni – odparłam zachowawczo. – Muszę się zastanowić i zobaczyć, czy podołam.

– Jeny, jasne że podołasz, w końcu grasz jak z nut! – poparła ją Patrycja.

– Gram wyłącznie z nut... – zaśmiałam się.

– No więc w czym problem? Wszystko sobie przeczytasz na miejscu, co nie?

– Owszem, ale organy to nie pianino. Musiałabym spróbować.

– No to spróbujesz. Powiedz tylko kiedy, a ja wszystko załatwię – zapaliła się Ela.



Do domu wróciłam w stanie odrobinę wskazującym na spożycie.

– Chyba idzie ku lepszemu, co? – spytała babcia, gdy przy zmianie butów na kaptcie nieco zachwiała się moja równowaga.

– Nie wiem, babciu. Ale niewykluczone. Oblewałam z koleżankami zamążpójście Eli i co za tym idzie, niemal hurtową sprzedaż bielizny dla niej i jej druhen.

– Czyje zamążpójście? – spytała mama, która wchodząc do kuchni, usłyszała co nieco.

– Eli. Pamiętasz Elę, prawda?

– Owszem. Mieszka przecież po sąsiedzku. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że to swój ślub będziesz świętowała w tym roku. – Nie darowała sobie uwagi.

– Ja też. Nie przewidziałam jednak, że mój wybranek ślubował już wcześniej komuś znacznie mocniejszemu niż ja. – Nie pozostałam jej dłużna.

– Wiesz, Marzenko, nie lubię się powtarzać, ale miałaś trochę czasu, żeby, że tak powiem, przechylić szalę na swoją stronę.

– Może i tak, ale w kwestii uczuć nie ma niczego przewidywalnego. I nie zawsze nasze pobożne życzenia idą w parze z realiami.

Krzętałam się po kuchni, szykując sobie kolację, mama siedziała przy stole ze szklanką soku z buraka w dłoni, babcia stała w drzwiach, przysłuchując się nam z ciekawością.

– A moim zdaniem wszystko jest kwestią sprytu i determinacji.

– Doprawdy? – Spojrzałam na matkę znacząco.

Przez chwilę jakby się zmieszała. Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę babci, potem ciut bardziej lustrujące w moją, ale najwyraźniej nasze niewinne miny zdołały uśpić jej czujność.

– Owszem. Kobieta to taki twór natury, że dzięki atutom, w które je wyposażyla, jest w stanie góry przenosić. Oczywiście, o ile ma na tyle oleju w głowie, by je umieć wykorzystać.

– Góry, czyli co? – spytałam głupio, ale świadomie.

– Myślę, że mam do czynienia z inteligentną osobą – odparła mama.

– A wiesz, z tym ślubem to chyba nic straconego. Parę tygodni temu spotkałam Dominika.

– Tego z patologicznej rodziny?

– Nie patologicznej, tylko wielodzietnej. Pracuje, studiuje, lada chwila zostanie inżynierem.

– Czego?

– Zdaje się, że logistyki i czegoś z transportem – przypomniało mi się niejasno.

– Phi, co to za zawód dla szanującego się mężczyzny... – Mama wydeła pogardliwie usta.

– No jasne, do księdza się nawet nie umywa – w końcu w rozmowę wtrąciła się babcia.

– Nie do ciebie mówię, mamo!

– A szkoda, bo miałabym ci co nieco do powiedzenia na temat szanujących się mężczyzn i ich zawodów...

– Mów – zażądała.

Staruszka zmarszczyła brwi, szykując się chyba do kolejnego ataku. W sumie swoje już osiągnęła, bo matka zbordowiała na twarzy mniej więcej w takim stopniu, jak jej sok z buraka.

– Oj, córko, cudzym życiem jest znacznie łatwiej sterować niż swoim – ciągnęła babcia. – Gdybyś się nie pakowała między Marzenkę i tego chłopca, prędzej miałabyś ten swój wymarzony ślub. I to nie z byle kim, bo ten młodzieniec daleko zajdzie, wspomnisz moje słowa.

– Bądź tak uprzejma i zamknij się – wydukała mama, spoglądając na mnie z ukosa.

– Jeśli o mnie ci chodzi, nie musisz się specjalnie krygować, ja też jestem w temacie – odparłam z odwagą, jaką dał mi wypity alkohol. – A co do Dominika, babcia ma rację. To uczciwy i pracowity chłopak, nie żaden utrzymanek forsiastych rodziców. Bardzo żałuję, że nie zawańczyłam o niego. Dziś bym zrobiła inaczej.

Matka odstawiła drżącą ręką szklanekę z sokiem na stół, podeszła do mnie wolno, po czym z całej siły walnęła mnie w twarz. Przypuszczam, że oberwałam za

siebie i za babcię, której raczej nie mogła tknąć. Babcia zamarła, tym razem to matka wprawiła ją w osłupienie.

– Ty niewdzięczna gówniario – syknęła. – Wszystko zawsze robiłam z myślą o twoim szczęściu, odkąd sięgam pamięcią, wiecznie sobie czegoś odmawiałam, żebyś miała lepiej niż ja kiedyś, mogła realizować swoje pasje, żebyś miała najlepsze ciuchy w klasie i w ogóle najlepsze wszystko!

– Czyje pasje? – spytała zaczepnie babcia, która już się zdążyła ocknąć.

Mama zacisnęła zęby i wyszła z kuchni, trzaskając drzwiami.

– A spróbuj ją jeszcze raz tknąć, to nadrobię teraz, czego w twoim dzieciństwie zaniechałam! – krzyknęła jeszcze babcia w stronę drzwi.

– Nie wiem, czy nie przesadziłyśmy – skomentowałam, gdy byliśmy już same.

– Na pewno nie. Spójrz tylko na swój policzek. Zrób sobie szybko okład z lodu, bo jutro będzie cały siny.

Rzeczywiście, twarz zaczynała mi puchnąć, ukazując coraz bardziej krwisty ślad dłoni mojej matki.

– Mimo wszystko, trochę mi jej żal – westchnęłam.

– Żal ci? Nic jej nie będzie, to żelazny egzemplarz, zapewniam.

– Babciu... od dawna obserwuję wasze stosunki z mamą i przyznam, że wszystko to jakieś dla mnie niepojęte. Czasem mam wrażenie, jakbyście nie były matką i córką, tylko obcymi, wrogimi kobietami...

– Nie, to nie tak, Marzenko. Uwierz mi, że kocham ją bardziej niż swoje życie, nigdy nie pozwoliłabym jej skrzywdzić, nie zostawiłabym w potrzebie. Ale to bardzo trudna miłość, bo ona nie kocha mnie. Może nawet nienawidzi...

– Co ty powiesz, babciu? – zdumiałam się.

– Niestety, wiem co mówię. Ale to chyba nie jest dobry czas, żebym wtajemniczała cię w pewne sprawy z przeszłości.

– Nie jest? A kiedy będzie? – spytałam chłodno. – Bo mnie się wydaje, że skoro należę do tej rodziny, powinnam choć z grubsza wiedzieć, co jest grane, a tymczasem mam coraz większy mętlik w głowie.

– To nie jest dobry czas ani dla ciebie, ani dla niej, a ja nie chcę jeszcze tego pogarszać. Ufasz mi, Marzenko? – spytała babcia z troską na twarzy.

– Tobie jednej, babciu.

– W takim razie nie nalegaj, proszę. Jeszcze nie teraz.

Tym jednym prostym pytaniem babcia zamknęła mi usta, a w nich cisnące się wątpliwości i pretensje.

– Dobrze – odparłam. – Już nie będę. Zaczekam, aż sama mi wszystko opowiesz.

W sumie w duchu przyznałam jej rację. Bo jeszcze nigdy nie byłam tak bliska znienawidzenia swojej matki i ta myśl mnie przeraziła.

Rozdział 14

Cienie przeszłości



Przez długi, nawet bardzo długi czas nie działało się w moim życiu nic istotnego, co chciałabym tu, w moich zapiskach z siebie wyrzucić lub z czym się zmierzyć. Chodziłam do pracy, spotykałam się z koleżankami, odwiedzałam tatę i panią Teresę. Moje relacje z matką jakoś się unormowały – nie mogę jednak powiedzieć, by się poprawiły, bo nie znalazłyśmy ani wspólnego języka, ani jako takiej więzi opartej na uczuciach matki do dziecka i vice versa. Gdybym miała scharakteryzować je w jednym zdaniu, powiedziałabym, że ograniczyły się do podstawowych, egzystencjalnych spraw.

Na studia nie poszłam ani jesienią tego roku, ani następnego, a matka sprawiała wrażenie, jakby sobie całkiem odpuściła moją muzyczną karierę. Zresztą babcia bardzo pilnie stała na straży takiego stanu rzeczy. Zaczęłam nawet znowu chodzić do kościoła i od czasu do czasu szłam z nią na wieczorną mszę. Nie stało się to ot tak sobie, po prostu od kiedy zagrałam na ślubnej mszy Elki, coraz częściej proszono mnie o takie rzeczy. Grałam więc i na innych ślubach, komuniach, a nawet pogrzebach. Oczywiście nie bez przerwy i tylko w kręgach tak zwanych „elit”, bo tylko w tych kręgach nagle zapanowała moda na muzykę poważną podczas rodzinnych uroczystości. W pewnym momencie zaczęłam cenić swoją grę w sensie jak najbardziej wymiernym: brałam zdecydowanie więcej niż organista, który z takiego stanu rzeczy był wielce niezadowolony. Tu jednak przydatna okazała się babcia, która będąc w doskonałych stosunkach z proboszczem naszej parafii, załatwiła mi możliwość grania w kościele, gdy tylko nadarzy się okazja, zatem organista nie miał nic do gadania.

Wracając do ślubu Eli: dla niej zagrałam zupełnie za darmo, w prezencie. Ona zaś w zamian zaprosiła mnie na swoje wesele. Był na nim również, ku mojemu zaskoczeniu, Dominik. Do dziś nie wiem, czy był to przypadek i został zaproszony po prostu jako szkolny kumpel panny młodej, czy była to może wyłącznie intryga Elki, uknuta pod moim kątem. Przypadek czy nie – nic z niego w każdym razie nie wynikło. Dominik przez cały czas trwania imprezy był dość zdystansowany. Owszem, dobrze nam się rozmawiało i dobrze tańczyło, ale nic poza tym. On nie wracał do przeszłości, ja również. Nie byłam nawet w stanie wyczuć, czy nadal z jego strony działa ta chemia, która kiedyś nas do siebie zbliżyła. Być może, gdyby choć najmniejsza inicjatywa wyszła z mojej strony, byłoby inaczej. Ale nie wyszła. Chłopak nadal mi się podobał, nawet bardziej niż

przedtem. Właściwie już nie chłopak, tylko młody mężczyzna – ta dojrzałość w sensie fizycznym w zestawieniu z dojrzałością mentalną, która charakteryzowała go chyba od zawsze, sprawiła, że na nowo zadrżało mi serce. Tym bardziej, że po Natanielu niewiele już w nim zostało. Nie potrafiłam się jednak przemóc, żeby mu to jakoś okazać, zwłaszcza, że jego chłodna powściągliwość zupełnie temu nie sprzyjała. Nasze rozmowy sprowadzały się do wymiany zdań na tematy ogólne, tańce natomiast do technicznej poprawności kroków. I tak też się rozstaliśmy: poprawnie i bez widocznych emocji. Muszę przyznać, że jeszcze przez wiele dni i wieczorów o nim myślałam, o tym, co było kiedyś, o tym, jak przebiegło nasze spotkanie na weselu Elki, i o tym, że powinnam była się w stosunku do niego zachować zupełnie inaczej. I kiedyś, i teraz...

Dominik wyjechał jednak z powrotem do Gdańska i nasz kontakt znów się całkowicie urwał. A ja wciąż byłam sama. Nie doskwierało mi to jednak na tyle, by szukać kogoś na siłę albo wiązać się z tymi, którzy próbowali się do mnie zbliżyć, ale nie spełniali moich wymogów. Moim życiem zawładnęli bowiem tylko dwaj mężczyźni: Nataniel i Dominik – obaj w różny sposób dla mnie niedostępni. Być może tak właśnie miało być? Babcia często mi powtarzała, że człowiek powinien ufać Opatrzności, bo Ona najlepiej wie, co dla niego dobre, nawet jeśli w danym momencie wydaje nam się zupełnie inaczej. Dyskutowałam z tym jej poglądem gorliwie i zażarcie, sypiąc jak z rękawa rozmaitymi przykładami.

– Weźmy za przykład moich rodziców. – Tym przypadkiem posługiwałam się najchętniej. – Uważasz, babciu, że ich małżeństwo było zdaniem Opatrzności dla nich najlepsze?

– Tak – odpowiedziała babcia ku mojej zgrozie.

– Co ty pleciesz? Przecież oni wyrządzili sobie nawzajem więcej złego niż dobrego.

– Niewłaściwie to odbierasz, wnusiu. Czasem jakieś zdarzenie w naszym życiu jest tylko środkiem do celu. Spójrz tylko na swojego ojca. Gdyby nie poznał twojej matki, nie poznałby swojej drugiej żony. A z nią jest wreszcie szczęśliwy. Sama widzisz, że to wręcz nie ten sam facet...

– No dobrze, a mama? Jej też wyszło na dobre? Sama widzisz, że to już nie ta sama kobieta – poparłam swoją wątpliwość jej własną konkluzją.

– I może właśnie o to chodzi. On sobie zasłużył na lepsze życie, a ona na nauzkę od życia.

– Chcesz powiedzieć, że i ja otrzymuję od losu to, na co sobie zasłużyłam?

– W twoim przypadku jeszcze nie pora na zapłatę. Cierpliwości. Takie dobre, mądre dziecko jak ty na pewno odbierze zapłatę odpowiednią do zasług.

– Każdemu według zasług – przypomniało mi się hasło, nie tyle kościelne, co raczej komunistyczne, chociaż nie jestem pewna, czy tak właśnie brzmiało.

– A żebyś wiedziała.

– Chcesz przez to powiedzieć, że i ty sobie zapracowałeś na wszystko, co masz? Na stosunek mojej matki do ciebie? Jej niechęć? Brak szacunku?

Chyba po raz pierwszy wówczas nazwałam rzeczy po imieniu, nie bacząc na to, czy wyrządę babci przykrość.

– Owszem – przyznała babcia ku mojemu zaskoczeniu.

– W jaki sposób? Bo ja osobiście nie znam lepszego człowieka pod słońcem niż ty... Nie wierzę, że mogłabyś zrobić komuś krzywdę.

Czułam, że oto nadszedł moment, w którym babcia w końcu wtajemniczy mnie w niejasne dla mnie dotąd, wspomniane jedynie półsłówkami sprawy z przeszłości.

– Bo widzisz, dziecko, życie to nie tylko dobro i zło. To również mądrość i głupota. A za głupotę też trzeba zapłacić...

– To znaczy?

– Ja ją za bardzo kochałam... Twoją matkę.

– Co ty babciu opowiadasz. – Spojrzałam na nią z lękiem, czy czasem nie miesza się jej w głowie. – Jak można kochać za bardzo? A nawet jeśli, to jak można w ten sposób zawinić?

– Oj, Marzenko... Kiedyś i ja tak myślałam, ale dziś wiem, że istnieją na świecie dwa rodzaje miłości: dobra i zła.

– Wyjaśnisz mi to jakoś porządniej?

– Czekaj. Sięgnę tylko po cytrynowkę, będzie łatwiej...

Poczułam na plecach dreszcz ekscytacji, przewidując, że to, co babcia ma mi do powiedzenia, już na zawsze pozostanie w mojej duszy i myślach.

– Wiesz o tym, bo nieraz ci mówiłam, że mieszkaliśmy kiedyś z twoim dziadkiem w Radkach, małym miasteczku na zachodzie kraju...

– Owszem, wiem.

– To było jeszcze, zanim się pobraliśmy. Antoś z tej miejscowości pochodził, a ja przyjechałam tam za pracę. Najpierw dostałam posadę w zakładzie introligatorskim, ale po kilku miesiącach się doszczętnie spalił, zahaczyłam się więc tymczasowo jako pomoc domowa u pani Oriany Kunz.

– O... Oriany Kunz? – W pierwszej chwili wydawało mi się, że się przesłyszałam. Pani Kunz była bowiem wielkim nazwiskiem w świecie muzyki, znaną pianistką włoskiego pochodzenia, zmarłą pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku.

– Tak, tej samej – potwierdziła babcia bez większych emocji.

– Rany, czemu mi nigdy nie wspomniałaś o tym? Gdybym powiedziała w szkole muzycznej, że była twoją znajomą, zaszpanowałabym jak mało kto! A mama? Czemu ona mi o tym dotąd nie mówiła? Nie rozumiem... Przecież ona tak lubi się chwalić swoimi znajomościami!

– No właśnie... W tym rzecz, że ta akurat znajomość położyła się cieniem na

całym naszym życiu. Jej i moim. Dlatego niechętnie wspominaliśmy o niej nawet między sobą.

– Co ona wam takiego zrobiła? – Moja ekscytacja sięgała niemal zenitu.

– Nic złego w każdym razie. Złe się... samo zrobiło.

– Czyli? Rany, babciu, mówże prędzej!

– To nie takie proste, Marzenko. Ale... no dobrze. Zacznę od tego, że gdy zmarł mąż pani Oriany i została całkiem sama, zaczęła szukać kogoś do pomocy w domu na pełny wymiar, to znaczy, oferowała również mieszkanie. Myślę, że bardziej potrzebowała towarzystwa niż służby, bo w sprawach gospodarskich radziła sobie doskonale. Dla mnie miało to być rozwiązanie tymczasowe, tak się jednak złożyło, że zostałam u niej całe czternaście lat. W tym czasie poznałam Antka, pobraliśmy się, na świat przyszła Joanna. Pani Oriana udostępniła nam wówczas niewielką przybudówkę, ale funkcjonalną i wygodną. Było to całkiem osobne mieszkanie, dzięki czemu mogliśmy żyć obok siebie w sposób zupełnie niekrępujący: pani Oriana nie przeszkadzała w grze płacz małego dziecka, dziecku natomiast nie zakłócało snu jej granie.

– I co? – ponagliłam, gdy babcia zrobiła sobie przerwę na wychylenie kieliszka cytrynowki i napełnienie kolejnego.

– Oriana była wspaniałą kobietą, wielkoduszną, hojną i wyrozumiałą. Ale bardzo, bardzo samotną. Nie ułożyła sobie po raz drugi z nikim życia, nie miała dzieci, więc z ogromną chęcią w wolnych chwilach zajmowała się Joanną. Joanna ją uwielbiała, a Oriana rozpieszczała ją do granic możliwości. Obdarowywała drogimi prezentami, ubierała, a gdy Joanna podrosła, zabrała ją nawet kilka razy za granicę przy okazji swoich koncertów. Antoniemu to się nie podobało, ale ja, w przekonaniu, że sama nie jestem w stanie zapewnić jej niczego lepszego, z zadowoleniem patrzyłam, jak moje dziecko korzysta ze wszystkich tych luksusów. Moi rodzice byli prostymi ludźmi, w domu się nie przelewało, uważałam więc, że moja mała córeczka jedynie na tym zyska, nie tylko materialnie, ale że przez obcowanie z Orianą nabierze ogłady, pozna świat, zdobędzie wykształcenie. Joanna zresztą od zawsze była bardzo ambitna, dobrze się uczyła, chciała iść w ślady Oriany i uczyć się gry na pianinie. I ma dziś rację, że ja jej tego nie zapewniłam ani w tym nie wspierałam. Nie chodzi o pieniądze, bo to, czego nie mogłam jej dać, dawała jej Oriana. Rzecz w tym, że twoja matka kompletnie nie ma słuchu muzycznego. Pani Kunz sama jej o tym wspominała, jednak na tyle delikatnie, że do twojej matki nigdy to nie dotarło. Sielskie życie Joanny pod skrzydłami swojej opiekunki skończyło się wraz z ukończeniem podstawówki. Za sprawą twojego dziadka, bo ja bym pewnie nigdy takiej decyzji nie podjęła.

– To znaczy?

– To znaczy, że jak twoja matka z czasem przestała się do nas przyznawać i opowiadać na prawo i lewo, że jest tak naprawdę córką pani Kunz, a nie naszą,

Antoś się wściekł i zaczął szukać innego mieszkania, jak najdalej od Radków. A wiesz, jaki to był spokojny mężczyzna...

– Raczej nie wiem... – Uśmiechnęłam się mimo wszystko, bo napady porywczosci mojego dziadka znane były w całej okolicy.

Babcia też się uśmiechnęła, widząc, że takiego kitu mi niestety nie wciśnie.

– Miarka się przebrała, gdy pod koniec ósmej klasy przyprowadziła do domu jakiegoś chłopca i całkiem już wprost, bez najmniejszego skrępowania przedstawiła mnie jako swoją gosposię. Żałowałam potem, że powiedziałam o tym Antoniemu, bo jak tylko Joanna dostała świadectwo ukończenia szkoły, zarządził, że natychmiast się pakujemy i wyjeżdżamy. A ponieważ nie mieliśmy wówczas dokąd się przeprowadzić, tułaliśmy się przez pierwsze miesiące po jego różnych krewnych.

– To wiem. I że w końcu zamieszkaliście w tym domu, u jakiejś dziadka ciotki.

– Dom to za dużo powiedziane. To była wtedy prawie ruina. Antoś sam doprowadził go do takiego stanu, w jakim jest teraz. Po jej śmierci spłaciliśmy wszystkich spadkobierców i dzięki Bogu od dawna już jesteśmy na swoim.

– To też wiem. Lepiej opowiadaj dalej o mamie. I co ona na tę wyprowadzkę? Chyba była bardzo nieszczęśliwa?

– Dla niej to był prawdziwy dramat. Ale ona już wtedy przeżywała wszystko na swój sposób. Nie płakała. Po prostu przestała się do nas odzywać i dalej robiła swoje, czyli udawała kogoś, kim nie była. Ja wiem, że gdybym nie dopuściła do takiej zażyłości z Orianą, byłoby pewnie inaczej, ale stało się, co się stało, i tyle. Ale największy żal ma do mnie nie o to, że zabrałam ją od Oriany, ale że nie została wielką pianistką. Pewnie liczyła na to, że będzie wiodła takie życie jak ona. Ja jej nie zabraniałam nauki w szkole muzycznej, broń Boże, ale ona się do niej nigdy nie dostała. Oczywiście łatwiej było jej obwiniać o to mnie niż swój brak słuchu... I tak jej zostało do dzisiaj.

– Rozumiem – westchnęłam, ale była jeszcze jedna rzecz, której byłam ogromnie ciekawa. – Powiedz mi jeszcze, babciu, czemu w takim razie nie zrobiła kariery przez małżeństwo? Taka piękna kobieta mogła chyba wybierać w facetach do woli...

– A to już z twojej winy... – Babcia uśmiechnęła się gorzko. – No i mojej, oczywiście też.

– To znaczy?

– Bo zaszła w ciążę w twoim ojcem.

– Jakim cudem? – spytałam, bo skoro mama miała od zawsze takie aspiracje, nagle wylądowała w łóżku ze zwyczajnym geodetą górniczym.

– No chyba nie cudem, tylko jak najbardziej zwyczajnym sposobem – odparła babcia z przekąsem. – Ale wiem, o co ci chodzi. Twój ojciec po prostu był,

i zresztą nadal jest, bardzo przystojnym mężczyzną. To jego urodzie uległa, nie pozycji. Ale nie spodziewała się na pewno, że będą takie konsekwencje.

– No tak. Te konsekwencje to ja... A jaka w tym twoja wina?

– Ślub z twoim ojcem.

– Kazałaś jej, czy co?

– Nie, ale bycie panną z dzieckiem jest... bez klasy, jak by to ona powiedziała. I sama zdecydowała się na ten ślub.

– Więc... więc... – Nadal nie mogłam dostrzec w decyzji matki o ślubie z ojcem winy babci. Nagle mnie olśniło! – To znaczy, chciała usunąć ciążę, a ty jej nie pozwoliłaś?

Zrobiło mi się bardzo, bardzo smutno. Sama mina babci wystarczyła mi za odpowiedź.

– Okej, ale w końcu przecież mnie urodziła i jestem – pocieszyłam nie tyle ją, co siebie.

– Tak, dziecinko. Jesteś. I to jest najlepsze, co mi się w życiu zdarzyło. Mam jakby drugą córeczkę, w dodatku taką, jaką zawsze chciałam mieć.



Po tej rozmowie z babcią specjalnie czekałam do późna na powrót mamy z pracy. Nie chciałam jej niczego wyrzucać ani o nic pytać, po prostu chciałam jej się przyjrzeć przez pryzmat mojej nowej wiedzy.

– A co ty jeszcze nie śpisz? – spytała matka, gdy grubo po północy zastała mnie w kuchni.

Wyglądała na zmęczoną, była blada i miała cienie pod oczami. Zresztą, jak wspomniałam w rozmowie z babcią, to już od dawna nie była ta sama kobieta. Nie sądzę jednak, by zmieniły się jej poglądy na życie, była po prostu jakby mniej pewna siebie, mniej dumna i arogancka.

– Nie, czekałam na ciebie – odparłam zgodnie z prawdą.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się.

– A jak sądzisz, co mogłoby się złego stać?

– Coś ci dolega? Tobie albo... babci? Marzenko, nie pogrywaj sobie ze mną, tylko mów, o co chodzi!

Mama była wyraźnie zdenerwowana. Po raz pierwszy dostrzegłam w niej takie zwykłe, najzwyklejsze uczucie, jak niepokój o bliskich. Może nie była nawet tak bezwzględna, jak ją dotychczas postrzegałam, tylko po prostu taką przyjmowała pozę, zgodnie z jej wyobrażeniem o „zachowaniu z klasą”? Przyszedł mi wówczas do głowy kompletnie niecodzienny pomysł. Podeszłam do niej i objęłam ją mocno. Mama w pierwszej chwili całkiem zeszytniała, ale potem

objęła mnie na bardzo krótko i natychmiast od siebie odsunęła.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – spytała, a na jej twarzy nie było już śladu tej czułości, która zagościła na niej na ułamek sekundy.

– Nic. Miałam zły sen. Bardzo, bardzo zły – odpowiedziałam, życząc sobie w duchu, żeby moja rozmowa z babcią okazała się nazajutrz tylko snem.

Niestety, była jak najbardziej realna, ale na szczęście nie spowodowała, że zaczęłam o mojej matce myśleć gorzej niż do tej pory. Była moją matką, innej nie miałam, tylko taką. A miłość rodziców do dzieci i dzieci do rodziców jest podobno bezwarunkowa, a nawet jeśli nie jest, to krytycyzm jest mocno ulgowy. Ot, tak się po prostu złożyło, że ona była moją matką, a ja jej córką. Przypadkiem. I obie musiałyśmy jakoś ten przypadek zaakceptować.



I tak się złożyło, również za sprawą szeregu przypadków, że po kilku dniach zadzwoniła do mnie pani Teresa z jakąś pilną sprawą, ale nie chciała jej omawiać przez telefon. Wstąpiłam do niej zatem po drodze z pracy.

– Mam dla ciebie propozycję, Marzenko, a w zasadzie prośbę – wyjawiała od razu podekscytowana.

– Słucham?

– Bo... moja najmłodsza siostra za dwa tygodnie wychodzi za mąż... ja wiem, że to niewiele czasu na zastanowienie, ale tak sobie pomyślałam, czy nie zechciałabyś zagrać na jej ślubie... Ja oczywiście wszystko opłacę: podróż, hotel i twoje wynagrodzenie. To byłby dla niej prezent ode mnie.

– Podróż i hotel? To gdzie ma się odbyć ten ślub?

– No jak to gdzie, w naszej rodzinnej miejscowości oczywiście.

– Gdzieś tam na Mazurach? Koło Mikołajek? – przypomniało mi się co nieco.

– Tak. I Adaś by się bardzo ucieszył ze spotkania z tobą – użyła dodatkowego argumentu. – To już dość spory chłopczyk, w przyszłym roku pójdzie do szkoły.

No tak... Policzyłam szybko w pamięci. – Od naszego pierwszego spotkania na spacerze minęły już dwa lata. Adaś powinien mieć już więc ponad pięć lat.

– Dobrze – zgodziłam się prawie bez zastanowienia. – Wezmę wobec tego ze dwa dni urlopu na dojazd i powrót. Albo... może w ogóle wezmę urlop i spędzę go na Mazurach, skoro już tam będę?

– Ależ oczywiście, Marzenko. Będiesz mogła zatrzymać się u moich rodziców, na jak długo zechcesz.

– Nie, pani Tereso. Znajdę sobie jakiś niedrogi pensjonat nad jeziorem.

Urlop to urlop, chętnie wypocznę sobie z dala od kogokolwiek. Bez urazy, pani rodzice są z pewnością bardzo mili, ale ja chyba tęsknię za jakąś samotnią.

– Oczywiście, jak chcesz. Ale zgadzasz się zagrać na ślubie Emilii?

– Zgadzam się. A gdzie się podziewa tata? – spytałam, bo ostatnio zastawałam go w domu jakby rzadziej.

– Czesław znalazł sobie nową pasję – zaśmiała się pani Teresa. – Nasz mały ogródek nie jest w stanie zająć mu wolnego czasu, więc teraz wędkuje z zapalem. A ja bez zapalu te jego zdobycze przyrządzam. Tylko nie mów mu tego, dobrze?

– Nie ma sprawy.

– Masz tu w ramach przekupstwa słoik marynowanych okoni. A może weźmiesz dwa? Bo on te ryby szybciej łowi, niż jesteśmy je w stanie zjeść.

– No, pani jako kobieta z Mazur chyba powinnaś mieć sentyment do takiego jedzenia?

– Przeciwnie. Powiem ci coś w sekrecie: zjadłam już tyle ryb, że mogłabym się bez nich obejść do końca życia...

O pochodzeniu mojego trofeum nawet mamie nie wspomniałam, żeby jej ością w gardle nie stanęło, i to dosłownie. Jeden słoik opędzlowaliśmy wieczorem razem z babcią do cytrynowki. Okonie pani Teresy były doskonałe. Przy okazji opowiedziałam babci o propozycji grania na ślubie na Mazurach i moich planach spędzenia tam urlopu.

– Świetna myśl – podjęła temat babcia. – Dawno już nigdzie nie byłaś, ten wyjazd przyda ci się jak znalazł. Odpoczniesz, opalisz się, nabierzesz sił do życia.

– Dlaczego uważasz, że brak mi sił? Tak źle wyglądam? – zaczęłam ją żartem.

– Wyglądasz świetnie, wnusiu, jak zawsze. Piękna z ciebie dziewczyna.

– Nawet jeśli tak jest, to nie zauważyłam, żeby mi to w czymś pomogło.

– Bo nie wiesz, jak to jest, gdy się nie posiada zbyt wielkiej urody – zaśmiała się babcia.

– A ty wiesz?

– Pewnie. Ja nigdy nie olśniewałam wyglądem. Twoja matka poszła w swoją babkę od strony ojca, a ty w nią.

– No widzisz. Nie olśniewałaś, a znalazł ci się taki mąż, że byłaś z nim przez wszystkie lata szczęśliwa.

– Bo to akurat nie jest kwestia urody, tylko wnętrza.

– Chcesz powiedzieć... że ja nie mam wnętrza? – Pochyliłam się w jej stronę z udawaną urazą.

– Ależ masz, masz, tylko jeszcze po prostu nie pora na ciebie.

– Nie pocieszaj mnie, babciu, bo ja aż tak za zamążpójściem nie tęsknię.

– Domyślałam się, bo już byś dawno przygruchała sobie byle kogo. Ale na pewno chciałabyś mieć obok siebie jakąś bratnią duszę płci męskiej. Nie mylę się?

– Owszem, mylisz się, bo dusza nie ma płci – odparłam wymijająco.

Babcina teza o Opatrzności, która to zawsze wie lepiej od nas, czego nam trzeba, jakoś do mnie nie przemawiała. W ten sposób można było dorobić ideologię do każdego życiowego wydarzenia tylko po to, by nie winić siebie za błędy i porażki. Ale nie powiedziałam tego głośno. A ja, niestety, mimo młodego wieku miałam już na koncie jedno i drugie, a także świadomość, że odpowiadam za nie ja, a nie żadna Opatrzność. A już najbardziej przykra była myśl, że przez swoje zaniechanie straciłam coś bardzo ważnego. Na przykład Dominika.

Rozdział 15

Chałtura



Przed wyjazdem na Mazury miałam pełne ręce roboty: w każdej wolnej chwili ćwiczyłam grę na pianinie i kompletowałam repertuar na ślub siostry pani Teresy oraz garderobę na wyjazd. Cieszyłam się nim jak mało czym, tym bardziej że udało mi się znaleźć niedrogi pensjonat raptem kilka kilometrów od miejscowości, w której mieszkała ta dziewczyna. Szczerze powiedziawszy, nie miałam pojęcia, że pani Teresa oprócz mamy Adasia ma jeszcze jedną siostrę, a kiedy wyraziłam swoje zdziwienie, okazało się, że ma jeszcze trzy, ale starsze i już zamężne.

Na podróż w jedną stronę załapałam się z tatą, który miał być na weselu osobą towarzyszącą żonie. Jechał samochodem dzień przed uroczystością, a pani Teresa była tam na miejscu już od kilku dni i pomagała siostrze w przygotowaniach do ślubu.

– I jak tam w domu, córcia – zagaił tata dokładnie w ten sam sposób, co zawsze, kiedy się spotykaliśmy.

– Normalnie, tatusiu – odparłam równie szablono.

– Może niedługo będę się wybierał na twój ślub, co?

Zgrzytnęłam zębami, bo był to dla mnie ostatnio dość drażliwy temat, a wszyscy jakby się uparli i wciąż zadawali mi równie głupie pytania.

– Jakby co, dam znać, nie martw się – uciełam krótko i część podróży spędziliśmy na rozmowie o rybach.

To mi uświadomiło, że w zasadzie nie mam zbyt wielu wspólnych tematów z ojcem. O moim domowym życiu nie miałam ochoty opowiadać, tacie natomiast o swoim z panią Teresą było chyba dość niezręcznie. Ale ponieważ on nie miał oporów przed zadawaniem mi niezręcznych pytań, postanowiłam odpłacić mu pięknym za nadobne i jakoś sobie tych kolejnych kilka godzin urozmaicić.

– Powiedz mi tatusiu, bo do tej pory nie było okazji – spytałam dość swobodnie – jak to się stało, że zainteresowałeś się panią Teresą? I jak w ogóle do tego doszło, że postanowiłeś rzucić dla niej mamę?

Tata w pierwszej chwili się speszył.

– W sumie... sam nie wiem. Tak jakoś samo wyszło...

– Jak to s a m o? Bez twojego udziału? Nie chce mi się wierzyć, że to ona cię uwiodła – skomentowałam ze śmiechem.

– No nie... pewnie, że nie – plątał się w odpowiedzi tata. – To była moja

inicjatywa.

– A więc jednak. Czyli że nie wyszło samo? – Teraz już z zimną krwią pastwiłam się nad nim.

Za te wszystkie pytania o chłopaków, ślub, wnuki i tym podobne.

– Boże, Marzenko, jesteś dużą dziewczynką, wiesz chyba, jak powstaje... zażyłość między ludźmi.

– No niby wiem, tak ogólnie, ale jak się rodzi zażyłość własnego ojca do własnej nauczycielki gry na pianinie...

Tata chrząknął i spłoszył na twarzy.

– Przepraszam, tatusiu – uznałam, że przesadziłam z tym odgrywaniem się.

– Nie szkodzi. Dobrze, powiem ci, jeśli naprawdę tego chcesz. – Moja obcesowość o dziwo zmobilizowała go do rozmowy na ten temat.

– Jeśli przez wiele, wiele lat tkwi się przy boku kobiety zimnej jak lód, starając się przez te wszystkie lata zasłużyć na choć trochę życzliwej uwagi, w którymś momencie się odpuszcza. Tak jak ja odpuściłem sobie, skupiając się na czymkolwiek, co pozwoliło mi na wypełnienie tej uczuciowej pustki. Nie mówię o Teresie, mówię o ogrodzie. I w życiu bym się nie spodziewał, że jeszcze zaznam małżeńskiego szczęścia. Ale zaznałem, u boku innej kobiety. Teresa... ujęła mnie wszystkim tym, czego nie ma twoja matka: skromnością, ciepłem, taką... kobiecą zwyczajnością. W którymś momencie złapałem się na tym, że podobnie jak ty oczekuję niecierpliwie na jej kolejne wizyty.

– Ja nie czekałam niecierpliwie – sprostowałam. – Nerwowo owszem, ale na pewno nie niecierpliwie...

– Nie? – zdziwił się tata.

– Tak jakbyś nie wiedział, że lekcje muzyki nie były moim marzeniem – dodałam z wyrzutem.

– Ano tak, racja. W każdym razie ja czekałam niecierpliwie. Z czasem zacząłem wymyślać różne preteksty, by móc porozmawiać z nią sam na sam. A kiedy zauważyłem, że i jej spotkania ze mną sprawiają przyjemność, odważyłem się i zaprosiłem ją do kawiarni. Nie w naszym mieście, rzecz jasna.

– Zgodziła się tak od razu? Bez oporów?

– A wyobraź sobie, że tak. Widać nie uznała, że wypicie ze mną kawy w lokalu to jakaś karygodna rzecz. Bo nie była, do czasu...

Chyba nie miałam ochoty słuchać dalszego ciągu i miałam nadzieję, że tata zbyt nie zagłębi się w szczegóły. Nie spytałam już o nic, choć tata zawiesił głos, jakby czekał, aż to zrobię.

– A kiedy ludziom w końcu przydarza się miłość, wszelkie skrupuły odchodzą na dalszy plan – zakończył temat.

Nie byłam co do tego przekonana. Miłość miłością – pomyślałam wówczas – ale pewne zobowiązania, lojalność, uczciwość, a przede wszystkim wierność

małżeńska zawsze powinny być na pierwszym miejscu.

Kiedy przypominałam sobie później tę naszą rozmowę i moje płynące z niej wnioski w kontekście wydarzeń, które nastąpiły niedługo potem – zaczęłam wierzyć, że moim życiem rzeczywiście coś odgórnie kieruje. Tyle że nie Opatrzność, ale fatum.



Rodzice pani Teresy byli przemiłymi starszymi ludźmi, a jej wybierająca się do ślubu siostra osobą całkiem do niej niepodobną. Wysoka, smukła, zadbana, o kruczych włosach i w sposób widoczny pewna siebie dziewczyna w niczym nie przypominała pani Teresy.

– Chcesz zobaczyć moją suknię? – spytała, jak tylko przyjechaliśmy na miejsce.

– To podobno przynosi pecha – odpowiedziałam zaskoczona.

– Jakiego znowu pecha? – Emilia się roześmiała. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że jeśli pokażę ci suknię, małżonek porzuci mnie przed ołtarzem?

– Jasne, że nie. Jest taki przesąd po prostu – odparłam niepewnie.

– Przesąd! I to wszystko wyjaśnia. – Emilia pociągnęła mnie za sobą do swojego pokoju. – Spójrz!

Na drzwiach szafy wisiała piękna biała suknia z haftowanego tiulu, choć niezbyt okazała. Spodziewałam się ujrzeć tradycyjną bezę.

– Śliczna... – Podeszłam bliżej i dotknęłam ostrożnie śnieżnej bieli. – Naprawdę śliczna!

– Serio? Podoba ci się? Mama mówi, że jest zbyt skromna.

– Skromność ma czasem więcej uroku niż nadmiar przepychu. Tak uważam – powiedziałam zgodnie z przekonaniem.

– Ja też tak myślę... – ucieszyła się Emilia. – Na głowie będę miała tylko stroik, bez welonu.

– Pokaż – poprosiłam zaciekawiona.

Emilia wyjęła z szafy niewielkie pudełko, a z niego kilka spiętych z sobą sztucznych białych kwiatków.

– Super – pochwaliłam.

– Już cię lubię. – Emilia uściśnęła mnie spontanicznie. – A teraz chodź na kolację, bo pewnie jesteście głodni i zmęczeni.

Na kolację mama Emilii podała ryby w zalewie.

– A wiesz, mamusiu, ja raczej nie jestem głodna – odezwała się starsza z sióstr. – Napiję się tylko herbaty.

– Nie jesteś głodna? – zmartwiła się starsza pani. – A ja specjalnie na

dzisiejszy wieczór uszykowałam rybki, bo pewnie dawno takich domowych nie jadłaś...

Nie wytrzymałam i zaczęłam się śmiać, a Emilia, pewnie wtajemniczona przez panią Teresę w hobby ojca, poszła w moje ślady.

– Co w tym śmiesznego? – spytał tata podejrzliwie.

– Nic, tatku, nic, po prostu jeden się śmieje do sera, a drugi do ryb – odpowiedziałam mu niezbyt mądrze, co jeszcze bardziej nas rozśmieszyło.

– A może jednak skuszę się na jeden kawałek – oznajmiła pani Teresa na widok coraz bardziej skonsternowanego ojca.

– Jutro rano przyjdzie Adaś i zaprowadzi cię do kościoła, żebyś zapoznała się z instrumentem. – Emilia z pewnym trudem zmieniła temat. – To organy elektryczne, Teresa już kiedyś na nich grała, więc nie będziesz miała problemu.

– No właśnie – olśniło mnie nagle. – Dlaczego pani sama nie zagra siostrze na ślubie?

– Bo chcę się skupić na ceremonii. I być jak najbliżej Emilki, z chóru nawet dobrze jej nie zobaczę – odpowiedziała pani Teresa.

– W sumie racja – uznałam, zwłaszcza, że coraz bardziej cieszyłam się z przyjazdu tutaj.

Czułam się w rodzinie pani Teresy, jakbym znała ich wszystkich od dawna: swojsko i bezpiecznie. Nawet tata był jakiś inny – wesoły, rozgadany, dowcipny.



Obudziłam się dość późno, widać podróż dała mi się we znaki bardziej, niż sądziłam. Z niepokojem spojrzałam na wiszący po przeciwnej stronie łóżka zegar, przypominając sobie, że mam umówioną wizytę w kościele. Błyskawicznie się umyłam i ubrałam. po czym okazało się, że Adaś czeka na mnie już od ósmej rano.

– Cześć, Marzenka! – Buzia szeroko uśmiechnęła mu się na mój widok.

– Cześć, smyku. Sam przyszedłeś, bez mamy?

– No pewnie. Mieszkam w domu obok, w tym z czerwonej cegły.

Chłopiec bardzo urósł, już nie seplenił i wymawiał poprawnie literę „r”. Ale nadal był tak samo uroczy.

– Chodź, zaprowadzę cię do kościoła – oznajmił z dumą.

– Będziesz umiał trafić?

– No co ty? Przecież kościół z okna widać.

– Faktycznie... – Rzuciłam okiem przez firankę. Wczorajszego wieczoru go nie dostrzegłam, bo było już ciemno.

– Mam pójść z wami? – spytała Teresa.

– Nie! Pójdziemy sami – zaprotestował Adaś.

– I co tam u ciebie, młody? – spytałam, gdy wyszliśmy na zewnątrz. – Jak Misiek?

– W porządku. Żyje i ma się dobrze, twoja żyrafa też. Bardzo się zakolegowali.

– Miło mi to słyszeć. A ty?

– Też żyję i mam się dobrze – odparł lakonicznie. – A wiesz, powiedziałem kumplom, że moja dziewczyna przyjeżdża. Chyba cię przyjdą pooglądać.

– O rany, a ja taka nieumalowana – powiedziałam z udawanym przestraczem. – I co będzie, jak im się nie spodobam?

– Mnie się podobasz, a to przecież najważniejsze – odparował Adaś z powagą. – No nie?

– Jasne, że najważniejsze – przytaknęłam.

W kościele czekał już na mnie ksiądz proboszcz. Zaprowadził nas na chór i zalecił czuć się jak u siebie w... kościele.

– Niech pani sobie gra spokojnie. Dwie godziny wystarczą? Bo ja mam jeszcze coś do załatwienia i chciałbym wiedzieć, kiedy przysłać kogoś, żeby zamknął kościół.

– Godzina wystarczy w zupełności.

Proboszcz sobie poszedł, a ja zasiadłam do organów. Po krótkiej rozgrzewce zaczęłam grać przygotowane utwory. Adaś słyszał moją grę po raz pierwszy, siedział blisko mnie prawie nieruchomo, z otwartymi ustami. Być może sam miał zamiłowanie do muzyki, w końcu jego ciotka też była pianistką i może po niej odziedziczył.

– Podobało ci się? – spytałam, gdy skończyłam grać.

– Jesteś strasznie fajnym organistą – pochwalił. – Grasz dużo ładniej niż ten nasz. Wiesz?

– Nie wiem. Po prostu gram inną muzykę niż on.

– No to czemu on nie gra takiej muzyki, tylko w koło Macieju to samo?

– Bo tak trzeba grać podczas mszy.

– Ty też będziesz grać podczas mszy – nie dał zbyć się Adaś.

– Owszem, ale to msza wyjątkowa, więc i muzyka może być wyjątkowa.

Na dole dały się słyszeć czyjeś kroki, Adaś przechylił się przez balustradę, by zobaczyć, kto idzie.

– Wikary już przylazł – oznajmił z niezadowoleniem. – A ja bym jeszcze chciał posłuchać, jak grasz.

– Posłuchasz na ślubie, teraz już chyba musimy iść – ponagliłam go.

Zeszliśmy ostrożnie po krętych, wąskich schodach. Rozejrzałam się dokoła, bo nie dostrzegłam żadnego wikarego. Obeszliśmy z Adasiem cały kościół, zajrzeliśmy do zakrystii, ale i tam nikogo nie było. A kiedy się odwróciłam, by z powrotem ruszyć ku drzwiom, stanęłam oko w oko z... Natanielem! Zamarłam.

On też na mnie patrzył, jakby ujrzał zjawę.

– Co ty tu robisz, Marzenko? – odezwał się pierwszy, ściszone głośnie.

– Przyjechałam... do znajomych... – odpowiedziałam z trudem. – A ty?

Jesteś tu wikarym? Nie za szybko jakoś?

Zmierzyłam wzrokiem jego sutannę z góry na dół.

– Na razie jestem zaledwie lektorem i do wikarego jeszcze mi daleko.

Praktykuję w tej parafii – wyjaśnił. – Długo tu zabawisz?

– Dwa tygodnie. Ale nie obawiaj się, nie będę ci się rzucała w oczy.

Zatrzymałam się w sąsiedniej miejscowości.

– A... no tak... To ty masz grać dziś w kościele?

– Owszem. Ale zaraz potem się zwijam i zamierzam trochę wypocząć kawałek stąd.

W tym momencie przeszło mi przez myśl, czy aby nie zrezygnować z pobytu tutaj. Obawiałam się, że świadomość obecności Nataniela w pobliżu nie pozwoli mi zaznać spokoju. Doszłam jednak do wniosku, że nie powinnam uciekać z jego powodu. Bo skoro raz już udało mi się o nim zapomnieć, uda się i teraz. A ja nie uważałam się za tchórza.

– Wobec tego miłego odpoczynku. Będiesz mieszkała w Parowarach czy w Stróżewie?

– W Stróżewie. Czemu pytasz?

– Tak sobie. Dla podtrzymania konwersacji.

– Aha. Możesz zamykać kościół, już wychodzimy.



– Skąd znasz tego księdza? – spytał Adaś ciekawie.

– Był kiedyś moim... kolegą.

– I co? Już go nie lubisz?

– Dlaczego tak sądzisz? – Zdziwiło mnie to jego pytanie.

– Bo wyglądasz, jakbyś była zła.

– Nie jestem zła. Jestem zaskoczona, bo nie spodziewałam się go tu spotkać – odparłam, choć w istocie byłam wściekła, nie zła.

– To lubisz go czy nie? – nie dawał spokoju Adaś.

– Ani lubię, ani nie lubię. To dla mnie prawie obcy człowiek.

– Ale był kiedyś twoim kolegą?

– Był. A czy ty nie masz takich kolegów, w przedszkolu na przykład, którzy są, bo są, ale się z nimi nie bawisz?

– Pewnie, że mam. Jest taki jeden Patryk, z którym się nigdy nie bawię.

– Czemu? – usiłowałam odbić piłeczkę.

– Bo... nie wiem. Jakoś mnie nie pociąga.
– No widzisz... – Roześmiałam się. – A mnie nie pociąga wasz ksiądz.
– W takim razie chyba kapuję.
– No ja myślę, że kapujesz, bo mądry z ciebie facet.
– Z głupim byś się chyba nie zadawała, no nie? – Adaś dźgnął mnie palcem w bok.

Miałam ochotę złapać go w ramiona i wycałować, przez chwilę się zawahałam, ale jednak wprowadziłam swój zamiar w czyn.

– Ej! Czemu mnie całujesz! – oburzył się. – Nie jestem małym dzieckiem!
– Pewnie, że nie. Z dzieckiem bym się przecież nie całowała. – Tym razem ja go dźgnęłam w bok i nastrój mi się zdecydowanie poprawił.



Emilia wyglądała przepięknie. Jej suknia leżała na niej o wiele lepiej, niż mogłam to sobie wyobrazić, ale to była zasługa jej doskonałej figury. Przylegająca do ciała, jednak absolutnie nie obcisła, doskonale eksponowała wszystkie jej atuty. Na tle pięknie ufryzowanych czarnych włosów odznaczał się jedynie skromny stroik, ale niczego więcej nie było trzeba. Tak prosta i jednocześnie wysmakowana elegancja doskonale wpisywała się w mój własny gust. Pomyślałam, że jeśli kiedykolwiek stanę u ołtarza, chciałabym wyglądać tak jak ona.

Na wejście państwa młodych zagrałam tradycyjnie marsza Mendelssohna. Adaś się uparł i zamiast siedzieć z rodzicami w ławce, wdrapał się ze mną na chór. Jakby wyczuł, że mnie tam bardziej się przyda. Bo kiedy razem z proboszczem wszedł do prezbiterium Nataniel – w sumie nie wiem, czemu się go tam nie spodziewałam – poczułam zalewającą mnie falę gorąca. Z irytacji. Bo jakim prawem on psuł mi teraz całą uroczystość i zakłócał zasłużony urlop? Akurat dziś, akurat tu?

Przestałam spoglądać w dół i skupiłam się na rozanielonej buzi Adasia. To dla niego grałam, a jego mina podczas gry rekompensowała mi całą niezręczność sytuacji. Pod koniec mszy byłam już pewna, że zrobię wszystko, aby się wykręcić z udziału w weselu, tym bardziej że na obiedzie miał gościć proboszcz z „wikarym”. A tego byłoby dla mnie za wiele.

Od tego postanowienia nie zdołały mnie odwieść ani prośby taty, ani samej panny młodej i jej rodziców, ani nawet zaszklone oczka Adasia. Trudno. Uznałam, że w tym wszystkim najistotniejsze jest własne dobro. Gdy przyrzekłam Adasiowi, że w ciągu mojego pobytu w Stróżewie będziemy się widywać, jak często zechce, w końcu puścił moją rękę i pozwolił mi wsiąść do samochodu taty, który zaoferował mi podwiezienie. Ojciec wytaskał tylko moją walizkę z bagażnika,

pomógł mi ją zanieść na miejsce i szybko się pożegnał, by zdążyć na toast.

– O, pani już jest, a umówiliśmy się na jutro – zmartwiła się właścicielka ośrodka wypoczynkowego.

– No tak, miałam być jutro, ale wyszło inaczej – tłumaczyłam się zmieszana.

– Pani pokój się jeszcze nie zwolnił, goście wyjadą dopiero rano, ale jeśli nie zrobi to pani różnicy, na dziś umieszczę panią w domku.

– To znaczy?

– W domku kampingowym. Jeden jest wolny. Jak się pani spodoba, może pani w nim zostać, bo mam na niego rezerwację dopiero na sierpień.

– Trzeba będzie pewnie coś dopłacić, tak?

Opcja samotnego pobytu w całym domku bardzo przypadła mi do gustu, ale niestety nie dysponowałam zbyt dużą ilością pieniędzy.

– Nie, nie trzeba. I tak stałby pusty.

Pani Irmina – bo tak kobieta miała na imię – poprowadziła mnie do stojącego nieco na uboczu, ale za to prawie nad samym jeziorem drewnianego spiczastego kempingu. Gdy weszliśmy do środka, o mało nie pisnęłam z radości. Na dole był dość obszerny hol z aneksem kuchennym i toaleta, duże, balkonowe okno wychodziło niemal wprost z tarasu na drewniany mostek osadzony na brzegu jeziora. Na górę, gdzie znajdowała się sypialnia i łazienka, wiodły strome drewniane schodki. Było przepięknie. Uznałam, że dokładnie tego mi teraz trzeba.

– Będzie pani korzystała z posiłków, czy woli pani żywić się we własnym zakresie? – spytała pani Irmina dla formalności, bo już wcześniej zapowiedziałam, że o jedzenie zadbam sama.

– Nie, dziękuję – odparłam ze śmiechem. – Wystarczy mi powietrze i woda.

Pani Irmina również się roześmiała.

– Och, wy młodzi, wszyscy tacy sami. Powietrze, woda i chipsy oraz zupki chińskie. Mam rację?

– Częściowo, bo w chipsach nie gustuję. Zupek chińskich mam natomiast pół walizki.

Kobieta pokręciła głową z dezaprobatą, ale już tego nie skomentowała. Wdrapałam się na górę i nie rozpakowując walizki, rzuciłam się na łóżko. Zasnęłam jak kamień. Obudziłam się późnym wieczorem. Obejrzałam każdy zakamarek mojego lokum, rozwiesiłam ubrania w szafie i wzięłam kąpiel. Już w szlafroku wyszłam na zewnątrz, usiadłam na mostku, zanurzając stopy w wodzie. Woda połyskiwała światłem gwiazd odbijającym się w rozedrganej tafli. Wieczór był ciepły, niemal duszny. Zapatrzyłam się w niebo i właściwie nie myślałam o niczym, po prostu – chłonełam uroki przyrody. Spać położyłam się grubo po północy.

Poranek, dość późny, nawiasem mówiąc, zwiastował równie piękną pogodę jak poprzedniego dnia. Właśnie zamierałam zjeść na śniadanie mocno czerstwą

bułkę z żółtym serem, która została mi z podróży, gdy zjawił się tata.

– Puk, puk! – zawołał zza drzwi. – Pomoc humanitarna, proszę otworzyć!

Obie ręce miał zajęte siatkami i pakunkami.

– Mam nadzieję, że masz tu jakąś lodówkę? Bo skoro Mahomet nie chciał na biesiadę, biesiada przysłała do Mahometa – oznajmił, układając przyniesione rzeczy na stole.

– Jasne, że mam. Ale na co mi aż tyle tego? – zdumiałam się obserwując, jak ojciec wyklada z toreb cały prowiant. Były tam wędliny, połówka pieczonego kurczaka, sałatki, sery, ryby, owoce i dwie butelki wina.

– Jak to na co? Do zjedzenia, i to szybko, bo kolejna dostawa za dwa dni. Może złowię parę rybek, Terenia je zamarynuje. Chcesz?

– Pewnie, że chcę.

Lubiłam ryby, więc byłaby z tego podwójna korzyść: zaspokojenie mojego łakomstwa i pozbawienie ich biednej pani Teresy.

– Długo tu zostaniecie? – spytałam, bo gdyby ich plany pokryły się z moimi, mogłabym się załapać również na podróż powrotną.

– Nie bardzo. Do czwartku najwyżej, bo Teresa chce być w domu przed końcem tygodnia.

– Okej, wobec tego wracaj na poprawiny i baw się dobrze, za mnie i za siebie.

– A może zabierzesz się ze mną? Miałybyś okazję po raz pierwszy w życiu zatańczyć ze swoim ojcem. A kapelę mają świetną, ja ci to mówię.

– Wierzę, tatku, ale zamierzam się trochę poopalać, póki pogoda dopisuje.

– W porządku, córcia. A zatem miłego opalania bez komarów i bąbli – życzył mi i popędził z powrotem.

Z ogromną przyjemnością zasiadłam do śniadania, zgoła innego, niż się spodziewałam. Po posiłku wypiliśmy szklaneczkę wina, założyłam strój kąpielowy, zdjęłam z łóżka koc i usadowiłam się na nim przy samym jeziorze. Było mi dobrze i błogo, a wszystkie uwierające mnie dotąd myśli odpłynęły hen daleko. Leżałam sobie, co jakiś czas odwracając się na inny bok. I kompletnie nie zwracałam sobie głowy zegarkiem. Jak na moje wycucie czasu, eksponowałam się na słońcu co najmniej do południa. I właściwie miałam już się zbierać, kiedy przez zamknięte powieki dostrzegłam nad sobą jakiś cień... Nade mną stał... Nataniel! Był w cywilnym ubraniu, ale ja, mając świadomość, że oto nad moim prawie nagim ciałem pochyla się ksiądz, wyszarpałam spod siebie koc i szybko się nim okryłam.

– Bez przesady... – Uśmiechnął się, siadając obok mnie na piasku. – Widywałem już dziewczyny w takim stroju...

– Czego chcesz? – spytałam niezbyt uprzejmie.

– Właściwie sam nie wiem – odparł, przesypując w dłoniach piasek. – Od chwili, gdy cię tu ujrzałem, nie zmrużyłem oka. Nie potrafię sobie tego wyjaśnić

i doszedłem do wniosku, że dopiero gdy cię zobaczę raz jeszcze, wówczas się przekonam, w czym rzecz.

– No i? W czym?

Nataniel pochylił głowę i milczał przez dłuższą chwilę.

– Nadal nie wiem... – odparł w końcu.

– Wiesz co? – zirytowała mnie ta jego bezczelność, bo tak właśnie odebrałam jego zachowanie. – Idź ty może na swoją plebanię, czy gdzie tam mieszkasz, i daj mi spokój. Bo ja w przeciwieństwie do ciebie doskonale wiem, co do ciebie czuję.

Nataniel podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

– Co czujesz?

– Niechęć i pogardę. Tak, to chyba najlepsze określenia.

Poderwałam się na nogi i nadal zakrywając się kocem, uciekłam do domku. Pobiełam na górę, żeby się ubrać na wypadek, gdyby natręt jeszcze sobie nie poszedł, a on tuż po chwili pojawił się obok mnie.

– Wyjdz! – krzyknęłam. – Chcę się przebrać.

Ale on jakby mnie nie słyszał. Podszedł do mnie i objął mnie mocno.

– Marzenko – wyszeptał mi w ucho, parząc szyję gorącym oddechem. – Ja... chyba nie umiem żyć bez ciebie. Nie ma dnia i nocy, żebym o tobie nie myślał. Nienawidzę się za to i nie potrafię tak żyć. Staralem się ze wszystkich sił, by uwolnić się od tego uczucia i móc prawdziwie poświęcić się kapłaństwu. Ale Bóg, o ile naprawdę istnieje, najwidoczniej nie chce mnie takiego, pełnego wahania i słabej wiary. Dlatego przemówił do mnie wczoraj, przysyłając cię tu. Marzenko... ja... Nie, to nie mógł być zwyczajny przypadek...

Nie dokończył zdania, bo jego usta spoczęły na moich. Całował mnie żarliwie i namiętnie, dotykał mojego prawie nagiego ciała, pozbawiając mnie siły i woli.

– Przestań – poprosiłam, kierując się resztką rozsądku.

Ale on nie przestawał. Sama nie wiem, kiedy zaczęłam oddawać mu pocałunki i pieszczoty. Ciało paliło mnie żywym ogniem, ale nie z nadmiaru słońca. To było uczucie bardzo przyjemne i przerażające zarazem – bo zawładnęło mną od stóp do głowy, nie pozwalając trzeźwo myśleć ani racjonalnie postępować. Kochaliśmy się jak szaleni, jak opętani jakąś siłą, na którą żadne z nas nie miało sposobu.

Co ty robisz, dziewczyno, co ty najlepszego robisz? – powtarzałam sobie w myślach, jednocześnie pragnąc z całej siły, by to trwało nadal. Obejmowałam go jak najmocniej, czując podświadomie, że ten jeden, tylko ten jeden raz w życiu jestem z nim tak blisko. Za chwilę wszystko zniknie, pryśnie, a mnie znów ogarnie ta rozpaczliwa tęsknota, której zaznałam po naszym rozstaniu i która przez wiele długich miesięcy nie dawała mi żyć.

A kiedy było już po wszystkim, Nataniel ujął w dłonie moją twarz i długo mi się przyglądał.

– Żałujesz? – szepnął.

– Nie, ale wiem, że będę... Jutro, pojutrze, może za tydzień.

– Nie będziesz, bo od teraz jesteś moja i tylko moja – wyszeptał Nataniel i wciąż jeszcze ciężko oddychając, położył się obok mnie. – Bo nie byłaś przecież dotąd jeszcze z nikim, prawda?

– Prawda – potwierdziłam i dopiero wówczas ogarnął mnie paniczny lęk.

Kochałam się z księdzem... Boże mój – myślałam z przerażeniem i budzącym się poczuciem winy oraz totalnej porażki. Usiadłam, ze wstydem okryłam nagie ciało i zaczęłam płakać. Nie chciałam, ale nie dałam rady opanować rodzącego się w gardle łkania.

– Hej, co ci jest? – przestraszył się Nataniel. – Nie płacz, proszę... Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Tulił mnie, całował, gładził po włosach i szeptał czułe słowa dotąd, aż ucichł we mnie zupełnie ten niewczesny bunt przeciw samej sobie.

– To nie powinno było się stać – powiedziałam, gdy już byłam w stanie mówić. – To nigdy, ale to nigdy nie powinno mieć miejsca.

– Powinno – odparł Nataniel. – I to zdecydowanie wcześniej, być może wówczas nie postąpiłbym tak głupio.

– Ale postąpiłeś i to się niestety nie odstanie – powiedziałam z goryczą.

– Odstanie się – zapewnił. – I to jest właśnie najlepszy moment, żebym mógł się wycofać. Widzisz? Spotkaliśmy się dokładnie w idealnej chwili.

– Co ty mówisz? – Spojrzałam na niego zdumiona. – Chcesz zrezygnować z seminarium?

– Właśnie. Jestem do tego całkowicie przekonany.

– Nataniel? – Zajrzałam mu głęboko w oczy i dostrzegłam w nich autentyczną determinację.

– Kocham cię – szepnął, po czym znów zaczął mnie całować i pieścić.

Teraz nie czułam już takiego przerażenia. Byłam przecież z mężczyzną, który mnie kochał, chciał być ze mną, dla mnie zamierzał stawić czoła wszystkim stojącym nam na drodze przeszkodom.

Tata miał rację – pomyślałam, zatracając się w jego ramionach. – Gdy pojawia się miłość, wszystko inne przestaje się liczyć...

Rozdział 16

W pułapce uczuć



Nataniel wyszedł ode mnie nad ranem i zapowiedział, że wróci wieczorem, po zmierzchu. O nic go nie pytałam, do niczego nie przynaglałam. Zresztą mnie też było na rękę, żeby nikt nas na razie razem nie zobaczył.

Czas dłużył mi się niemiłosiernie, godzina wlokła się za godziną, w mojej duszy szalały skowronki, a serce biło jak oszalałe. Jak to możliwe – zastanawiałam się – że dawno i, jak mi się zdawało, doszczętnie zamordowane przeze mnie uczucie nagle eksplodowało z taką siłą? A może ono wcale nie wygasło, tylko popadło w jakąś hibernację wymuszaną przez mój system obronny? Tak, to pewnie było jedyne racjonalne wytłumaczenie – uznałam wreszcie i z czasem przestałam sobie zaprzętać tym głowę. Zamiast tego postanowiłam zrobić się na bóstwo, miałam na to wystarczająco dużo czasu, ale wcześniej, zgodnie z założeniem sumiennie skorzystałam z promieni słonecznych.

Gdy zaczął zbliżać się wieczór, umyłam i ułożyłam włosy, zrobiłam delikatny makijaż i włożyłam na siebie jedyną sukienkę, jaką z sobą zabrałam. Natanielowi na mój widok dosłownie odebrało mowę.

– Ależ ty jesteś piękna, nigdy dotąd nie znalazłem aż tak pięknej dziewczyny – wyznał, gapiąc się na mnie jak sroka w kość. – Mówiłem ci to już kiedyś?

– Może coś wspomniałeś, ale nie bardzo pamiętam... – Objęłam go za szyję. – Chcesz wina?

– Chcę. Wina i ciebie, i wszystkich używek tego świata – odpowiedział, a ja wręczyłam mu butelkę i korkociąg.

Siedzieliśmy przy stole, raczyliśmy się winem i kurczakiem na zimno, doskonale wiedząc, co się za chwilę między nami wydarzy. Żadne z nas jednak nie wspomniało o tym słowem, nie zasygnalizowało gestem ani spojrzeniem, celebując ten moment i odwlekając go w czasie. A kiedy nasze dłonie spotkały się w drodze do butelki z winem, namiętność opanowała nas w jednej sekundzie, nie pozwalając już na nic czekać. Nataniel jak w romantycznym filmie na rękach zaniósł mnie do sypialni, z trudem utrzymując równowagę na niewygodnych schodach. Znając już z grubsza swoje ciała, nie śpieszyliśmy się aż tak bardzo. Jego dotyk przeszywał mnie jak prąd, sprawiał, że stawałam się coraz bardziej bezwolna. Muskałam opuszkami palców jego twarz, szyję, tors, nie mając odwagi przesunąć ich niżej. On natomiast zwiedzał kolejno każdy zakamarek mojego ciała, sprawiając, że reagowało na jego poczynania, jakby lepiej ode mnie wiedziało,

czego chce. W pewnej chwili moje uda rozchyliły się same, a on wypełnił mnie sobą. To, co przeżyłam z nim, było jak zatracenie, niespodziewana eksplozja, jak błysk supernowej na niebie. Bo, o ile da się to jakoś racjonalnie wyjaśnić, nagła fala nieznanego dotąd rozkoszy dosłownie unieruchomiła mnie na dłuższą chwilę. Odebrała mi głos i zdławiła oddech.

Wczorajszego wieczoru, mimo że czułam się świetnie z nowymi doznaniem, dyskomfort pierwszego razu nie pozwolił mi na tak intensywne przeżycia. Nataniel musiał to doskonale odczuć, bo zajrzał mi z uśmiechem w twarz i poprosił:

– Powiedz, że jestem mężczyzną twojego życia... I że nigdy po mnie już nic podobnego ci się nie zdarzy...

– Jesteś. I się nie zdarzy – szepnęłam i objęłam go tak mocno, jak pozwalały mi na to resztki sił.

– Wobec tego musimy to jakoś uczcić. Winka?

– Poproszę.

Nataniel wyskoczył z łóżka i nie zasłaniając się niczym, zbiegł na dół po butelkę i kieliszki. Ja nie miałam odwagi paradować przy nim tak bez niczego, chociaż już miał okazję całą mnie sobie obejrzeć.

– Nataniel... Dużo miałaś dziewczyn? – spytałam, gdy wrócił.

– Bo?

– Tak sobie pytam...

– Bardzo chcesz to wiedzieć?

– Nie bardzo, ale chcę – odparłam dość dyplomatycznie.

– No to... kilka. Czy taka odpowiedź cię satysfakcjonuje?

– Może być – odparłam, mimo że mnie nie satysfakcjonowała.

Nie byłam zazdrosna, byłam po prostu ciekawa, bo sprawiał wrażenie doświadczonego.

– Chociaż wiesz co? Właściwie z czystym sumieniem mógłbym powiedzieć, że jedną. – Podał mi szklaneczkę z winem i cmoknął mnie w nos. – Bo to, co było przed tobą, zupełnie się nie liczy.



I w ten właśnie sposób spędziłam cały mój urlop. Sypiałam do południa po zarwanych nocach, w ciągu dnia zabijałam czas do przyjścia Nataniela, a potem bardzo, ale to bardzo chciałam zatrzymać jego bieg. Zupełnie nie myślałam o tym, że mój ukochany po wyjściu ode mnie zakłada sutannę i pędzi na poranną mszę. To wszystko działo się jakby w innym wymiarze, innym świecie. Było nam ze sobą wspaniale i wszystko inne stało się zupełnie nieważne. Liczyłam dni do końca urlopu, z przerażeniem wykreślając je kolejno z kalendarza. Niestety, w ten sposób

całkiem umknęła mi dana Adasiowi obietnica. Dwa dni przed moim wyjazdem, nie mogąc doczekać się na moją wizytę, odwiedził mnie bez zapowiedzi. Przywiozła go jego mama, zostawiła i odjechała.

– Ej, obiecałaś, że się będziemy spotykać – zarzucił mnie pretensjami na dzień dobry.

– Wybacz mi, proszę, kochanie moje... – Złapałam go w ramiona, teraz dopiero uświadamiając sobie, jak bardzo go zawiodłam – ale... byłam chora. Zatrulałam się czymś i nie mogłam się stąd ruszyć, wiesz? – skłamałam, nie mając innego wyjścia. – Wybaczysz?

– No, skoro byłaś chora – zawahał się Adaś. – Otrułaś się rybami?

– Nie, co ty. Czemu tak sądzisz?

– Bo wszyscy się otruli. Czesiek nałapał jakichś dziwnych, wiesz?

– Naprawdę? – pokojarzyłam teraz, że ojciec miał wpaść do mnie kilka dni temu z wałówką, ale nie wpadł.

– Naprawdę. A ciocia Teresa to już prawie umarła.

– Rany boskie, co ty mówisz? – Wystraszyłam się nie na żarty.

– Miała ten... no... wirusowe zapalenie dupy. Tak jej doktor powiedział.

Mimo woli się roześmiałam.

– A może raczej wirusowe zapalenie jelit? – uściśliłam.

– Może. Ale miała sraczkę w każdym razie.

– Adasiu! – skarciłam go skwapliwie. – Myślisz, że ciocia Teresa byłaby zadowolona, że rozpowiadasz po ludziach takie rzeczy?

– Nie po ludziach, tylko po tobie. Ty też miałaś sraczkę? – spytał bez troski.

– Nie wstyd ci zadawać takie pytania? – obruszyłam się tym razem naprawdę.

– Nie wstyd. Pójdziemy na lody? Kawalek dalej, za zakrętem sprzedają.

– Serio? – zdziwiłam się, bo od mojego przyjazdu nie ruszyłam się na krok poza ośrodek i byłam przekonana, że najbliższy punkt gastronomiczny znajduje się w okolicach centrum. Adaś z mamą przyjechał pewnie od strony jeziora, a tam kawalek dalej najwyraźniej toczyło się jakieś życie.

– Serio. Ja stawiam. – Adaś dumnie wypiął pierś.

– Wobec tego nie odmówię – zaśmiałam się z rozbawieniem.

Szliśmy sobie powoli, nóżka w nóżkę, gawędząc na różne tematy. Nagle Adaś zasadził mi kuksańca w bok i oznajmił:

– Patrz, tam idzie ten ksiądz, co go nie lubisz!

Podniosłam wzrok, dostosowany dotychczas do wzrostu Adasia, i ujrzałam zmierzającego w naszą stronę Nataniela. Ten na widok chłopca zwolnił kroku, jakby miał zawrócić, ale po chwili znów ruszył rażno przed siebie.

– Co on tu robi? – spytał Adaś.

– Nie wiem, ale zaraz dowiemy się tego oboje.

– Może przyszedł się opalać? Myślisz, że księdzu wolno latać w samych gaciach po plaży?

– Jego spytaj.

– No co ty. Nie spytam, nie wypada chyba.

– A o sraczkę wypada?

– Księdza bym przecież nie zapytał – odparł Adaś z urazą.

Ale gdy Nataniel do nas podszedł, wypalił z innej beczki:

– Cześć, księdzu, dokąd tak zapierniczasz bez sutanny?

– Cześć, mały. – Nataniel wyciągnął do niego rękę. – Właśnie się wybrałem, żeby odwiedzić swoją znajomą, ale widzę, że jest raczej zajęta.

– No pewnie, że zajęta, bo zaprosiłem ją na lody.

– A czy ja mógłbym pójść z wami?

Adaś zmarszczył brwi niezadowolony, ale w końcu podał mu dłoń i skinął głową.

– Wobec tego kupimy całe wiaderko i zjemy u Marzenki, co wy na to?

– Zapytaj mojego chłopaka, bo nie wiem, czy zauważyłeś, ale jestem na randce – odpowiedziałam, tłumiąc śmiech.

– No więc? – Nataniel pochylił się w stronę Adasia.

– Dobra, niech będzie – zgodził się, najwyraźniej mile połączony moimi słowami.

Wróciliśmy objuczeni butelkami z wodą, lodami i obwarzankami. Słońce powoli zaczęło zasnuwać się chmurami i zanosilo się na deszcz.

– Zdażymy przed deszczem? – Spojrzałam z niepokojem w niebo.

– Jeśli się pospieszymy, pewnie tak – odparł Nataniel, ale już po chwili zaczęły spadać pierwsze krople, by za moment przerodzić się w prawdziwą ulewę.

– Biegiem! – krzyknął Nataniel.

Wręczył mi niesione przez siebie zakupy, złapał Adasia pod pachę i popędziliśmy przed siebie co tchu. Do domku mieliśmy raptem kilkaset metrów, ale i tak na żadnym z nas nie zostało suchej nitki. Na miejscu zdjęłam z Adasia mokrą koszulkę i założyłam mu swoją. Oczywiście protestował, bo była różowa i miała wstawki z koronki.

– Wyglądam teraz jak gej – oznajmił. – Nie masz czegoś lepszego dla mężczyzny?

Sama też przebrałam się w suche rzeczy i już tylko Nataniel nadal ociekał wodą.

– Niestety. Gdybym przewidziała, że będzie mi potrzebna męska garderoba, pewnie dorzuciłabym coś do walizki. Kiedy ma przyjechać twoja mama? – spytałam chłopca. – Nie chciałabym, żebyś mi się tu się przeziębził.

– Jutro – odparł beztrąsko Adaś.

– Mowy nie ma – skwitował Nataniel. – Wobec tego ja cię zawiozę, a lody

zjemy innym razem.

– Na czym, na barana? – spytał chłopiec.

– Mam samochód na parkingu, pójdę po niego, jak przestanie padać. A właściwie... mogę iść teraz, bo już chyba przechodzi... – Wyraźnie mu się śpieszyło.

– Ale po co teraz? Możemy przecież jechać razem, jak będziesz wracał – zauważył Adaś rezolutnie.

– Okej. W takim razie Marzenka zrobi ci gorącej herbaty, bo z lodów i tak nici. Złapałbyś zapalenie płuc jak nic.

Poszłam do kuchni postawić wodę na herbatę. Opiekuńczość Nataniela w stosunku do dzieciaka bardzo mi się podobała, choć trochę szkoda mi było czasu, który mogłam spędzić tylko z nim, ponieważ mój urlop bezlitośnie kończył się pojutrze.

– Pomogę ci! – krzyknął Nataniel i po już po chwili całował mnie w szyję. – Wrócę do ciebie, jak odwiozę małego, i... mam dla ciebie niespodziankę – szepnął, po czym zalał wodą herbaty i zaniósł do pokoju.

Deszcz naprawdę już przestawał padać, a duszna i ponura atmosfera sprawiła, że Adasiowi zaczęły kleić się oczka. Walczył ze snem, dopóki mógł, ale w końcu został pokonany. Nataniel wyszedł po cichu i pobiegł po samochód. Ułożyliśmy malca ostrożnie na tylnym siedzeniu, a ja troskliwie nakryłam go kocem.

– A co będzie, jak cię policja zatrzyma? – spytałam szeptem. – Nie masz fotelika dla niego.

– Nie zatrzyma – odszepnął Nataniel. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby stali gdzieś w pobliżu.



Dopiłam ciepłą jeszcze herbatę i zaczęłam w myślach zgadywać, jaką niespodziankę miał na myśli Nataniel. Nie chciałam zbyt popuszczać wodzy wyobraźni, szukając raczej skromnych odpowiedzi na swoje pytania. Niestety, nic w miarę prawdopodobnego nie przychodziło mi do głowy, no, może poza butelką dobrego wina.

Nataniel zjawił się o wiele prędej, niż się spodziewałam, zdążył nawet zmienić ubranie.

– Adaś cały i zdrowy, pod skrzydłami mamusi – zameldował. – Ucieszyła się nawet, że wrócił wcześniej. A teraz zbieraj się, moja miła, bo porywam cię na dzisiejszy wieczór w ramach obiecanej niespodzianki.

– A... dokąd to?

– Do Augustowa. Pójdziemy potańczyć, a noc spędzimy w hotelu. Wszystko już zaplanowałem.

– No co ty? A jeśli ktoś cię tam rozpozna?

– Nie rozpozna. A nawet jeśli, to i tak już nie ma znaczenia.

– Nie ma? – spytałam, chcąc usłyszeć to raz jeszcze.

– Nie ma. No chyba, że nie chcesz?

– Chcę, bardzo chcę! – Przytuliłam się do niego mocno i pobiegłam założyć moją dyżurną sukienkę.

Ten wieczór i tę noc wspominam mimo wszystko jako jedno z najpiękniejszych chwil w moim życiu. Byliśmy tylko dla siebie, ja i on, i nic więcej się nie liczyło. Nataniel znalazł przytulną karczmę z tańcami i bardzo klimatycznym wnętrzem. Tańczyliśmy, żartowaliśmy i rozmawiali, nie mogąc się nacieszyć sobą i komfortem swobody naszego spotkania. Do tańca przygrywał miejscowy zespół, bazujący na adekwatnym repertuarze, czyli głównie Szczepaniku, nieodmiennie kojarzącym się z tatarakiem i kormoranami. A ponieważ jego piosenki były głównie romantyczno-sentymentalne i traktowały również o miłości, podobały mi się jak nigdy dotąd. Dawały też okazję do przytulania się w tańcu, a to podobało mi się najbardziej – zwłaszcza, że tu nie musieliśmy się przed nikim ukrywać.

– Wiesz, tak sobie myślę – Nataniel pochylił się nade mną – że mając tylko jedno życie, nie wiedząc w dodatku, jak długo potrwa, zbrodnią byłoby je zmarnować.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Owszem, siebie. Wybieranie tego, co się powinno, zamiast tego, czego się pragnie, jest chyba największą pomyłką, jaką popełniają ludzie. Nie sądzisz?

– Tak, z pewnością, ale wybory to chyba najtrudniejsza rzecz, z jaką przychodzi nam się zmierzyć, bo nigdy przed czasem nie poznamy ich konsekwencji.

– Nie poznamy, ale możemy je jakoś z grubsza przewidzieć...

Nie chciałam psuć nastroju tego wieczoru, ale na usta cisnęło mi się pytanie, czy on jest w stanie przewidzieć skutki wystąpienia z seminarium. Liczyłam jednak na to, że składając mi pewne obietnice, wcześniej wziął pod uwagę je wszystkie. Kiedyś jego obawy były natury wyłącznie materialnej, a dziś? Być może po ponad dwu latach spędzonych w seminarium przywykł już do skromnego życia i ograniczania swoich potrzeb, nawet, jeśli nadal nie musiał na siebie zarabiać?

– Hej! – Nataniel pomachał mi ręką przed oczami. – Nad czym się tak zadumałaś?

– Nad tym, co powiedziałaś. – Uśmiechnęłam się, by nie dostrzegł na mojej twarzy śladów niepokoju, który przez chwilę mną zawładnął.

– W takim razie mała zmiana nastroju. – Mrugnął do mnie i wstał od stolika.

– Dokąd idziesz? – spytałam, bo akurat nic nie grali.

– Zadedykować ci piosenkę.

– No co ty? Serio?

– Pewnie. A jak wrócę, bądź gotowa do tańca.

Siła przekonywania Nataniela musiała być spora, bo zanim zdążył do mnie podejść, rozległa się muzyka, mimo że zespół powinien mieć jeszcze parę minut przerwy.

– Drodzy państwo – ogłosił wokalista podczas pierwszych akordów. – A teraz dla mojego marzenia ode mnie *Biały miś dla dziewczyny*. To znaczy nie ode mnie, tylko od niego – sprostował.

– Czyli ode mnie. – Nataniel skłonił się z galanterią i podał mi rękę. – Tylko tego utworu mi tu dziś brakowało – zaśmiał mi się prosto w ucho, biorąc mnie w ramiona.

– Mnie chyba też, dancing bez *Białego misia*... to jak... jak...

– Morze bez soli – podrzucił Nataniel i roześmialiśmy się oboje.



Opuściliśmy lokal zaraz po dwunastej, by zostało jeszcze trochę tej nocy tylko dla nas dwojga. Pokój w hotelu, który zarezerwował Nataniel, był w istocie apartamentem z wielkim małżeńskim łóżem.

– Weźmiemy razem prysznic? – spytał Nataniel z frywolnym uśmiechem. – Będzie szybciej...

– Co do tego akurat nie jestem przekonana. I wolę być pod prysznicem sama – odparłam stanowczo.

– Okej, wobec tego damy mają pierwszeństwo. A ja się tu jeszcze trochę zakrzętnę.

Gdy wyszłam z łazienki, na stoliku obok łóża stały zapalone świece, butelka wina i dwa napełnione kieliszki mieniące się rubinowym blaskiem. Nataniel stał obok łóżka bosy, w rozpiętej koszuli i z mokrymi włosami.

– Muszę ci wyznać, że jest tu jeszcze jedna łazienka... – Uśmiechnął się łobuzersko, wyciągając do mnie rękę.

– Jak dobrze, że nie dałam się nabrać. – Podeszłam do niego, a on objął mnie i trwaliśmy chwilę w tym uścisku bez słowa, każde z nas zajęte swoimi myślami.

A kiedy zrzuciliśmy z siebie ubrania i Nataniel w końcu mnie pocałował, świat znów zawirował mi przed oczami. Muskał moje usta swoimi wolno i delikatnie, a robił to jeszcze inaczej niż dotychczas – jego namiętność nie miała tym razem siły wulkanu, jakby delektował się mną i tą chwilą. Całował też moje włosy, policzki, powieki i dłonie. Potem przyszła kolej na szyję, piersi i brzuch.

Upadłam na łóżko, pociągając go za sobą, jeszcze trochę skrępowana śmiałością jego poczynań.

To miała być nasza ostatnia wspólna noc tutaj, a potem – jeden Bóg wie, kiedy przyjdzie nam się znowu spotkać. Oboje mieliśmy tego świadomość, choć żadne z nas nie wspomniało na ten temat ani słowa. Dało się to jednak odczuć w naszym zachowaniu, gestach, spojrzeniach. Czuły to również jakby nasze ciała, lgnące do siebie znacznie mocniej niż przedtem, choć jakby ostrożniejsze, czulsze...

Kochaliśmy się do świtu, nie zmrużywszy oka. Na drzemkę zostały nam raptem cztery godziny, niezbędne jednak dla regeneracji koniecznej na bezpieczny powrót. Śniadanie zjedliśmy w pośpiechu w hotelowej restauracji, nie rozmawiając zbyt wiele.

– Jeśli zaczekasz do wieczora, zawiozę cię do domu – zaproponował Nataniel w drodze powrotnej.

Ta podróż trwałaby dla mnie cztery godziny, a dla niego osiem, licząc drogę powrotną. Gdy to sobie uświadomiłam, odmówiłam stanowczo.

– Nie, to nie ma sensu, Nataniel. Ale jeśli chcesz, możesz podwieźć mnie na dworzec kolejowy w Ełku. Mam pociąg o dziewiętnastej.

– Skoro tak sobie życzysz, niech będzie. – Ucisnął moją rękę, a potem podniósł ją do ust i pocałował.

Do pociągu miałam jeszcze kilka godzin, ale dla zabicia czasu pakowałam się powoli. A gdy upchnęłam już rzeczy do walizki i ze trzy razy sprawdziłam wszystkie pomieszczenia, czy aby coś jeszcze nie zostało, wyszłam na zewnątrz i jak pierwszego dnia usiadłam na mostku, zanurzając stopy w jeziorze. Smutno było mi wyjeżdżać i zostawić w tym miejscu wszystko, co się tu wydarzyło. Na myśl, że nazajutrz, za tydzień, dwa, a nawet może jeszcze za miesiąc nie spotkam się z Natanielem, doznawałam skurczu żołądka. Ale odczuwałam też pewien rodzaj ekscytacji, bo przecież gdy już do naszego spotkania dojdzie, to, co nas do tej pory dzieliło, zostanie już wyjaśnione, rozwiązane, nieważne. Może nie będzie łatwe ani przyjemne, nie jest jednak przecież niemożliwe. A jeśli Nataniel zdecydował się iść z rodzicami na wojnę o mnie, to ją wygra. Byłam o tym przekonana.

Kiedy już się ochłodziło i zaczęły marznąć mi stopy, zabrałam walizkę i dowlokłam ją pod dom pani Irminy, by się z nią pożegnać i oddać jej klucze.

– Mam nadzieję, że podobało się pani u mnie? – spytała kobieta z życzliwym uśmiechem.

– Nawet pani nie wie jak bardzo...

– Cóż, wobec tego pozostaje mi życzyć dobrej podróży i zaprosić za rok...

– Chętnie tu jeszcze kiedyś wrócę – obiecałam, bo zamarzyło mi się, że spędzimy z Natanielem w tym ośrodku jakąś wspólną rocznicę.

Usiadłam na murku przy głównej bramie i czekałam. Przyjechał punktualnie.

– Hej, czemu siedzisz na tej kupie kamieni i marzniesz, przecież podjechałbym po ciebie na miejsce? – spytał z lekkim wyrzutem.

– Bez przesady z tym marznieniem, mamy lato...

– Lato nie lato, ale jest już chłodno. No, wskakuj, a ja wrzucę twoją walizkę do bagażnika.

– Nikt się nie zorientował, że do mnie przyjeżdżasz? – spytałam, bo chłopak poczynał sobie coraz śmielej.

– Nie, bo nikt mnie nie pilnuje przecież – zaśmiał się.

– Nawet proboszcz?

– Zwłaszcza proboszcz. Ma za dużo spraw na głowie i albo go nie ma, albo siedzi zamknięty u siebie i nosa nie wyściubia. Jak chce czegoś ode mnie, dzwoni na komórkę.

– To dobrze... – westchnęłam. – Szkoda by było, żeby się wszystko wydało przed czasem.

– No właśnie, *à propos*. Mój pobyt tutaj kończy się za trzy tygodnie. Na razie nie będę podejmował żadnych kroków, ale zaraz potem przyjadę do domu i porozmawiam z rodzicami. Będiesz czekała?

– A mam jakieś inne wyjście? – odparłam pytaniem.

– Absolutnie żadnego...

Nataniel nagle skręcił w leśną dróżkę, zatrzymał samochód, obszedł go dookoła i otworzył mi drzwi.

– Wsiądź, proszę.

– Po co?

– Będziemy się całować. Tak, jak nie będzie wypadało robić tego na dworcu – zdecydował stanowczo.

Rozdział 17

Sierpień



Pod dom podjechałam taksówką, nie miałam siły użerać się z bagażem w komunikacji miejskiej, mimo że połączenie miałam całkiem dobre.

– Marzenka! – wykrzyknęła na mój widok babcia radośnie. – Już myślałam, że przepadłaś na tych Mazurach, bo nie dawałaś znaku życia. Gdybym nie spotkała kiedyś twojego ojca, nawet bym nie wiedziała, kiedy wracasz.

– Wiedziałybyś babciu, wiedziałaś, bo przecież ci mówiłam.

– Może i mówiłaś, ale powinnaś wiedzieć, że takiej starej babie jak ja mówi się o wszystkim najmniej kilka razy. Pięknie wyglądasz, opaliłaś się, przydał ci się ten odpoczynek jak nic.

Z pokoju babci zaczęły wyłaniać się kolejno jej koleżanki: Gryzłó, Oczkowska i Łączka. Brakowało Lelkowej, ale od czasu gdy babcia spoiła ją w Zielonej Łodydze, kobieta zaczęła omijać babunię szerokim łukiem.

– No ładnie, ładnie, kota nie ma, to myszy harcują... – Roześmiałam się, bo w tej sytuacji byłam pewna, że mamy nie ma w domu.

– A co? Poharcować sobie nie wolno? Cytrynoweczkę degustujemy. Wejdz na jednego, krew ci zacznie krążyć po tylu godzinach siedzenia w pociągu.

– Oj, chyba nie mogę – próbowałam się wymigać. – Muszę nastawić pranie, bo nie będę miała w czym chodzić.

– Teraz? Po nocy? Jutro sobie nastawisz – zgorszyła się babcia. – Chodź tu bliżej, pokaż się paniom, jaka jesteś śliczna, bo one ślepe, z daleka nie widzą.

– Znalazła się okulistka – prychnęła pani Oczkowska.

– Nie trzeba być okulistą, żeby widzieć, że nic nie widzisz – odgryzła się babcia.

Podeszłam bliżej, w obawie że staruszki w końcu się pokłócą.

– No to zobacz sobie teraz, jaki ja mam wzrok. – Oczkowska zdecydowanym gestem wepchnęła nas wszystkie do pokoju babci, złapała butelkę i jednym zręcznym ruchem napełniła kieliszek po brzegi, nie roniąc przy tym ani kropli. – To dla Marzenki!

– Też mi sztuka – skrzywiła się pani Łączka. – Mój chłop, żeby coś drobniejszego w domu znaleźć, musi szukać na macanego, ale kielicha sobie potrafi nalać. A ty, Anielka, jakżeś taka mądra, to nawlecz igłę bez okularów.

– Może i igły nie nawlokę, ale w dupę mogę ci ją wsadzić bez okularów – podsumowała babcia.

– Wasze zdrowie! – Uniosłam w górę kieliszek, chcąc już po raz drugi uciąć te ich swary.

– Nasze zdrowie – podjęły chórem i wypily do dna.

– Zdaje się, że na nas już pora – rzuciła hasło do odwrotu pani Gryzłó. – Lada chwila przyjdzie twoja córka i nas pogoni.

– No co wy? – spytała babcia z udawanym zdziwieniem. – Takie jurne dziewczoje, a boją się mojej Joanny?

– Ale skąd! Wcale nie chodzi o to, że się jej... boimy, tylko że... my jej po prostu... – próbowała sprostować nieco płaczącym się językiem Łączka.

– ...się nie boimy! – skończyła za nią Oczkowska, zanim ta zdążyła powiedzieć za dużo.

Panie miały niezłe wyczucie czasu, bo ledwie zdążyły oddalić się od furtki, do domu weszła mama. Najpierw spojrzała na mnie uważnie, nie odpowiadając nawet na moje przywitanie, by w końcu powiedzieć, że niezłe wyglądam. Mama gustowała w pewnych synonimach, nie mawiała, że coś jest dobre, tylko że jest niezłe, nie: ładne, tylko niebrzydkie, nie: mądre, ale niegłupie. Mogłam więc chyba uznać jej stwierdzenie za komplement.

– Jak było? – spytała krótko.

– Świetnie – odparłam równie zwięźle.

– Boże, jaka ja jestem zmęczona, dosłownie padam z nóg – oznajmiła i poszła do siebie.

– Też jestem zmęczona – powtórzyłam jak echo, cmoknęłam babcie w policzek i zostawiłam samą sobie.



Nazajutrz, gdy tylko się obudziłam, zajęłam się przywiezioną ze sobą garderobą, żeby doprowadzić wszystko do ładu przed pójściem do pracy. To był mój ostatni wolny dzień, robiłam więc pranie za praniem, suszyłam w ogrodzie i prasowałam. W którymś momencie zabrakło mi płynu do płukania, więc chcąc nie chcąc, musiałam porzucić swoje zajęcie i pójść do sklepu. Przechodząc koło domu taty, rzuciłam jedynie okiem w jego stronę, by sprawdzić, czy dojrzę jakieś oznaki życia, ale gdy wracałam, przy furtce stała pani Teresa, jakby na mnie czekała.

– Marzenko, wejdź do mnie na kawę, dawno się nie widziałyśmy – poprosiła.

– Niestety pani Tereso, jestem bardzo zajęta, może jutro po pracy?

– Och, dwadzieścia minut na wypicie kawy na pewno nie pomiesza ci szyków – nalegała.

– No dobrze – przystałam w końcu, przekonana, że kobieta chce mi opowiedzieć o weselu siostry.

Gdybym wiedziała, o czym chce ze mną rozmawiać, z pewnością nie zgodziłabym się na tę wizytę ani dziś, ani w najbliższym czasie.

– Ciasteczko? – spytała pani Teresa, podsuwając mi talerzyk. – Kawa świeżo parzona, częstuj się. Mleczka?

Podziękowałam za ciasteczka oraz mleko i napełniłam swoją filiżankę brunatnym, płynem, rezygnując nawet z cukru. Pani Teresa parzyła świetną kawę, szkoda jej było czymkolwiek doprawiać.

– Nie smakuje ci? – zaniepokoiła się kobieta na widok mojej miny.

– Ależ skąd, smakuje, jest po prostu za gorąca – odparłam, choć kawa miała w istocie jakiś gorszy niż zwykle smak i zapach.

– Marzenko... ja... bardzo długo zastanawiałam się, czy poruszać ten temat, ale doszłam do wniosku, że jednak powinnam, nawet jeśli się na mnie pogniewasz – zaczęła pani Teresa ostrożnie. – Korzystając z tego, że nie ma twojego ojca, pozwoliłam sobie zaprosić cię na taką małą babską rozmowę.

– Słucham? – spytałam dość chłodno, bo ten wstęp nie zwiastował niczego miłego.

– Otóż... dowiedziałam się, ale ja i tylko ja, że spotykałaś się na wczasach z... jak by tu powiedzieć, z pewną osobą...

Poczułam, że skóra cierpie mi na plecach. Tego zupełnie się nie spodziewałam.

– Nie obawiaj się, nikt poza mną o tym nie wie. Po prostu Adaś się wygadał mojej siostrze. Ale nikt inny nie dostrzegł w tym niczego, że tak powiem... niezwykłego. Ja natomiast wiem, kim jest ta... osoba, więc widzę to nieco inaczej.

– To znaczy jak?

– Wysłuchaj mnie może najpierw, dobrze?

Skinęłam w milczeniu głową.

– Wiesz, że nie jestem ani wścibska, ani nadmiernie krytyczna. To, co ludzie robią ze swoim życiem, uważam za ich prywatną sprawę, ale jeśli chodzi o ciebie, zaczynam się martwić. Ty o tym nie wspominałaś, ale było widać, jak bardzo cierpisz z powodu...

– Tej osoby – podrzuciłam nieco zgryźliwie.

– Niech będzie. Myślisz pewnie, że nie powinno mnie to obchodzić, ale niestety, obchodzi. Nie jestem twoją matką i nie zamierzam wchodzić w jej rolę, ale jesteś mi bardzo bliska, chcesz czy nie. Jako jedyna córka mojego ukochanego mężczyzny i jako świetna, uczciwa dziewczyna.

– Do czego pani zmierza? A zresztą... nie musi pani nic mówić, ja to powiem: tak, mam z nim romans.

Pani Teresa pobladła i opuściła wzrok. Było widać, że jest naprawdę bardzo

przejęta, a ja, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, siłałam się na arogancję.

– Boże mój – szepnęła kobieta niemal bezdźwięcznie.

– Pani Tereso, ja też o tym z nikim jeszcze nie rozmawiałam, ale pani powiem, jak się rzeczy mają. Spotkałam Nataniela przypadkiem, to było dla mnie jak grom z jasnego nieba, ale dla niego też, i proszę mi wierzyć, gdybym wiedziała, że on tam będzie, nie zagrałabym na ślubie pani siostry.

– Ja też nie wiedziałam...

– Domyślałam się. Powiem tak: kiedy jechaliśmy z tatą do pani rodziny, rozmawialiśmy trochę o nas. Wie pani, co mi powiedział na koniec? Że gdy się ludziom przytrafia miłość, wszystkie skrupuły odchodzą na bok.

– To prawda, wcale nie zamierzam zaprzeczać. Wiem, jak wyglądają dylematy osób, które nie powinny ulec takim namiętnościom, a jednak uległy. To nigdy nie jest proste i nigdy do końca nie da się o nich zapomnieć. Ale różnica między mną i twoim ojcem a tobą i Natanielem polega na tym, że my chcieliśmy być razem, oboje podjęliśmy tę decyzję i świadomie zostawiliśmy za sobą przeszłość.

– Ale my też chcemy być razem! – zaprotestowałam gorliwie. – Nataniel zamierza powiedzieć o tym rodzicom najszybciej, jak to będzie możliwe, jest dopiero po drugim roku seminarium, nic jeszcze nie zostało przesądzone!

– Tak właśnie myślałam – stwierdziła ponuro pani Teresa.

– To znaczy?

– Byłam przekonana, że nie uwikłałabyś się związek z księdzem, to nie w twoim stylu. Musiał ci zatem poczynić jakieś deklaracje.

– Nie musiał. Obiecał, że wystąpi z seminarium, a to dla mnie więcej niż deklaracja.

– Nie myśl, Marzenko, że ja nie wierzę w jego dobre chęci. Jestem również pewna, że cię kocha, bo kochał cię już wcześniej. Ale ani ty, ani on nie zdajecie sobie sprawy, jakie to wszystko skomplikowane. Jego rodzice nigdy na to nie pozwolą, wierz mi, bo ich znam. Może wam się uda, jeśli Nataniel zdobędzie się na to, by zerwać z nimi wszelkie kontakty. Tyle właściwie chciałam ci powiedzieć.

– Uważam, że to nie będzie konieczne. Na pewno nie zechcą stracić ukochanego jedynaka.

– Obyś miała rację i tego ci z całego serca życzę – powiedziała pani Teresa i widząc, że zbieram się do wyjścia, dodała: – Chcę, żebyś wiedziała, że gdybyś potrzebowała czegokolwiek, możesz na mnie liczyć w każdej sytuacji.



– Wyszłaś i przepadłaś, a pranie kisi się w pralce – przywitała mnie mama,

która dziś pracowała rano i już zdążyła wrócić do domu.

– O? Wyprało się? – Nie zdawałam sobie sprawy, że rozmowa z panią Teresą trwała aż tak długo.

– Ze trzy razy by się wyprało.

– Suche już zdjęłam ze sznurków i poskładałam, możesz wieszać – wtrąciła się babcia, wchodząc do kuchni. – Ja ci pomogę.

– Dzięki, babuniu, ale dam sobie radę – ucieszyłam się, bo babcia odwaliała za mnie kawał roboty.

Uwinęłam się raz-dwa i zostało mi już tylko wrzucić do pralki dwie pary dżinsów. Płyn do płukania, który kupiłam, okazał się bardzo nieprzyjemny w zapachu, więc sobie go darowałam. Gdybym wiedziała, nie łąziłabym nigdzie i nie wdawała się w jałowe rozmowy. – Same podróby w tych sklepach – sarknęłam pod nosem.

– Słucham? – spytała babcia, przechodząc koło łazienki.

– A, nie to nie do ciebie. Powiedz mi lepiej, co ona znowu taka. – Skinęłam głową w stronę pokoju mamy.

– Pojęcia nie mam. Może coś nie tak w pracy, bo o niczym innym nie słyszałam.

– Jakby chodziło o pracę, tobyś słyszała, bo nie obeszloby się bez narzekania.

– Może i racja. A może faktycznie jest ostatnio przemęczona? Wcześniej się kładzie, długo odsypia, a i w ciągu dnia ucina sobie drzemki.

– Oby to tylko było to... – wyraziłam obawę, mając nadzieję że nie chodzi tu o mnie.

A kiedy mama nie przyszła na kolację, postanowiłam do niej zajrzeć.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam, wchodząc cicho do jej pokoju.

Mama zdjęła okulary i odłożyła na bok trzymaną w rękach gazetę.

– Uważasz, że nie powinnam? – spytała oschle.

– Nie zjadłaś kolacji, nawet herbaty się nie napiłaś – odparłam wymijająco.

Zresztą na jej pytanie nie dało się inaczej odpowiedzieć.

– Nie jestem głodna. Spragniona również.

– Wobec tego dobranoc – powiedziałam i wyszłam, bo zrobiło mi się przykro, że tak mnie potraktowała.

Mama jednak wyszła zaraz za mną.

– Gdybym czuła się źle, to co? – spytała tym samym tonem.

– Nie wiem, myślę, że starałabym ci się jakoś pomóc, na ile byłoby to możliwe.

– A gdyby było niemożliwe?

Spojrzałam jej w twarz, próbując z niej wyczytać, czy to tylko jej zwyczajna złośliwość, czy może rzeczywiście coś się z nią dzieje. Mama była blada, miała

podkrążone oczy i była jakby szczuplejsza niż przed moim wyjazdem.

– Jeśli coś ci dolega, to powiedz, martwię się o ciebie.

– Martwisz się? Czemu więc nie martwiłaś się przed wyjazdem? Cały dom został na mojej głowie przez dwa tygodnie, bo na twoją babcię oczywiście nie można liczyć. No chyba na to jedynie, że pod moją nieobecność nasprasa do domu obcych ludzi i urządzi dzikie harce. – Mimo woli uśmiechnęłam się pod nosem, nie mogąc sobie wyobrazić babci i jej koleżanek urządzających dzikie harce.

– I to cię bawi, jak rozumiem?

– Nie, skąd, ja... tylko tak... – bąknęłam zmieszana.

– Wiem. Ty zawsze „tylko tak” – skomentowała matka i wróciła do siebie.

– Babciu, co tu się działo, jak mnie nie było? – Postanowiłam zasięgnąć języka u źródła. – Bo już chyba wiem, o co chodzi twojej córce. Ma do mnie pretensje, że zostawiłam dom bez opieki.

– A ja to co? – wzburzyła się babcia.

– Ty podobno wyprawiałaś w domu nieokiełznane melanże.

– Akurat. Wpadały do mnie czasem koleżanki, ale Joanna ich nawet na oczy nie widziała. Raz tylko zastała w kuchni kilka brudnych filiżanek.

– I kieliszków – dorzuciłam domyślnie.

– Oj tam, no i co z tego?

– Moim zdaniem nic, ale mama ma inne.

– Bo ona nieboraczka nie wie, że jakbyś była wówczas w domu, to zastałaby o jeden więcej. – Babcia parsknęła śmiechem. – Chcesz cytrynowki przed snem?

– Dziękuję, nie mam ochoty, a do snu mi jeszcze daleko. – Uścisnęłam staruszkę serdecznie i cmoknęłam w oba policzki. – Mam całą górę prasowania.



Wróciłam po urlopie do pracy i niby wszystko było jak przedtem, poza tym że coraz bardziej niecierpliwie czekałam na telefon od Nataniela. Tymczasem słał do mnie SMS-y z telefonu na kartę, „od wszelkiego wypadku” – jak mi wyjaśnił również za pomocą SMS-a. Pisał że kocha i tęskni, życzył mi dobrej nocy przed snem i dobrego dnia zaraz po przebudzeniu. Te wiadomości od niego były dla mnie wszystkim, jednak po pewnym czasie zaczęłam czekać na coś bardziej konkretnego. Dla zabicia czasu i zajęcia myśli czym innym znów nawiązałam kontakt z koleżankami, odwiedzałam też regularnie tatę, choć właściwie należałby powiedzieć, że raczej jego żonę. Tata, nawet jeśli akurat był w domu i miał czas, nie był zbyt fascynującym rozmówcą.

– I co tam, córca? Jak w domu? – pytał nieodmiennie, a ja nie miałam na ten temat zbyt wiele do opowiadania.

Z panią Teresą natomiast dobrze mi się gawędziło na wszystkie tematy, omijałyśmy jednak skrzętnie ten jedyny, który poruszyła po moim powrocie z Mazur. Nowa żona mojego taty okazała się całkiem fajną kobietą, a przede wszystkim mądrą taką zwyczajną, życiową mądrością. Lubiłam słuchać, jak opowiadała o swoim dzieciństwie, domu pełnym ludzi, radościach i troskach – jakże innych niż moje własne w owym okresie.

Z powodu tych wizyt wracałam niemal codziennie później z pracy, za to zawsze z jakimś prowiantem: kawałkiem ciasta, ruskimi pierogami i oczywiście nieodmiennie ze słoikiem marynowanych okoni.

Rozdział 18

Bez łez



– Zdrowie Adrianki! No, wypij jedna z drugą, skoro matka nie może – domagała się Patrycja, gdy spotkałyśmy się wszystkie cztery w Zielonej Łodydze z okazji pierwszego zdjęcia dzidziusia Elki. To znaczy zdjęcia USG. Dzięki niemu przyszła mama poznała płęć dziecka i cieszyła się jak wariatka, bo zawsze chciała mieć dziewczynkę. Nadali jej już z Grześkiem imię: Adrianna.

– Kurczę, ale to ci technika dopiero – fascynowała się Ela. – Jeszcze jej nie widziałam na oczy, a tu masz, portret jak byk! Moja mama do dziś trzyma moje USG i jeszcze taką obrączkę z imieniem i nazwiskiem, którą przypięli mi do ręki zaraz po urodzeniu. Wy też macie takie archiwum?

– Mnie nic na ten temat nie wiadomo – odparłam, raczej wątpiąc, by moja matka miała do podobnych pamiątek jakiś sentyment.

– Moja trzyma test ciążowy – zarechotała Beata. – I mnie nim straszy od czasu do czasu.

– A to niby czemu? Na skrobankę już trochę jakby za późno – skwitowała Patrycja.

– Ty jak już coś palniesz, to rany boskie – zgromiła ją Elka. – Cieszyć się tu razem ze mną przyszyście, a nie pierdzielić głupoty. Co nie, Marzenka?

– Jak najbardziej – poparłam ją. – Ja osobiście się cieszę. A zatem zdrówko Adrianki! – Wzniosłam kieliszek w górę.

Chyba za szybko się z kolejnym toastem wyrwałam, bo jego zawartość natychmiast mi się cofnęła i jedynie ogromną siłą woli nie zwróciłam jej na stół.

– Ktoś ci chyba pozazdrościł... – Patrycja trąciła łokciem Elkę. – Jakby było czego...

– Patka! – krzyknęła na nią Beata. – Jak się nie nauczysz choćby odrobiny ogłady, przy następnej okazji pominiemy cię bez skrupułów.

– No co? Taki żarcik! – obruszyła się Patrycja.

– Dobra, daj jej spokój, skoro inaczej nie potrafi – wstawiła się za koleżanką Elka. – Nie każdy w końcu wyniósł z domu taką ogładę jak nasza Marzenka.

– Czy mi się zdaje? Czy tym razem tobie się udzieliło? – spytałam ze śmiechem, bo zabrzmiało mi to jak mała złośliwość.

Jak zwykle w tym gronie każda koleżeńska czułość przyprawiana była szczyptą pieprzu. Właściwie żadnej z nas to nie przeszkadzało, po prostu, taki wytworzył się między nami styl konwersacji.

Rozmawialiśmy głównie o Elce, bo dla niej tu przyszliśmy. O śpioszkach, czapeczkach, wózkach, planowanych chrzcinach oraz jej samopoczuciu w odmiennym stanie.

– No dobra, ale jak się skapnęłaś, że trzeba by zrobić test? Co ci się działo? – spytała Beata.

– Jak zaczęłam nienawidzić pomidorówki – zaśmiała się Ela. – Najpierw zmienił mi się węch i smak, wkurzały mnie wszystkie zapachy, które do tej pory lubiłam, zaczęłam wcinać jakieś dziwne rzeczy, na przykład cebulę na surowo, a kiedy odrzuciło mnie od mojej najukochańszej zupy, coś mnie tknęło.

– I do dziś tak masz?

– E, nie, tylko na początku. A co? Może ty też tak masz? – Ela spojrzała na Beatę z uwagą.

– No co ty! Ja nie jestem taka głu... taka nieostrożna – zreflektowała się szybko.

Po powrocie do domu ta ostatnia rozmowa wracała do mnie co jakiś czas nieprzyjemnym echem. Jeszcze próbowałam sobie wmawiać, że nagłe mdłości, które jeszcze tego samego wieczoru nie pozwalały mi zasnąć, były wynikiem obżarstwa rybami taty. W końcu raz już kilka osób się nimi struło... Niestety, rano było jeszcze gorzej. Całe moje śniadanie tuż po zjedzeniu wylądowało w toalecie.

– No tak, można się było spodziewać – skomentowała matka pod drzwiami łazienki. – Moja córka poszła w ślady babci. Zaszkoziła ci cytrynowka czy może preferujesz jakieś inne lekarstwo?

– Jeszcze nie wiem, co mi zaszkoziło – odparłam, wychodząc na miękkich nogach z łazienki. – Ale się dowiem jeszcze dzisiaj.

Poszłam do siebie, nie czekając na dalszy dialog, ubrałam się i wyszłam do pracy. Po drodze wstąpiłam do apteki po test ciążowy. Niemal do końca dniówki nie miałam odwagi z niego skorzystać, ale kiedy zostałam już w sklepie sama, bo szefowa musiała wyjść nieco wcześniej, przeczytałam dokładnie ulotkę i, że tak powiem, zastosowałam się do instrukcji. W polu mającym pokazać wynik pojawiły się dwie kreski. Przez dłuższą chwilę miałam kompletną pustkę w głowie. Później przyszło niedowierzanie i szok. Co prawda nie zabezpieczaliśmy się z Nataniem, ale on twierdził, że uważa, i to mi jakoś wystarczało...

Powtarzałam sobie w myślach, żeby nie wpadać w panikę, bo to właściwie żaden dramat. Jak wszystko pójdzie dobrze, pobierzemy się, zanim coś będzie po mnie widać. Teraz już, nie czekając na nic, postanowiłam sama skontaktować się z Nataniem. Najpierw zadzwoniłam na jego normalny numer, a gdy nie odpowiadał, na ten z telefonu na kartę.

– Słucham – odezwał się po chwili.

– Cześć Nataniel... dzwonię, bo... – Nie wiedziałam, od czego zacząć. – Bo... nie mam od ciebie zbyt konkretnych wiadomości. Nie myśl, że chcę być

nachalna, ale może mógłbyś mi powiedzieć choć z grubsza, jak się sprawy mają?

Nataniel milczał przez chwilę.

– W najbliższym czasie miałem do ciebie dzwonić, ale tak mi jakoś zeszło...
– odparł krótko, pewnie nie mógł rozmawiać. – Myślę, że powinniśmy się zobaczyć, aby omówić pewne sprawy.

– No właśnie na to cały czas czekam – zaśmiałam się do słuchawki. – A więc kiedy i gdzie?

– W sobotę wracam do domu na kilka dni, ale jeszcze dam ci znać. Przepraszam, Marzenko, ale muszę kończyć.

– Okej, rozumiem. Wobec tego czekam na twój telefon – odparłam znacznie podniesiona na duchu i Nataniel się rozłączył.

Do soboty były raptem dwa dni, ale dłużyły mi się strasznie. Mdłości się nasilały, szczególnie rano. Próbowałam to ukryć, jak się dało, i w trakcie każdej „kibelkowej” sesji puszczałam na cały regulator wodę, by zagłuszyć ewentualne odgłosy. Bo o ile ten pierwszy raz, na którym przyłapała mnie mama, można było złożyć na karb wypitego alkoholu, kolejne już na pewno dałyby matce i babci do myślenia. A ja tymczasem zamierzałam zachować swój stan w tajemnicy.



Nataniel zadzwonił w piątek wieczorem i umówiliśmy się na następny dzień w południe na oddalonym od centrum miasta przystanku autobusowym. Podjechał punktualnie.

– Wskakuj – powiedział, uchylając okno.

Pojechaliśmy kawałek za miasto i Nataniel zatrzymał samochód na przydrożnym parkingu. Czekałam, co powie. Sekundy dłużyły się jak godziny, a z każdą kolejną traciłam nadzieję.

– Marzenko, sprawy się pokomplikowały – odezwał się w końcu.

– Tak przypuszczałam – odparłam, czując, że zbiera mi się na płacz. – Do jakiego stopnia, jeśli można wiedzieć?

– Całkowicie...

– Rozumiem. Czyli nasza dalsza rozmowa nie ma sensu. – Nacisnęłam na klamkę z zamiarem wyjścia z samochodu.

– Nie, Marzenko, czekaj! – Nataniel złapał mnie za rękę. – To nie tak, jak myślisz, wcale nie chodzi tu o mnie!

– Nie? A o kogo, jeśli nie o ciebie? – spytałam już pewniejszym tonem, bo jakimś cudem udało mi się oddalić wzbierający płacz.

– Marzenko... tak się składa, że człowiek nie żyje na bezludnej wyspie i każda jego decyzja dotyka nie tylko jego, ale też innych ludzi.

– Wiem. Na przykład mnie.

– O ciebie też nie chodzi. Rozmawiałem z rodzicami. Przez wiele długich wieczorów, przez telefon i bezpośrednio, bo gdy dowiedzieli się o moim zamiarze, po prostu przyjechali do mnie. Chodzi o mojego stryja.

– Tego, co jest biskupem? – doznałam jakiegoś przebłysku. – On cię przekonał do pozostania w seminarium?

– Nie. To moja decyzja. Trudno, nie mam innego wyjścia, widać nie było mi pisane szczęście osobiste.

– Bo? – ciągnęłam z niego zdanie po zdaniu, próbując jakoś to wszystko zrozumieć.

– Stryj ma jesienią awansować, zostanie metropolitą, to bardzo ważny urząd w kościele, chluba i duma, wielka godność. I odpowiedzialność. Skandal w szeregach Kościoła z własnym bratankiem w roli głównej z pewnością by mu tego awansu nie umożliwił. To znacznie ważniejsze niż moje prywatne sprawy, jakby spojrzeć na to szerzej, chodzi o dobro instytucji Kościoła, która jak wiesz, nie jest teraz w najlepszej kondycji. Stryj jest kapłanem o wielkiej charyzmie, może naprawdę dużo zdziałać w tych trudnych czasach.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, bo to, co mówił, kompletnie nie trzymało się kupy. A w każdym razie było zupełnie do niego niepodobne...

– I ty zamierzasz poświęcić swoje dobro i swoje szczęście, ba, swoje życie do ostatnich dni na ołtarzu Kościoła – skomentowałam z ironią.

– Nawet jeśli nie jesteś w stanie tego zrozumieć, masz rację. Dokładnie tak jest. Stryj mnie o nic nie prosił, to rodzice uświadomili mi powagę sytuacji.

– Okej, męczenniku. Masz do tego prawo, jak najbardziej. Ale jakie masz prawo decydować o mnie? Moim szczęściu i moim życiu? Pomyślałeś choć przez chwilę?

– Jesteś piękną młodą, inteligentną dziewczyną. Ty jeszcze ułożysz sobie z kimś życie, ja nie – odparł Nataniel.

– Myślisz? Że w kolejce ustawią się najlepsi kandydaci na mężów do panny z dzieckiem? – wypaliłam, patrząc mu w twarz.

– Co? – Nataniel w jednej sekundzie zbladł jak ściana. – O czym ty mówisz, Marzenko?

Bez słowa sięgnęłam po test ciążowy, który nadal miałam w torebce. Nataniel patrzył w niego przez dłuższy czas jak zaklęty.

– Tak więc, jest nas w tej sprawie troje – pomogłam mu w obliczeniach. – Nie tylko ty sam. Ale dobrze, nie będę wchodziła w paradę ani tobie, ani twojemu stryjowi.

Wyjęłam mu z ręki test i tym razem bez przeszkód wysiadłam z samochodu. Nataniel zawrócił i minął mnie, nawet nie próbując się zatrzymać. Wracałam do domu na piechotę, choć miałam przed sobą najmniej kilka kilometrów. Stopy

bolały mnie niemiłosiernie, bo jak idiotka wystroiłam się na to spotkanie w sukienkę i szpilki. Nie płakałam, nie uroniłam ani jednej łzy. Doszłam bowiem do wniosku, że tak przecież musiało się to skończyć i powinnam była znacznie wcześniej o tym wiedzieć. Stryj nie stryj czy też całkiem inne przeszkody, coś musiało stanąć nam na drodze, bo byłoby zbyt pięknie. A mnie piękne rzeczy się nie przydarzały. Nosiałam teraz w sobie okruch życia, któremu oboje daliśmy początek, i właściwie nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na pytanie, co do niego za jakiś czas będę czuła. Czy pokocham go, czy też znienawidzę jak... moja matka mnie?



Dziś świetnie znałam odpowiedź na to pytanie. Uśmiechnęłam się do siebie i wyłączyłam laptop, kończąc na dziś rozgrzebywanie przeszłości. Pobieglam na górę do sypialni Piotrusia. Mój synek spał już w najlepsze, zresztą z reguły oddawałam się wspomnieniom i przelewaniem ich na twarde dyski mojego komputera, gdy dzieciak już spał. Z dwóch powodów: braku czasu w ciągu dnia, ale przede wszystkim, żeby nigdy nie widział mnie w takim stanie, w jakim bywałam podczas tych swoich „sesji”.

Mój syn, największa miłość mojego życia, oddychał spokojnie, a na jego dziecięcej buzi malowała się ta bez troska, która gości w nas w dzieciństwie bez względu na wszystko. Czarne loki rozrzucone na poduszce i cienie długich rzęs na policzkach to były elementy, które nigdy nie pozwalały i pewnie nie pozwolą mi zapomnieć okoliczności, w jakich został poczęty. Tych poranków, gdy budziłam się wcześniej niż jego ojciec i z lubością wpatrywałam się w jego piękną twarz: dokładnie taką jak ta, na którą patrzyłam teraz. I, jak kiedyś przez krótką chwilę jego ojciec i ja, byliśmy dla siebie tylko my, we dwoje – jednak na znacznie dłuższy czas, bo po kres moich dni. Kochałam Piotrusia nad życie, za jego ojca i za siebie, za nas oboje dawałam mu wszystko, co najlepsze, co najlepsze dla niego i innych, z którymi kiedyś przyjdzie mu dzielić los. Wkładałam wszystkie starania w to, żeby wyrósł na mądrego i dobrego człowieka, a jednocześnie na tyle świadomego, by jak najrzadziej pozwalał się wykorzystywać czy ranić. Ale też żeby nie krzywdził innych, celowo czy nie, zawsze mając na uwadze, że ludzie, z którymi obcuje, mają takie same uczucia jak on i tak samo łatwo można je urazić jak jego własne.

Położyłam się koło chłopca cichutko i leżałam tak bez ruchu, zanim nie poczułam się senna. Dopiero wówczas poszłam do swojej sypialni.



Jeszcze tego samego wieczoru po spotkaniu z Natanielem on zadzwonił do mnie i poprosił, bym przyszła do niego do domu. W pierwszej chwili zamierzałam odmówić, raczej nie mając nadziei, że ma mi dopowiedzenia coś innego, niż już powiedział. W końcu postanowiłam jednak pójść, by nie zaniedbać niczego, co mogłabym w tej sprawie zrobić. Drzwi otworzył mi Nataniel i poprowadził do salonu, w którym czekali, najwyraźniej na mnie, jego rodzice.

– Witaj, Marzenko – przywitała mnie jakoś wyjątkowo ciepło jego matka. – Usiądź proszę.

Nataniel i jego ojciec w przeciwieństwie do niej wyglądali, jakby nie mieli niczego do powiedzenia.

– Nasz syn oznajmił nam właśnie – powiedziała z akcentem na „nasz” – że podobno spodziewasz się dziecka.

Nie odpowiedziałam. Bo to nie ja się go spodziewałam, a w każdym razie nie bardziej niż oni wszyscy tu zebrani.

– Czyżbym się myliła?

– Jestem w ciąży, jeśli o to pani pyta. Z Natanielem – nie darowałam sobie.

– Hm... tego nie zamierzamy dociekać, bo i on tak twierdzi – zauważyła z pewnym niesmakiem na twarzy. – Co zatem zamierzasz?

– A co ja mogę zamierzać? – spytałam chłodno. – Teraz już wszystko w rękach natury.

– Natury... aha – Pani Tyliczowa wyglądała na rozczarowaną.

– Żona pyta, czy zamierzasz urodzić dziecko – pomógł jej nieoczekiwanie małżonek.

– To ono zamierza się urodzić. Bo raczej nie ma innego wyjścia – odparłam hardo, wyczuwając, do czego zmierzają niedoszli „dziadkowie”.

Spojrzałam na Nataniela. To znaczy zamierzałam spojrzeć, ale on uparcie patrzył gdzieś w bok.

– No cóż, ja bym z tym dyskutował – ciągnął temat pan Tylicz coraz bardziej bezpośrednio.

– A ja nie! – Odruchowo podniosłam głos.

– Czego zatem od nas oczekujesz? – spytała kobieta tonem ostrzejszym niż brzytwa i zimniejszym niż lód.

– Nie widzę powodu, żeby czegokolwiek od państwa oczekiwać – odparłam, siląc się na podobny ton. – A tak w ogóle, to chyba się pożegnam. Do widzenia państwu...

– O, nie! – zaprotestowała matka Nataniela. – Nie pożegnasz się, dopóki nie

znajdziemy jakiegoś rozwiązania tej sytuacji.

– Rozwiązanie nastąpi za jakieś siedem i pół miesiąca – odszczeknęłam się i wstałam.

Pani Tyliczowa zastąpiła mi drogę. Nataniel nadal siedział jak kukła.

– Zamierzasz nas szantażować, mała cwaniaro? – syknęła niebezpiecznie.

– Obawiam się, że sądzi mnie pani swoją miarą – powiedziałam z zamiarem wyminięcia przeszkody.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie powiesz, czego chcesz. – Nie pozwoliła się ubiec.

– Niczego nie chcę oprócz tego, żebyście mnie wszyscy zostawili w spokoju na zawsze.

– Teraz tak mówisz. A za chwilę wniesiesz do sądu sprawę o ojcostwo i będziesz ciągała Nataniela na badania. Już ja znam takie przypadki. Dlatego postanowiliśmy, że będziemy pomagać ci finansowo do ukończenia osiemnastego roku życia przez... twoje dziecko.

Stałam naprzeciw Tyliczowej w pewnej postawie, by tym razem nie pozwolić zawrócić się z drogi.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę sama, choć muszę przyznać, że z chęcią weszłabym do tak bogobojnej, katolickiej rodziny. A skoro tego nie chcecie mi dać, niczego innego nie chcę!

Tym razem to ja napałam na nią i gdy tylko przesunęła się trochę, wyszłam. A skoro już tak sprawy się miały i od samego południa musiałam stawiać czoło tym wszystkim pytaniom związanym z moją ciążą, postanowiłam, że póki trzyma mnie ta adrenalina, pójde prosto do domu i oświecę w tej kwestii również moją mamę i babcię. Nie rozdrabniałam się na dwie z osobna, poprosiłam je od razu obie o rozmowę.

– Jestem w ciąży – oznajmiłam bez wstępów.

– Jak to? – Pierwsze pytanie zadała babcia.

– Normalnie.

– Z kim? – spytała jak zwykle rzeczowo matka.

– Z Natanielem.

Przez chwilę na twarzy matki zagościło zadowolenie.

– Wobec tego nie ma już wyjścia. Musi się z tobą ożenić.

– Nie musi. I się nie ożeni, nadal zamierza być księdzem – odparłam z pozoru całkiem spokojnie.

– O, nie! Niedoczekanie! Już ja mu ten zamiar pokrzyżuję! – Matka natychmiast poderwała się do działania.

– Nie pokrzyżujesz. – Wstrzymałam ją gestem. – Właśnie wracam od państwa Tyliczów. I powiem ci, że nie ma takiej opcji.

– Owszem, jest – odparła matka. – Są sądy, a w ostateczności prasa.

– Ja nie zamierzam z niej korzystać!
– Ale ja zamierzam! – krzyknęła matka.
– Niestety, beze mnie twoje staranina na nic się nie przydadzą. Musiałabym potwierdzić, kto jest ojcem mojego dziecka.
– Ty durna dziewucho! – rozsierdziła się matka. – Zamierzasz zostać sama z bękartem?
– To chyba mniejszy wstyd, niż wycierać swoim życiem po gazetach – wtrąciła się babcia.
– Ale przynajmniej sprawiedliwości stałoby się zadość!
– Ja nie chce takiej sprawiedliwości. W ogóle niczego nie chcę i dajcie mi już spokój. Idę do siebie.

Zamknęłam za sobą drzwi i ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Widać organizm, dzielący już siły między dwoje, domagał się odpoczynku. Położyłam się i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, za oknem już się zmierzchało, a w domu byłyśmy już tylko we dwie z babcią. Opowiedziałam jej o moich wczasach i o wszystkim, co się tam wydarzyło. I o tym, jak po raz drugi potraktował mnie Nataniel przy wydatnym wsparciu swoich rodziców.

– Wiesz co? Aż się nóż w kieszeni otwiera – skomentowała babcia. – Nie myśl, że jestem po stronie Joanny, ale ja też bym chętnie chłopczkowi to jego kapłaństwo czymś zmała. Na przykład napisałabym list do jego świętobliwego stryja.

– Myślisz, że on o niczym nie wie? – wyraziłam wątpliwość.
– A cholera go wie? – zastanowiła się babcia. – Z nimi nigdy nic nie wiadomo, świętoszki obłudne.
– Babciu! I ty to mówisz? Gorliwa i przykładna katoliczka? – Uśmiechnęłam się mimo woli.

– Nieraz ci powtarzałam, że ksiądz to jeszcze nie Pan Bóg. Zresztą im często bliżej do diabła niż Boga. Konkretnie do Lucyfera, któremu w swojej pysze się zdawało, że jest od Niego większy i mądrzejszy. A jak się przyjrzeć bliżej niektórym klechom, to jestem przekonana, że i im często się tak zdaje. Póki co, bo wszystko ma swój kres, a cierpliwość boska swoje granice. I nie żaden święty ci dziecko zrobił, tylko mały, chutliwy i tchórzliwy sukinsyn – podsumowała babcia.

Zrobiło mi się przykro, bo choć nie miałam już w tym momencie zbyt dobrego zdania o Natanielu, epitety babci pod jego adresem zabrzmiały w moich uszach jak bluźnierstwo.

– No cóż, babuniu – powiedziałam tylko. – Będzie, co będzie. Dla mnie już to wszystko nie jest ważne, teraz stałam się matką i tylko to się liczy.



Mama przestała się do mnie zupełnie odzywać. Próbowałam jeszcze w miarę możliwości nawiązać z nią jakiś dialog, ale gdy spytała, czy kładąc się do łóżka z księdzem, pomyślałam o niej i o jej reputacji jako matki, i ja nabrałam wody w usta. Przez jakiś czas o moim stanie nie wiedział nikt poza matką, babcią i panią Teresą. Na razie nie byłam jeszcze gotowa stawiać czoło tym wszystkim pytaniom o ojca dziecka na tyle stanowczo, by móc się zwierzyć choćby moim przyjaciółkom.

Bardzo dużym wsparciem dla mnie w tych najtrudniejszych chwilach, nie licząc babci, była pani Teresa. Ta przynajmniej nie nakłaniała mnie do brania odwetu na całym rodzie Tyliczów, z hierarchami kościelnymi na czele. To ona na moją prośbę powiedziała ojcu o moim stanie i przygotowała go tak, by nie truł mi na ten temat. Tata oczywiście się zatroskał, ale z drugiej strony chyba z czasem zaczął się cieszyć, że w końcu będzie miał wymarzonego wnuka. Kiedy ciąża stała się widoczna – na razie tylko dla wtajemniczonych – nie mogąc znieść pogardliwych spojrzeń matki, postanowiłam przeprowadzić się do taty. I on, i jego żona nieraz mi to wcześniej proponowali, ale ja nie widziałam takiej konieczności. Kiedy jednak atmosfera w domu zaczęła się na tyle odbijać na moim samopoczuciu, że gorzej sypiałam i gorzej się odżywiałam, uznałam, że sytuacja dojrzała do podjęcia tej decyzji. Babcia, mimo że bardzo ją przeżyła, nie protestowała zbyt gwałtownie, upatrując w niej dobra mojego i mojego dziecka. Zresztą, mieszkaliśmy teraz raptem kilkaset metrów od siebie, nic więc nie stało na przeszkodzie, byśmy się mogli widywać.

Czas biegł, mój brzuch zaokrąglął się powoli, a ja coraz bardziej zaczynałam martwić się o przyszłość. Tę materialną, bo wszystkiemu innemu gotowa byłam stawić czoła. Wiedziałam, że po porodzie nie wrócę już do sklepu z bielizną, nie mogłam też liczyć na żaden urlop macierzyński czy wychowawczy. Jednym słowem, moje sprawy finansowe rysowały się dość kiepsko. Kiedy zwierzyłam się z moich obaw pani Teresie, ta tylko wzruszyła ramionami.

– Naprawdę, nie masz się czym martwić, Marzenko – odparła. – Utrzymamy ciebie i dziecko dotąd, dopóki będzie trzeba. Tata ma niezłą emeryturę, ja mam regularną pensję, a i twoja babcia na pewno coś ci ze swojej renty dorzuci. Nie będzie źle, zobaczysz.

– Ja wiem, pani Tereso, że na was mogę liczyć, ale co potem? Według wizji mojej matki miałam rzucać na kolana melomanów we wszystkich filharmoniach na świecie, a tymczasem przyjdzie mi zostać panną z dzieckiem bez zawodu i widoków na przyszłość.

– Doprawdy? A ja to widzę zupełnie inaczej. Jasne, że może czeka cię kilka trudnych lat, ale na nich się twoje życie nie kończy. Zawsze bardzo chciałam zostać matką, ale kiedy spotkałam Czesława, było już na to dla mnie za późno. I choćby nie wiem co, nic nie zapełni w moim życiu tej pustki. Ty będziesz miała dziecko, a na miłość nie jest za późno nigdy. Zresztą... spójrz na tę panią Orianę, o której mi opowiadałaś. Miała wszystko, sławę, bogactwo, urodę. A jak przyszło co do czego, była gotowa ukraść miłość dziecka obcej kobiety. Chodzi o to, że są w życiu rzeczy, które dać nam może tylko Opatrzność, nawet jeśli wszystko inne jesteśmy w stanie osiągnąć uporem i pracą.

– Mówi pani jak moja babcia. Ona też wszystko tłumaczy Opatrznością. Bo tak jest łatwiej. A przynajmniej lżej.

– I ma rację. Tylko że do podobnych konkluzji dochodzi się dopiero w pewnym wieku, bo tylko z perspektywy czasu można dopasować do siebie różne elementy swojego życia, ukazujące jej zamysł. Niegłupi najczęściej.

– Wobec tego nie pozostaje mi nic innego tylko czekanie, aż spłynie na mnie życiowa mądrość – zaśmiałam się raczej gorzko.

– Ale to czekanie nigdy nie jest bierne. Zawsze w tym czasie znajdzie się coś do zrobienia – podsumowała pani Teresa.

Rozdział 19

Dni do wcześniejszych niepodobne



W końcu przyszedł moment, że musiałam powiedzieć swojej pracodawczyni o ciąży. Nie mogłam już spełniać swoich wszystkich obowiązków, prznosić ciężkich manekinów, by ubrać je w nowe komplety, dźwigać większych pudeł, choć wbrew pozorom bielizna nie była niczym ciężkim, czy wspinać się po drabinie ze względu na dolegające mi czasem zawroty głowy.

Pani Marta na wieść o moim stanie w pierwszej chwili się ucieszyła.

– Wobec tego moje gratulacje! Kiedy ślub?

– Rzecz w tym, że ślubu nie będzie. Ani teraz, ani w przyszłości. W każdym razie nie z ojcem dziecka – odparłam bez ogródek.

– O, w takim razie... nie wiem, co powiedzieć – zmieszała się kobieta.

– *C'est la vie*, pani Marto. Tyle wystarczy.

– Właśnie. Czasem tyle musi wystarczyć... – westchnęła moja szefowa i o nic już nie pytała.

– Chciałabym pracować u pani do porodu – zastrzegłam. – Jeśli pani się zgodzi, bo za chwilę będę antyreklamą pani sklepu.

– Co ty pleciesz – ofuknęła mnie kobieta. – Możesz tu pracować do porodu i po, zatrzymam dla ciebie tę posadę.

– Nie, nie zamierzam pani wiązać moją osobą. Może pani już się za kimś rozglądać, bo trudno przewidzieć, co potem ze mną będzie.

– A co ma być? Będziesz miała dzidziusia i tyle.

– Bardzo dziękuję za dobre chęci, ale ja już zdecydowałam. – Uśmiechnęłam się do kobiety z wdzięcznością.

A kiedy przyszedł czas, że przestałam mieścić się w swoje ubrania i zaczęłam nosić ciążowe ciuchy, wieść rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Na skutek owej sensacji wpadły któregoś razu do mnie do pracy moje koleżanki. Poza Elą, o której można było tylko powiedzieć, że się wtoczyła.

– To przyjaciółka twoja do porodu szykuje się lada chwila, powinna leżeć w łóżku i patrzeć, czy jej wody nie odchodzą, a ty nam taki numer wykręcasz? – napadła na mnie z wyrzutami Patrycja. – Żebyśmy się od obcych ludzi dowiadywały?

– Ale skoro już wiecie, to w porządku? – odparłam atak, jak umiałam.

Pani Marta dyskretnie wyszła na zaplecze.

– Czy my coś wiemy? – spytała Patrycja demonstracyjnie pozostałych

koleżanek. – Bo co my w gruncie rzeczy wiemy? To co wszyscy. A chyba nam jako przyjaciółkom należy się jakaś wiedza szczególna.

– Jaka na przykład?

– Kto jest szczęśliwym tatusiem – wypaliła bez ogródek. – Albo nieszczęśliwym.

– A może nieświadomym? – podrzuciłam jej jeszcze inną możliwość.

– Co takiego? – Wreszcie do głosu dorwała się Beata. – Jak to, więc koleś o niczym nie wie?

– Jeśli wie, to jest jasnowidzem – odparłam ku jej zgrozie. – Bo ja go nie poinformowałam.

– Zgłupiałaś? – zgorszyła się Elka. – Dziecko przecież musi ojca mieć!

– Czy ja wiem? – zaczęłam sobie z nimi jawnie pogrywać. – Owszem, pokutuje taki pogląd, ale w moim przypadku występuje pewna trudność, nie znam adresu.

Widząc zdumienie malujące się na twarzach koleżanek, dodałam z uciechą:

– Ani nazwiska...

Elka usiadła ciężko na szerokim granitowym parapecie.

– Jaja sobie robisz... – wyszeptała.

– Nie, moje drogie. Ot, nieoczekiwany skutek mazurskiej przygody.

Widząc przejście moich przyjaciółek, trochę żal mi było nadal się nad nimi pastwić, niestety nie mogłam im się zwierzyć z mojego najgłębszego sekretu, ponieważ przy wszystkich swoich zaletach były niestety plotkarami, jakich mało w tym mieście. W tej kategorii wiekowej oczywiście.

– Boże jedyny, to co ty teraz zrobisz? – zapytała Ela.

– To samo co ty, tyle że bez faceta przy boku – odparłam.

– Ej, a możemy ci chociaż jakoś pomóc? – spytała Patrycja.

– No jasne, jakby co, to mów śmiało, na nas możesz liczyć – poparła ją Beata.

– U mnie masz jak w banku wszystkie ciuszki po Adriance – zaoferowała Ela. – Będzie o kilka miesięcy starsza, a niemowlaki wyrastają ze wszystkiego jak szalone.

– I zrzucimy się na wózek – zadeklarowała w imieniu wszystkich Patrycja. – Na pewno nie taki wypasiony, na jaki szarpnęli się teściowie Elki, ale na jakąś przeciętną brykę chętnie się złożymy.

– No pewnie – potwierdziły dziewczyny.

– Kochane moje. Moje wy kochane wariatki...

Uścisnęłam je wszystkie po kolei, czując wzbierające we mnie wzruszenie. Szczerze mówiąc, poza skłonnościami do wspólnej zabawy nie dostrzegłam między nami do tej pory aż takiej więzi.



W domu ojca i jego żony miałam to, czego najbardziej było mi trzeba: święty spokój i ludzką życzliwość. Babcia odwiedzała mnie niemal codziennie, obdarzając świeżymi owocami i własnoręcznie wyciskanymi sokami. Wpadały również przyjaciółki, aż do porodu Elki, bo potem to jej poświęcały więcej czasu i uwagi. W zasadzie nic nie powinno zmycać moich myśli, nie ja pierwsza zostałam porzucona przez faceta razem z nienarodzonym dzieckiem i nie ja ostatnia. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że ustał mój żal do Nataniela, ale to było uczucie raczej oczywiste i nawet jeśli mi doskwierało, z grubsza już wiedziałam, jak sobie z nim radzić. Chyba znacznie bardziej doskwierała mi postawa matki, która ani razu od mojej wyprowadzki nie wyraziła chęci zobaczenia się ze mną. Jasne, że odwiedziny w domu zwycięskiej rywalki nie wchodziły w grę, ale były przecież jeszcze inne miejsca. Jak choćby mój rodzinny dom, do którego mogła mnie zaprosić na kolację przez telefon lub za pośrednictwem babci. Mama jednak milczała jak zaklęta. To było dziwne uczucie, dziwne i irytujące, bo... tęskniłam za nią.

– Powiedz mi, babciu – spytałam któregoś razu przy okazji jej wizyty – co tam słyhać u mojej rodzicielki? Nie odzywa się, a i ty na jej temat nie wspominasz...

– A co tu wspominać? – Staruszka wzruszyła ramionami. – Żyje. Chodzi do pracy, je, śpi, wszystko jest po staremu.

– Nie kłóćcie się już?

– Od twojej wyprowadzki nie bardzo mamy o co. No chyba, że przyjdą do mnie koleżanki, choć szczerze muszę przyznać, że od pewnego czasu raczej staram się im nie rzucać w oczy.

– To oczywiste – przyznałam. – Nosi w sobie hańbę mojej nieślubnej ciąży.

– No właśnie... – Babcia spuściła głowę ze smutkiem.

– Spokojnie, babciu. – Poklepałam ją po pomarszczonej dłoni. – Nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet wybierze się do góry.



Dojrzewiałam do tych odwiedzin całe trzy dni. W końcu nabyłam w cukierni elegancką bombonierkę i w dniu, gdy matka miała wcześniej wrócić z pracy, wybrałam się do niej z wizytą. Na mój widok aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Cześć, mamuś. – Cmoknęłam ją w policzek. – Dawno cię nie widziałam,

więc postanowiłam wpaść na chwilę...

– Wejdz w takim razie. – Matka zaprosiła mnie gestem do kuchni. – Przepraszam za bałagan, ale akurat robiłam sobie hennę na brwiach.

– Czemu sama, a nie u kosmetyczki? – zdziwiłam się, bo mama zawsze fundowała sobie wyłącznie profesjonalne zabiegi na twarz.

– Ostatnio zrobiła mi za mocną, a przy moich blond włosach nie można przesadzić z czernią – wyjaśniła.

Nie byłam pewna, czy mówi prawdę, czy może aż tak unika ludzi, że darowała sobie nawet dbałość o urodę.

– Proszę, to dla ciebie. – Położyłam czekoladki na stole. – Co u ciebie słychać?

– Co u mnie słychać? – Mama zmarszczyła świeżo zafarbowane brwi. – Ja myślę, że ty dobrze wiesz, co u mnie słychać. Zostałam kompletnie sama. Pies z kulawą nogą nie interesuje się moim losem, mogłabym tu umrzeć i świat by się o tym nie dowiedział! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

W sumie czegoś podobnego się spodziewałam.

– Czemu miałyś umierać? – spytałam trochę bez sensu.

– Bo może jestem chora na przykład? Nie przyszło ci to do głowy?

– Mamo... – Przypomniałam sobie teraz jej dziwne stany zmęczenia, podkrążone oczy i nienaturalną bladość. – Nie trzymaj mnie w niepewności, powiedz, coś ci dolega?

Zaniepokoiłam się nie na żarty, tym bardziej że zupełnie już zapomniałam o czynionych przez nią kiedyś aluzjach do swojego stanu zdrowia.

– Owszem, ale kogo to obchodzi – odparła z goryczą.

– Ale... co ci jest? Babcia o niczym mi nie wspominała.

– Bo jej też to nie obchodzi. A ja mam raka piersi. – Mamie zadrżały usta.

Poczułam narastające przerażenie, żal do siebie i wyrzuty sumienia, że nie dopilnowałam wówczas tej sprawy.

– Boże kochany, mamusi... Od kiedy o tym wiesz? Leczysz się jakoś? Czekasz na operację?

– Operację mam już za sobą.

– Jak to? Nic nie wiedziałam, że byłaś w szpitalu...

– A od kogo niby miałaś się dowiedzieć? – Matka wzruszyła ramionami. – Zostawiłaś mnie samą bez najmniejszych skrupułów! Nie sądziłaś chyba, że przyjdę cię o coś prosić?

Zrobiło mi się bardzo, bardzo przykro. A przede wszystkim miałam żal do babci, że mi nie powiedziała. Nawet jeśli kierowała nią troska o mnie. Bo niemożliwe, żeby mogła nie wiedzieć o chorobie mamy. Albo nie zauważyć jej nieobecności w domu, podczas gdy leżała w szpitalu onkologicznym...

– Mamuś, powiedz, jak mogę ci pomóc, co powinnam zrobić... Chcesz,

żeby wróciła do domu? – spytałam z przejęciem.

– Idź w swoją stronę i nadal zajmuj się sobą – odparła oschle matka. – Ja już się do swojej samotności przyzwyczaiłam. I do tego, że cokolwiek by się stało, muszę mierzyć się z tym sama, bez niczyjej pomocy.

– Ale mam, to przecież nie tak! Wiesz, jaka jest moja sytuacja...

– A ty nie wiesz, jaka jest moja. I raczej cię ona nie obchodzi. – Mama odtrąciła wyciągnięte do niej ręce, którymi zamierzałam ją objąć.

Właściwie nie pozostało mi nic innego, jak tylko nie pogarszać sprawy i wyjść. Tak też zrobiłam. Do domu... Do domu taty gwoli ścisłości wróciłam cała we łzach. Pani Teresa bez słowa objęła mnie i gładziła tkliwie po twarzy, ścierając z niej łzy.

– Co jest córcia? Co się stało? – Podbiegł do nas zaniepokojony tata.

– Dlaczego, do jasnej cholery, nikt mi o niczym nie powiedział? – Mój żal przerodził się w wyrzuty. – Wy też o niczym nie wiedzieliście? Tato? – Spojrzałam na niego przenikliwie.

– Ale... o czym... – zdumiał się ojciec i aż usiadł z wrażenia.

– O tym, że moja mama jest tak bardzo chora! – wykrzyczałam.

– Ach, o to chodzi – powiedział ojciec ze spokojem.

– O to! – wykrzyknęłam nie mogąc pojąć jego reakcji.

– Bo widzisz, córcia... Twoja matka jakiś miesiąc temu podeszła do mnie na ulicy i oznajmiła, że ma nowotwór. Naprawdę się tym zmartwiłem. Zaczęłam wypytywać co i jak, czy czegoś nie potrzebuje, zadeklarowałam, że mogę zawozić ją samochodem na badania, gdyby miała jeździć do szpitala wojewódzkiego, i od słowa do słowa podała mi nazwę tego nowotworu...

– Ja też o tym wiedziałam – przyznała pani Teresa. – Ale sama miałam zimą zeszłego roku identyczny „nowotwór” i uznaliśmy z ojcem, że nie ma cię co martwić. Miałaś wówczas dość własnych dramatów...

– Jakim prawem zatailiście to przede mną? A może chciałam jej towarzyszyć w szpitalu przed operacją, być przy niej, gdy wybudzi się z narkozy!

Tata i pani Teresa spojrzeli na siebie zmieszani.

– Nie było żadnej narkozy – powiedziała w końcu ona. – Taka „operacja” trwa raptem dwadzieścia minut i odbywa się przy znieczuleniu miejscowym. Wiem, bo sama przez to przeszłam. Twoja matka miała gruczolaka, takiego niezłośliwego guzka, z którym żyje mnóstwo kobiet. Ale gdy zostaje wykryty w późniejszym wieku, lekarze raczej zalecają jego usunięcie.

– To prawda, tato? – spytałam dla pewności, bo mój ojciec kompletnie nie umiał kłamać.

– Prawda, córciu. Gdyby było inaczej, nie dalibyśmy rady tego przed tobą ukryć. Babcia by ci powiedziała.

– Ale mi nie powiedziała...

– Bo nie było o czym. Joanna pojechała do szpitala taksówką i po godzinie tą samą taksówką wróciła. A że twoja matka ze wszystkiego potrafi zrobić dramat, to już inna sprawa.

Zupełnie nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Wierzyłam tacie i pani Teresie, nie mogłam jednak teraz zrozumieć postawy mamy. Chciała mnie nastraszyć? Uzmysłować, jak bardzo czuje się odrzucona, a może po prostu naprawdę była aż tak przejęta swoim stanem zdrowia? Gdy poruszyłam ten temat przy najbliższym spotkaniu z babcią, ta tylko machnęła ręką.

– Joanna zawsze lubiła być pępkiem świata – skomentowała. – Ale ty niestety, niechcący swoją ciężką zupełnie zdominowałaś uwagę całej rodziny. A to już było niedopuszczalne.



Mimo wszystko postanowiłam co jakiś czas odwiedzać matkę, nie wspominając, że wiem, na czym polegała jej choroba. Dla swojego własnego spokoju i dla spokoju sumienia. W czasie tych spotkań mama głównie opowiadała o sobie, o tym, jak jest jej ciężko samej i jak bardzo nie ma na kogo liczyć. Przekonywałam ją na początku, że ma przecież mnie, a ja zawsze chętnie się o nią zatroszczę, ale to zazwyczaj kończyło się wypominaniem, że zostawiłam ją i przeprowadziłam się do ojca. Na szczęście zupełnie wywietrzył mi z głowy pomysł, żeby na powrót zamieszkać w rodzinnym domu, zwłaszcza że wizyty u matki zawsze okupowałam bólem głowy i bliżej nieokreślonymi wyrzutami sumienia. Trwałam przy swoim, mając na względzie głównie dobro dziecka. Mama natomiast o moje samopoczucie pytała niezwykle rzadko i raczej zdawkowo.

– I po co ty do niej chodzisz – krytykowała mnie babcia. – Przecież tak naprawdę twoja matka nikogo z nas nie potrzebuje, świetnie sobie ze wszystkim radzi i nadal świetnie wygląda. No chyba że po to, aby obarczać wszystkich winą za wszystko.

– To jest moja mama, babuniu – dopowiadałam niezmiennie.

– No właśnie. To jest t w o j a mama, a nie ty jej – odpowiadała babcia.

W ostatnim miesiącu ciąży, gdy miałam już dość spore trudności z chodzeniem, (opuchły mi nogi, ręce i twarz), zaniechałam tych wizyt. Czas do porodu spędziłam w domu, pozostając na zwolnieniu lekarskim. Nudziłam się wówczas jak mops i leżałam, głównie słuchając radia, czytając książki lub grając na pianinie pani Teresy. Znalazłam sobie nawet rozrywkę... zaczęłam układać piosenki. Sama komponowałam muzykę i sama układałam do niej teksty, zadreczając śpiewem mieszkańców domu.

– A wiesz, że to całkiem niegłupie? – zauważyła któregoś razu pani Teresa,

stając w drzwiach z kubkiem kakao w ręce. – Wypij, to dla ciebie. Twój organizm potrzebuje magnezu – oznajmiła, stawiając kubek na pianinie.

– Co też pani opowiada – Roześmiałam się. – Ot, durne wierszydła do tanich melodii.

– Myślisz, że lepsze utwory królują na listach przebojów?

– Jasne, że lepsze – odparłam z przekonaniem, ale gdy pani Teresa poprosiła mnie o wymienienie kilku, miałam z tym spory problem.

To nie znaczyło oczywiście, żeby moje kompozycje były jakieś wyjątkowe, tylko że... nie przyszły mi na myśl żadne inne, które byłyby je na głowę.

– Zaśpiewaj to jeszcze raz – poprosiła pani Teresa. – To, co śpiewałaś przed chwilą.

Uderzyłam palcami w klawisze i zaintonowałam ckliwą pieśń o miłości, zdradzie i rozstaniu.

– Fajne – pochwaliła ponownie pani Teresa.

– Ale to przecież... taki dzok! Taka... satyra na mój własny los – zaprotestowałam.

– I co z tego? Może jest więcej podobnych losów i dziewczyn, które mogłyby się z nimi utożsamić...

– A tam – skwitowałam. – Raczej nie będą miały okazji.



Ale ponieważ życie bywa przekorne, stało się zupełnie inaczej. Leżąc sobie któregoś popołudnia w łóżku po sutym obiedzie, usłyszałam w radiu wywiad z liderem zespołu popowego, który wyjątkowo często zmieniał wokalistki. Robert, bo tak miał na imię ów człowiek, zaczął w którymś momencie utyskiwać, jak bardzo trudno jest w dzisiejszych czasach zdobyć dobrą kompozycję, chwytliwą, wpadającą w ucho, jednym słowem: noszącą znamiona przeboju. A właśnie przy nowej wokalistce nadarza im się dobry moment, by odświeżyć repertuar, a nawet pójść w nieco innym kierunku. Na przykład czegoś w rodzaju poezji śpiewanej.

– Akurat coś dla ciebie, Marzenko! – krzyknęła pani Teresa z kuchni.

– Ha, ha! – odparłam, uznając jej słowa za niezły żart.

– Co ci szkodzi spróbować? – Weszła do pokoju, wycierając uwalane mąką ręce w fartuch. – Nagraj to choćby na komórkę i im podeślij.

– No, chyba że pod pseudonimem – zaśmiałam się. – Co prawda nie mam znanego nazwiska, ale i takiego szkoda byłoby szargać...

Słowa pani Teresy jednak zrobiły swoje i coraz częściej zaczęłam sobie powtarzać, że „co mi to szkodzi”. Korzystając z okazji, że nazajutrz do południa nie było nikogo w domu, nagrałam na komputerze ojca byle jakie demo,

korzystając z mikrofonu do Skype'a, zgrałam na płytę, włożyłam ją do koperty, poczłapałam na pocztę i wysłałam na adres redakcji radiowej z prośbą o przekazanie panu Robertowi Słupińskiemu, zwanemu również w mediach Słupem. Lub Słupem-Słupińskim. Byłabym z pewnością o całym zdarzeniu zapomniała w kilka dni, ale zanim do tego doszło, zadzwonił do mnie... osobiście sam Słup-Słupiński! Początkowo nie byłam w stanie uwierzyć w to, co słyszę, bo mężczyzna zachwycał się moją twórczością, że tak powiem, nie przebierając w słowach: szczerze i soczyście. Dopytywał przy tym o mnie szczegółowo, o to, czy już kiedyś pracowałam z kimś „z branży”, czy aby muzyka i tekst, które mu przesłałam, są na pewno mojego autorstwa i takie tam, a w końcu zaproponował odkupienie mojego utworu. Suma, jaką podał, zwałaby mnie z nóg, gdyby nie fakt, że akurat siedziałam.

– Pan chyba żartuje – odpowiedziałam zduszonym głosem.

Wówczas nastąpiło jedno z tych nieporozumień, jakie widuje się głównie w filmach: facet opacznie zrozumiał moje słowa i podwoił stawkę. Milczałam, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Wówczas on dorzucił jeszcze trochę i oznajmił, że na razie nie może mi więcej zaproponować. Nie chcąc pogrążyć go bardziej, zebrałam się w sobie i wyraziłam zgodę. Gdy powiedziałam o tym pani Teresie, ta aż klasnęła w rękę.

– No, Marzenka! Kuj żelazo, póki gorące, a będziesz ustawiona do końca życia.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że moja córka jeszcze zrobi karierę! – podsumował tata, który przysłuchiwał się mojej relacji.

– Jasne – odparłam rozbawiona. – Miedzy pieluszkami i kaszkami. I w słuchawkach na uszach.

– A czemu nie? – podjęła pani Teresa. – Przy małym dziecku taka... chałupnicza, że tak powiem, robota jest najlepsza. Dasz radę, zobaczysz!

Umowa i przelew na moje konto od Słupa-Słupińskiego przyszły bardzo szybko. To zmotywowało mnie na tyle, że zanim wybrałam się do porodu, podesłałam mu jeszcze trzy utwory w podobnym stylu, wszystkie, które miałam już gotowe od czasu, gdy odkryłam w sobie pasję komponowania. Muzyk był w siódmym niebie, zamierzał nawet podpisać ze mną umowę na dłuższy czas, wpłacając sporą zaliczkę, ale wówczas uświadomiłam go co do mojego stanu i wyraziłam wątpliwość odnośnie naszej dalszej współpracy. Nie dał jednak za wygraną i dzwonił do mnie niemal codziennie, pytając o moje samopoczucie. Sytuacja była dla mnie niecodzienna, bo tym razem los dobijał się do mnie, chcąc mi dać coś od siebie, a nie jak dotychczas, czyli odwrotnie. Ale ja wówczas kompletnie nie miałam głowy do podejmowania innych decyzji niż te, które dotyczyły mojego mającego pojawić się lada chwila dziecka.

Piotruś przyszedł na świat pewnej chłodnej marcowej nocy. Kiedy poczułam

pierwsze bóle, zaalarmowałam cały dom, i tata zawiózł mnie do szpitala. Rzeczy dla dziecka i dla siebie miałam spakowane już od dawna. Oczywiście, jak każda kobieta bardzo bałam się tej chwili, przeczytałam wiele książek i artykułów o porodzie, wysłuchałam szczegółowej relacji Elki z tego wydarzenia i zażyczyłam sobie kilkukrotnego jej powtórzenia. Elka rodziła długo i boleśnie, Grzesiek, który miał jej towarzyszyć, w którymś momencie skapitulował i uciekł. Nie była to zatem opowieść podtrzymująca mnie na duchu. Pani Teresa mimo najszczerzych chęci nie mogła się podzielić ze mną swoim doświadczeniem, babcia natomiast robiła, co mogła, czyli modliła się w mojej intencji gorliwie, zamówiła nawet mszę.

Mój synek przyszedł na świat bardzo szybko i bez żadnych komplikacji, mimo że był dużym noworodkiem. Kiedy wzięłam go po raz pierwszy w ramiona, zobaczyłam w nim Nataniela. Dzidzius miał smagłą cerę, ciemne oczy, a na główce gąszcz czarnych włosów.

– Jesteś piękny – szepnęłam, a potem uświadomiłam sobie, że to podobieństwo prędzej czy później wszystko zdradzi.

Nie przejęłam się tym jednak. Zgodnie z obietnicą daną rodzicom Nataniela nie zamierzałam nikomu wyjawiać nazwiska ojca mojego synka. A jeśli miało się to wydać bez mojego udziału, cóż mogłam poradzić?

Na drugi dzień pod wieczór, kiedy zaliczyłam już wizytę swoich najbliższych, zjawili się u mnie jeszcze jedni niespodziewani goście. Najpierw w drzwiach pokazał się ogromny bukiet róż, a po nich... sam Robert Słupiński i cała reszta kapeli!

– Heloł, młoda matko, serdeczne wszystkiego najlepszego od Muza Service!
– złożył mi nieco zbyt głośno życzenia sam lider grupy.

Uniosłam się z pewnym trudem na łóżku i uśmiechnęłam się do nich, jeszcze nie bardzo wierząc własnym oczom.

– A oto bohater dnia? – Nowa wokalistka zespołu podeszła bliżej i spojrzała na Piotrusia.

– Raczej nocy – sprostowałam.

– Śliczny. Będzie z niego niezłe ciacho – zachwyciła się dziewczyna.

– Szkoda, że to facet – skomentował żartem wysoki chudy blondyn, o którym wiedziałam wówczas tylko tyle, że jest perkusistą zespołu.

Znałam ich wszystkich z widzenia, a konkretniej, jak to się mówi, „ze szklanego ekranu”.

Na oddziale położniczym zrobiła się mała sensacja, niemal wszystkie będące na dyżurze pielęgniarki przybiegały kolejno pod różnymi pretekstami obejrzyć moich gości.

– To może ja zabiorę na chwilę dzidziusia – zaproponowała jedna z nich, na co chętnie przystałam, nie chcąc fundować malcowi stresu za przyczyną moich hałaśliwych gości.

– Ej, przecież mamy dla niej prezent, byłabym zapomniała! – Wokalistka o wdzięcznym pseudonimie Dżeta sięgnęła do torebki.

– Na razie jeszcze robocza. – Wręczyła mi płytę w zwykłej białej kopercie. – Chcesz posłuchać?

– Obawiam się, że nie mam na czym – przyznałam.

– Przygotowaliśmy się na to, puścimy ci z komóry, w domu posłuchasz sobie na lepszym sprzęcie.

Słup podał mi telefon i rozległa się moja piosenka w ich wykonaniu. Dżeta miała świetny, mocny głos, a towarzysząca jej muzyka, znacznie bardziej wyrazista i mocniej brzmiąca niż pianino pani Teresy, nadały jej zupełnie inny charakter. Do standardowych instrumentów zespół włączył skrzypce i flet, co sprawiło, że mimo ostrych tonów utwór nie stracił na swoim romantyzmie. Byłam naprawdę zachwycona, nie wyobrażając sobie nawet wcześniej, że taki będzie efekt końcowy mojej zabawy w kompozytorkę.

– No? I powiedz teraz, że nie chcesz już z nami współpracować. – Robert uśmiechnął się szeroko na widok mojej miny.

– Chcę, jasne, że chcę, tylko nie wiem... czy podołam. W mojej sytuacji...

– W twojej sytuacji będziesz mogła wynająć sobie niańkę dla dziecka. – Nie pozwolił mi skończyć. – To będą prawdziwe hiciory, zobaczysz, mała. Teraz wypuścimy na rynek pilotażowego singla, ale mamy zamiar zebrać materiał na całą płytę. Z tobą, rzecz jasna, bo po prostu nie ma innej opcji.

– Pomyślę o tym – obiecałam, a Dżeta, jako jedyna przytomna dostrzegła, jak bardzo jestem już zmęczona ich wizytą.

– W takim razie myśl, ale wyłącznie pozytywnie. No, chłopaki, zbieramy się, matka musi odpocząć – zdecydowała za całą resztę.

Rozdział 20

Własny dom



W moje życie wkroczyły całkiem nowe, nieźle rokujące na przyszłość wyzwania: macierzyństwo i praca: przyjemna i świetnie płatna. W obu dziedzinach spełniałam się z przyjemnością, nie mając czasu ani ochoty na oglądanie się za siebie. A gdy pewnego razu zadzwonił do mnie Słup i zażądał, bym włączyła radio, a zaraz potem usłyszałam w nim swoją piosenkę z komentarzem redaktora o mnie jako o niezwykle utalentowanej kompozytorce i tekściarce, prawdziwym odkryciu i perełce zespołu Muza Service – coś dosłownie ścisnęło mnie za gardło. Przez zupełny przypadek zostałam osobą medialną, „perełką i odkryciem”.

Niestety, nie było wówczas w domu nikogo poza mną i Piotrusiem, dlatego ojciec i pani Teresa mogli się zadowolić wyłącznie moją relacją. Oboje byli ze mnie bardzo dumni. Babcia na tę okoliczność kupiła sobie nowe, porządne radio z odtwarzaczem CD. A kiedy piosenki Muza Service zaczęły piąć się w górę na listach przebojów, posypały się propozycje od innych zespołów, a nawet solistów. Zespołom przeważnie chodziło o same teksty, solistom o całe kompozycje. Okazało się, że jest to dla mnie świetny biznes, oprócz honorariów od zlecniodawców dostawałam również całkiem nieźle tantiemy. W pół roku od wysłania Słupowi pierwszej próbki moich możliwości stałam się całkiem zamożną osobą. Oczywiście w moim pojęciu, bo różni ludzie różnie to widzą: było mnie po prostu stać na wiele rzeczy, o których dotąd mogłam jedynie pomarzyć.

Oczywiście najważniejszy ze wszystkiego był mój synek, to jemu poświęcałam najwięcej czasu, a gdy już byłam zmuszona popracować w ciągu dnia, oddawałam go pod opiekę pani Teresy. O żadnych niańkach nie było mowy, tym bardziej że przyszywana babcia Piotrusia jako nauczycielka mogła przejść na wcześniejszą emeryturę i tak też ze względu na niego uczyniła. Muszę przyznać, że podeszłam do tego mocno sceptycznie, obawiając się, żeby nie powtórzyła się historia jak z mamą i panią Orianą, ale Teresa okazała się zbyt mądra, by stracić kontrolę nad swoimi uczuciami do małego, ja zaś – niezwykle czujna, bo nauczona na cudzych błędach.

Piotruś chował się zdrowo, rozwijał świetnie i każdego dnia przysparzał mi wiele radości. A kiedy skończył dwa lata, po raz pierwszy wybrałam się na krótką trasę koncertową z kapelą Słupa, by na własne oczy zobaczyć, jak reaguje publika na nasze piosenki. Piotruś został po raz pierwszy na całe trzy dni pod opieką „dziadków”, czyli taty i jego żony. Mimo że bardzo tęskniłam za dzieckiem, nie

pożalowałam, bo atmosfera koncertów i odbywających się po nich afterparty była doskonała, niemal rodzinna i to, co wtedy przeżyłam, pozwoliło mi naładować akumulatory na dłuższy czas. Gdy mój synek miał już trzy lata, wybierałam się w podobne trasy nieco częściej, a jego czasem zabierałam ze sobą. Pewnego razu, gdy już wracaliśmy, w jakiejś małej miejscowości pod Krakowem dostrzegłam wbity w kawał szczyrego pola tabliczkę z napisem „na sprzedaż”.

– Hej, hej, zatrzymajcie się tu natychmiast! – zażądałam, bo zmusił mnie do tego nagły impuls.

Wysiadłam z busa i spisałam z ogłoszenia numer telefonu. Jeszcze w czasie jazdy zadzwoniłam do właściciela ziemi i dobiłam targu.

– No co ty, Marzenka, buraki zamierzasz pod Krakowem hodować? – zaśmiał się Robert, który słyszał moje negocjacje.

– A, nie, wyobraź sobie! Tu sobie wybuduję dom i tu osiadę – oznajmiłam bardzo pewna tego, co mówię.

– Wiesz, ile to zachodu? Nie lepiej kupić coś gotowego? Gdzieś bliżej ciebie, żeby mieć kontakt z rodziną?

– Moją rodziną jest Piotruś. Reszta będzie mogła mnie odwiedzać, nawet na dłużej, bo to będzie bardzo duży dom. – Roześmiałam się z przekorą.

– No cóż. My wobec tego, z twoją oczywiście i bożą pomocą kupimy helikopter, by nie tracić za dużo czasu na dojazd – skomentował Tomek, basista.

– Wobec tego musisz ująć w projekcje lądowisko na dachu – zarechotała Dżeta.

– Się robi – odparłam i dalszą część drogi spędziłam, projektując w głowie mój własny dom.



Budowa mojego domu rozpoczęła się jeszcze pod koniec lata. Nadzorował ją ojciec, który wreszcie miał zajęcie godne swoich ambicji. Byłam zatem spokojna, że wszystko będzie zgodne z projektem i że zanim stanie dom, będzie otaczał go bujny, kolorowy ogród. Musiałam wziąć w banku kredyt, bo nie zarobiłam aż tyle, by móc sfinansować budowę z własnych środków, ale jego spłacanie nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Mniej więcej w tym czasie niezwykłą propozycją zaskoczyła mnie matka. Zadzwoniła i zaproponowała, żebyśmy razem z Piotrusiem wprowadzili się do niej.

– Dziecko rośnie, potrzebuje przestrzeni, po co macie się gnieździć wszyscy w tej kurnej chacie – argumentowała, oczywiście nie darując sobie złośliwości.

Zdziwiła mnie ta nagła zmiana frontu, bo mama do tej pory jakoś nie kwapiła się do roli babci. Widziała Piotrusia raptem cztery razy od jego przyjścia

na świat. I to wyłącznie z mojej inicjatywy.

– Przecież dzieci cię irytują – i ja sobie pofolgowałam, powtarzając wypowiedziane przez nią zdanie, gdy odwiedził mnie Adaś.

– No... nie przeczę, dzieci bywają męczące, ale to przecież... mój wnuk. A to zupełnie inna sprawa – zaczęła jakby tracić rezon.

– Szczerze mówiąc, mam, nie mogę skorzystać z twojej propozycji, choćbym chciała, bo właśnie buduję własny dom. Jak dobrze pójdzie, na wiosnę się do niego wprowadzę – powiedziałam.

– Budujesz dom? Gdzie? – zainteresowała się mama.

– Niedaleko Krakowa. W przepięknym miejscu, wręcz wymarzone. Blisko miasta, ale cicho, spokojnie i zielono jak na wsi.

– To... to wspaniała wiadomość, córko! – Mama naprawdę się ucieszyła. – Wpadnijcie do mnie z Piotrusiem wieczorkiem, pogawędzimy sobie przy kawie.

– Dobrze – zgodziłam się, bo nie miałam niczego innego w planach.

Mama wyglądała kwitnąco i radośnie. Ucieszył mnie taki jej widok. Stół zastawiła jak dawniej, wytwornie i „na bogato”. Były zatem owoce morza, a nawet kawior, egzotyczne sałatki i zupa z ośmiorniczek. Tak wyglądało pojęcie mamy o elegancji i „klasie”.

Na stole stały trzy zastawy.

– Spodziewamy się kogoś jeszcze? – spytałam.

– Nie, przecież jest nas troje – zdziwiła się mama.

– Ale Piotruś takich rzeczy niestety nie jada. Jeszcze nie zagustował we frutti di mare – uświadomiłam ją.

– W ogóle nie jada?

– Jada, ma tylko... nieco inny gust. Ale nie martw się, mam wszystko ze sobą.

– Ach, taki jesteście grymaśnik... – Mama uśmiechnęła się do Piotrusia i pogładziła go po główce.

– Ja za to chętnie się poczęstuję, dawno się u ciebie nie stołowałam – powiedziałam, by nie robić jej przykrości, i sięgnęłam po talerzyk.

Piotrusia posadziłam na podłodze na kocyku i obłożyłam ulubionymi zabawkami.

– Co u ciebie? – spytała tym razem jako pierwsza mama.

– Bo ja wiem? Normalnie, spokojnie, raczej bez problemów – odparłam, choć byłam pewna, że ona dobrze wie, co u mnie słyhać.

– Wiesz, otworzyłam kiedyś w sklepie jakieś kolorowe czasopismo, patrzę, a tam moje nazwisko! – Po chwili sama to potwierdziła.

– Moje też, jakby nie było – dodałam skromnie.

– No tak, bo nazwisko masz po mnie – przytaknęła.

– Po tacie – sprostowałam ponownie.

Tego mama już nie skomentowała.

– A więc jednak robisz muzyczną karierę... Moje starania nie poszły na marne. – Spojrzała na mnie, a ja dostrzegłam w jej oczach coś na kształt satysfakcji.

– Pewnie nie taką, o jaką ci chodziło, ale myślę, że i to można nazwać jakąś karierą – odparłam.

– Jakaś? – ożywiła się matka. – Wszędzie cię ostatnio pełno: w telewizji, w radiu, w prasie... Masz pieniądze. To nie jest „jakaś” kariera. To jest sława!

– No to z grubsza wiesz, co u mnie słyhać – zauważyłam.

– Trudno nie wiedzieć. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– A ty? Jak żyjesz? – spytałam, by choć przez chwilę odwrócić jej uwagę ode mnie. – Jak zdrowie?

– Och, na szczęście już lepiej, staram się żyć i odżywiać racjonalnie i to skutkuje. Chyba nawet wróciłam do dawnej formy, nie sądzisz?

– Jak najbardziej. Wyglądasz wspaniale.

– Tylko... doskwiera mi już to życie w mieście, smog, hałas, obawiam się, że w tych warunkach niedługo nacieszę się dobrym samopoczuciem – westchnęła ze smutkiem.

– U nas w mieście? Smog? Hałas? Gdzie ty widziałaś takie rzeczy? – zdziwiłam się, bo tu, a zwłaszcza w naszej dzielnicy, ruch samochodowy panował minimalny. Było też wyjątkowo cicho.

– A ty nie widzisz? Jest coraz jest więcej aut, to już nie te same ulice, co w twoim dzieciństwie.

Nie polemizowałam z tym, choć jej opinia była bardzo mocno przesadzona.

– Chciałabym, jak pójść na emeryturę, a to już niedaleko, móc zaszyć się gdzieś z dala od tego zgiełku, poobcować z naturą, wyciszyć się wreszcie – kontynuowała.

Powoli i z narastającym przerażeniem zaczęłam sobie uświadamiać, do czego zmierza. Miałam nieodparte wrażenie, że mojej matce się zamarzyło, aby zamieszkać ze mną w moim nowym domu. Ale dopóki nie mówiła o tym wprost, udawałam, że nie rozumiem.

– Spójrz... – Mama sięgnęła za siebie i zdjęła z półki gruby segregator. – Tu zbieram wszystkie wycinki prasowe na twój temat. Nie jest jeszcze pełny, ale jestem przekonana, że niedługo będzie.

– To miłe – odparłam zdawkowo. – A gdzie się babcia podziewa?

Liczyłam na to, że jak zwykle wtargnie w najodpowiedniejszym momencie i powie coś takiego, na co ja bym się nie odważyła.

– Szlaja się jak zwykle. – Matka machnęła pogardliwie ręką. – Chyba poszła do kościoła.

– W kościele się szlaja?

– Nie, po kościele. Ze swoimi psiapsiółkami – uściśliła.
– Dobrze, że ma swoje towarzystwo. Gorzej by było, jakby siedziała w domu skwaszona i upierdliwa – zauważyłam.
– Szanująca się kobieta w jej wieku nie powinna mieć towarzystwa.
– Ty nie masz? – spytałam.
– W życiu jest czas i na towarzystwo, ale jest też na przyjęte z pokorą, godne spędzanie samotności, jeśli los tak zechce.
– Wiesz co mam? Piotruś chyba robi się śpiący, będziemy musieli się zbierać – powiedziałam, choć mój synek bawił się grzecznie na kocyku, nie absorbując mnie sobą zupełnie.
– No cóż, wobec tego mam nadzieję, że wkrótce znów mnie odwiedzicie?…
– spytała matka z nadzieją w głosie.
– Jasne, z przyjemnością, ale wcześniej się zapowiem telefonicznie – obiecałam.
Wiedziałam, że nie bardzo będę miała chęć dotrzymać tej obietnicy, a w każdym razie nieprędko. Pozbierałam rzeczy Piotrusia i z nim samym pod pachą wyszłam przed dom, gdzie zostawiłam wózek, prezent od przyjaciółek. Mama odprowadziła nas do furtki i pomachała na pożegnanie.



Kilka dni później, bo zdarzenia o podobnym charakterze występują raczej parami, spotkałam na spacerze matkę Nataniela. Wybrałyśmy się z Elką i wózkami na planty, żeby pogawędzić i skorzystać z ładnej pogody. Pani Tyliczowa nadeszła z naprzeciwka. Nie odpowiedziała mi na dzień dobry, przeciwnie, demonstracyjnie przeszła na drugą stronę, nie spojrzawszy nawet na Piotrusia.

– A to flądra – skomentowała Elka. – Ale o co jej chodzi?
– Bo ja wiem. – Wzruszyłam ramionami, ponieważ w przeciwieństwie do mojej koleżanki doskonale wiedziałam.

Tyliczowa najprawdopodobniej winiła mnie za to, że została babcią, i choć nie miała ze swoim wnukiem nic wspólnego, pewnie raził jej poczucie prawości samym swoim istnieniem.

– A wiesz? – Elka się zaśmiała. – Jakbym nie wiedziała, skąd masz to dziecko, powiedziałbym, że jest Nataniela. No spójrz tylko na niego, jaki podobny!

– Zdaje ci się. Może jego tatuś był w podobnym typie i tyle. W końcu typ to tyle co gust, a z gustami się nie dyskutuje.

– Fakt – przyznała Elka i przeszłyśmy na temat dzieci.

Ta rozmowa uświadomiła mi, jak bardzo Piotruś zaczyna przypominać Nataniela. Od urodzenia był do niego podobny, a teraz, gdy jego główka pokryła

się ciemnymi lokami, przypominał go już do złudzenia. Ale że pod latarnią najciemniej, najmniej kojarzyli to moi najbliżsi. Moje koleżanki natomiast, które o niczym nie wiedziały, dotąd jeszcze nad tym podobieństwem nie zaczęły się zastanawiać. Poza tym jednym spostrzeżeniem Elki więcej podobnych uwag nie miało już miejsca z ich strony. Ale cóż ja mogłam poradzić na to, że ten czy ów mimo wszystko zacznie coś kojarzyć? Przecież nie mogłam dzieciaka golić na łyso ani tlenić mu włosków. I... w końcu stało się to, co było nieuchronne.

Kilka dni po spotkaniu Tyliczowa zaszczyciła mnie swoją wizytą osobiście. Pani Teresa początkowo nie chciała jej wpuścić, ale poprosiłam ją, żeby zmieniła zdanie i zostawiła nas same. To przy uporze i determinacji matki Nataniela i tak nie rozwiązałyby sprawy. Piotruś bawił się w pokoju obok, a ja starałam się skupić, by napisać jakiś sensowny tekst.

– Coś mi się zdaje, że ktoś tu jest nie w porządku – podjął temat mój gość.
– W jakim sensie? – zdziwiłam się.
– Obiecałaś, że nie będziesz się odgrywała, a w mieście aż huczy od plotek, że ojcem twojego dziecka jest mój syn!

– Naprawdę? – zdziwiłam się autentycznie, bo nie miałam o tym pojęcia.
– Nie rób idiotki z siebie i ze mnie – syknęła kobieta. – I pamiętaj, że ja nie pozwolę zniszczyć Natanielowi kariery.

– Kariery? – zdziwiłam się, bo pewnie był już wikarym. Zaledwie wikarym, a droga awansu w kościele nie była tak prędką, jak w życiu świeckim.

– Kariery. Nie sądzisz chyba, że chłopak poprzestanie na probostwie w jakiejś zapyziałej wsi. Przed nim daleka droga, ale już wyraźnie nakreślona.

– Więc życzę mu powodzenia – odparłam, a cała ta sytuacja paradoksalnie trochę mnie rozbawiła.

– Słyszysz, o czym ja mówię? – Kobieta zbliżyła się do mnie niebezpiecznie.
– Ostrzegam cię, że każda próba szkalowania mojego syna nie skończy się dla ciebie dobrze. A nuż okażesz się złą matką i sąd odbierze ci dziecko?

Stałam jak wmurowana. Takiego obrotu sprawy nie przewidziałam w najczarniejszych snach. Czułam, że Tyliczowa byłaby się w stanie do czegoś takiego posunąć i być może miała nawet na tyle znajomości, żeby spełnić swoją groźbę. Jeśli nawet nie ona, to jej ustosunkowani krewni. W tym momencie usłyszałam głos Piotrusia. Odwróciłam się za siebie i ujrzałam mojego synka bardzo czymś podekscytowanego.

– Mama, mama, zobacz, jaki pociąg zbudowałem! – Ucieszony wyciągał ku mnie rączkę, chcąc zaprowadzić mnie do swojego dzieła.

Dostrzegł jednak panią Tyliczową i nagle zmienił kierunek. Stał naprzeciw niej i jeszcze raz, trochę zdezorientowany powiedział: „Mama, zobacz...”. Tyliczowa również znieruchomiała w jednej chwili. Patrzyła w dzieciaka jak zaczarowana, a w końcu wyszeptała zdumiona:

– Natek... Natus...

– Nie proszę pani, to jest Piotruś... – Złapałam malca w ramiona. – A jeśli chodzi o mnie, nie mam pojęcia, skąd te plotki o jego ojcu.

Wyszłam do pokoju obok, zamykając za sobą drzwi. Po chwili usłyszałam, że Tyliczowa również wychodzi.

– Wybacz, Marzenko – powiedziała pani Teresa, wchodząc po cichu – ale nie mogłam się oprzeć i... trochę nadstawiłam ucha.

– Nie ma sprawy – odparłam. – Dziękuję ci, syneczku, dziękuję, skarbie mój jedyny!

Złapałam dzieciaka w objęcia i całowałam niemal do utraty tchu. Piotruś śmiał się w głos zadowolony, mimo że niczego nie rozumiał.

– No, mały! To był kawał dobrej roboty! – Pani Teresa się roześmiała. – Żadna z nas by podobnego fortelu nie była w stanie wymyślić.

– W rzeczy samej – przyznałam. – Chyba się teraz baba ode mnie odczepi raz na zawsze.

Podobieństwo Piotrusia do Nataniela wywarło na jego babce piorunujące wrażenie i to nie ulegało wątpliwości. Natomiast jak owo wrażenie miało się przełożyć na całą sprawę, tego nie byłam w stanie przewidzieć. W każdym razie na chwilę wszystko ucichło. Za to po paru dniach przyszła na nazwisko Piotrusia wielka paczka. Domyśliłam się jej pochodzenia i odmówiłam przyjęcia. Na tym wszystko na dłuższy czas się zakończyło.



Późną jesienią mój dom już stał. W stanie surowym co prawda, ale wszystkie prace wewnątrz mogły odbywać się i w czasie najsroźszej zimy. Była więc nadzieja, że uda mi się do niego przeprowadzić jeszcze przed nastaniem wiosny. Cieszyłam się na to ogromnie, bardzo chcąc zostawić za sobą wszystko, poza Piotrusiem, w tym mieście. Oczywiście z zamiarem jak najczęstszego goszczenia u siebie tych, i tylko tych, na których towarzystwo miałam ochotę. Niestety, coraz niechętniej zaliczałam do tego grona matkę. Teraz ona dla odmiany szukała ze mną kontaktów przy wszelkiej sposobności, coraz śmieiej wspominając przy tym o chęci przeprowadzenia się razem ze mną. Stawiała mnie tym samym w bardzo niezręcznej sytuacji, bo nie brałam kompletnie pod uwagę takiej możliwości. Nie wyobrażałam sobie życia z matką pod jednym dachem, tym bardziej że już zupełnie od niej odwykłam i nauczyłam się żyć po swojemu. Pieniądze, które zarabiałam, pisząc najzwyczajniejszy pop, dały mi poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy nie dostałam od rodziców. Zamierzałam zacząć życie, w którym wszystko zależało będzie wyłącznie ode mnie, a w nim nie mogło być przyzwolenia na

granie na moich uczuciach czy innego rodzaju emocjonalny szantaż. Wszystko, co widziałam wokół siebie w przyszłości, miało być szczere i uczciwe – choć i niełatwe. Matka jednak uparcie snuła swoje wizje, nigdy dotąd nie pytając mnie otwarcie o zdanie.

– Weź ty ją, wnusiu, w końcu uświadom, bo potem będzie za późno – radziła babcia. – Zobaczysz, doprowadzisz do tego, że już nie będziesz mogła jej odmówić.

Babcia oczywiście miała rację, ale ja na razie to odkładałam, zawsze do następnego razu. Wreszcie staruszka przyparła mnie do muru. Któregoś razu, gdy wpadłam w odwiedziny, rozsiadła się przy stole i ani myślała pozbawić nas swojego towarzystwa. Kiedy tylko pojawiał się temat mojej przeprowadzki, babcia kopała mnie pod stołem. Postanowiłam załatwić rzecz dyplomatycznie.

– Ale nie martwcie się naszym wyjazdem, bo przecież będziemy was odwiedzać – zasugerowałam w odpowiednim momencie.

– Jak to... odwiedzać? – Mama nie była w stanie ukryć rozczarowania.

– No, odwiedzać! Normalnie, przecież nie wyjeżdżamy za granicę, prawda, Piotrusiu? – zaśmiałam się sztucznie.

Dzieciak posłusznie skinął głową, nie wnikając w sprawę.

– A więc... pozostawisz mnie samą po raz drugi? – spytała z wyrzutem matka.

– No przecież jest babcia – odparłam pozornie beztrąsko.

– Babcia... – powtórzyła mama jak echo. – No jasne. A ja głupia liczyłam, że zaopiekujesz się mną na starość. No cóż, w sumie mogłam się tego spodziewać...

– A ty, Joasiu? Zostawiłabyś mnie tu samą? Jakby nie było, też chciałabym liczyć na czyjąś opiekę. Mam już, moja droga, osiemdziesiąt dwa lata. To ja jestem stara, a tobie jeszcze do tego daleko!

Mama spojrzała na babcię i zarumieniła się mimo woli.

– Ty... ty się jeszcze całkiem dobrze trzymasz – wypaliła.

– Oczywiście. W przeciwieństwie do ciebie... – Babcia złapała mamę za rękę i siłą zaprowadziła do lustra. – Widzisz? To ja, kwitnąca i tryskająca energią, a obok mnie ty, wrak człowieka!

– Oczywiście, że wrak! – podjęła mama. – Doskonale wiesz, przez co nie tak dawno przesłam.

– No właśnie, Joasiu. Doskonale wiem i dlatego nie uważam, byś musiała zwać się na kark swojej córce i żądać od niej opieki. Jesteś zdrowa jak koń!

Babcia również dostała wypieków na twarzy, a Piotruś, do tej pory w milczeniu obserwujący całą tę scenę nagle zaczął popłakiwać. Zabrałam dzieciaka czym prędzej, zanim zmogłyby się rozegrać bardziej drastyczne sceny.

– Boże, byle dalej, byle wreszcie jak najdalej stąd – szeptałam, znosząc

dzieciaka ze schodów.

Rozdział 21

Ostatnia chałtura



Mój dom był piękny. Urządzony ze smakiem, ale bez pretensjonalnego przepychu. Mieszkało nam się w nim z Piotrusiem doskonale, ale ponieważ jego lokalizacja była nieco na uboczu, postanowiłam jak najprędzej zrobić prawo jazdy i kupić samochód. Poza tą małą niedogodnością mieliśmy tu wszystko, czego nam trzeba. Udało mi się nawet zapisać synka do prywatnego przedszkola, które mieściło się całkiem niedaleko, ot dziesięć minut drogi na piechotę. Mimo że miałam dla niego czas, bo pracowałam w domu, nie chciałam, by chował się jak odludek, z dala od rówieśników. Dzieciak spędzał czas w przedszkolu chętnie, bawił się, uczył piosenek i wierszyków, jeździł z grupą na wycieczki. Do domu, czyli do taty i pani Teresy, dzwoniłam niemal codziennie dopytując, co u nich słysząc i czy czegoś im nie potrzeba. Do babci również. Tylko mama nie odbierała ode mnie telefonów.

Któregoś jednak razu przyszedł od niej list, bardzo dramatyczny w tonie, w którym opisywała, jak bardzo jest chora i jak źle się czuje. W pierwszej chwili zamierzałam zadzwonić do babci i zapytać o jej stan zdrowia, doszłam jednak do wniosku, że mogłoby to znów wywołać między nimi niepotrzebną sprzeczkę. Kolejny telefon ode mnie matka już odebrała. Utyskiwała głównie na swój system nerwowy, bezsenność, lęki, brak apetytu. Mówiła, że jeśli już uda się jej zasnąć, miewa koszmary, przeważnie o czekającej ją śmierci w osamotnieniu i ubóstwie. Szczerze mówiąc, podobne opowieści robiły już na mnie coraz mniejsze wrażenie, jednak czasem jeszcze udawało jej się wpędzić mnie w wyrzuty sumienia. Postanowiłam, że ustalę w końcu jakiś termin, wsiądę w pociąg i ją po prostu odwiedzę.

Wybierałam się do tego wyjazdu jak przysłowiowa sójka za morze, ale pewnego razu przypadek sam pomógł podjąć mi konkretną decyzję. Otóż moja przyjaciółka Beata wybierała się za mąż. Nie przewidywała jakiegoś hucznego wesela, ale za to chciała, żeby msza ślubna była jak najbardziej uroczysta. Zwróciła się do mnie, mimo że dawno nie robiłam już takich rzeczy, abym zagrała na jej ślubie, jak niegdyś dla Elki. Oczywiście zgodziłam się z radością. Uprzedziłam ojca, że wpadnę do nich na przyszły weekend, a babcię poprosiłam, by załatwiła z proboszczem co trzeba.

Najwięcej radości miał z tej wizyty Piotruś. Biegał po domu i hasał po ogrodzie, odwiedzając wszystkie dawno niewidziane zakątki. I mimo że miał

u siebie piękną, dużą huśtawkę, z tej zapamiętanej z wczesnego dzieciństwa niemal nie schodził. Zostałam go więc całkiem spokojnie pod opieką taty i najpierw postanowiłam zejść do rodzinnego domu, by zobaczyć, co tak naprawdę słychać u mamy, a także dowiedzieć się od babci, na kiedy ustaliła z proboszczem próbę mojego grania.

Mamę zastałam na leżaku w ogrodzie, opalającą swoje całkiem jeszcze młodo wyglądające ciało. Obok niej stała butelka wina i pusta lampka. Jej niemal już mahoniowa, gładka skóra nie nosiła najmniejszych śladów choroby.

– Cześć, mamus – przywitałam się, co zmusiło ją do otwarcia oczu.

– Marzenka? – Mama była wyraźnie zaskoczona. – A co ty tu robisz?

– Przyjechałam cię odwiedzić. Wiesz, bardzo zmartwił mnie twój stan zdrowia – odpowiedziałam, lustrując ją demonstracyjnie.

Mama prędko zakryła się sukienką.

– Mogłaś mnie uprzedzić – powiedziała.

– Chciałam zrobić ci niespodziankę. Ale widzę, że jesteś w świetnej formie. Jest babcia? – Nie chciałam dłużej rozwodzić się na temat jej samopoczucia, zwłaszcza że wezbrała we mnie nieopanowana złość. Gdyby nie to, że przyjechałam również na ślub Beaty, pewnie bym w końcu wybuchła.

– Jest u siebie – odparła mama i weszła razem ze mną do domu.

Babcia przywitała mnie, jakbyśmy się nie widziały najmniej parę lat, i poczęstowała plackami ziemniaczanymi usmażonymi specjalnie na moją cześć.

– Ty wiedziałaś, mamu, że Marzenka przyjeżdża? – spytała mama z wyrzutem.

– Wiedziałam. Ale sama słyszałaś, że chciała zrobić ci niespodziankę... – odpowiedziała z uśmiechem babcia, która pewnie swoim zwyczajem podsłuchiwała naszą rozmowę.

– O której mam być u księdza? – spytałam.

– Pójdziemy, jak zjesz.

– Po co ty masz iść do księdza? – zaciekała się mama.

– Żeby dać na mszę za twoje zdrowie – odparła babcia z powagą. – Tam, gdzie doktorzy już nie poradzą, zostaje tylko modlitwa...

– A ty jak zawsze przeciwko mnie! – syknęła matka ze złością. – Jak zawsze! Aby tylko ośmieszyć, narobić wstydu! Masz w tym jakiś swój cholerny cel czy jak?

– Nie, Joasiu. – Babcia odwróciła się wolno w jej stronę. – Ja nigdy nie byłam przeciw tobie. Przypomnij sobie, moja droga: czy to nie tobie się zdarzało wypierać przed ludźmi własnej matki?

– Bo... bo jesteś prymitywną wiejską babą i nigdy nie zrobiłaś niczego, żeby to zmienić! – wybuchła ze zdwojoną energią.

– Czyli co?

– Dać się ucywilizować, ogłodzić. Zadbać o wygląd. To takie trudne?!

– Mamo, babciu, proszę, dajcie spokój – próbowałam zapobiec dalszej kłótni.

– Nie tym razem, wnusiu – zaoponowała babcia i znów zwróciła się do matki. – Weź więc pod uwagę, Joanno, że być może i ty nie spełniasz oczekiwań swojej córki. Ucywilizowana, wyglądająca, ale może jednak nie taka, jaką chciałaby cię mieć Marzenka.

Matka na chwilę zaniemówiła. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby sugestia babci nie mogła jej się pomieścić w głowie.

– To... prawda, Marzenko? – spytała w końcu.

– Owszem – odparłam trochę wbrew sobie. – Ale nie martw się, mamo, ja nigdy się ciebie nie wyprę.



Proboszcz już na nas czekał.

– My idziemy z Marzenką na chór, a ty, Anielka, idź przed ołtarz i odmów parę zdrowasiek – zarządził.

Gdy rozłożyłam nuty i miałam zacząć grać, proboszcz trącił mnie łokciem i zapytał szeptem:

– Marzenko, czy to prawda, że ojcem twojego dziecka jest Nataniel Tylicz?

Spojrzałam na niego baranim wzrokiem. Czego jak czego, ale takiego pytania się nie spodziewałam. A już szczególnie ze strony proboszcza.

– Odpowiem tak – postanowiłam po chwili – nie potwierdzę ani nie zaprzeczę. Chyba że ksiądz zamierza mnie tu wyspowiadać.

– Nie myśl sobie, że kieruje mną zwyczajne wścibstwo, pytam, bo... Może powinienem powiedzieć ci to, co dla innych na razie jest tajemnicą. On tutaj wraca.

– Tu? To znaczy gdzie? Do domu? – spytałam zaskoczona.

– Nie. Na parafię. Matka mu to załatwiła.

– Tak za nim tęskni?

– Hm... – zafrasował się proboszcz. – Raczej chce mieć go na oku. Nataniel ma... pewnego rodzaju problemy.

– To znaczy?

– No wiesz... Chyba nie bardzo mu szło z udźwignięciem posługi kapłańskiej, bo podobno jeszcze przed święceniami zaczął zaglądać do kieliszka. Pokrótkie można powiedzieć, że chłopak się rozpił. Zwierzchnicy nie chcą stawiać na nim krzyżyka, robią, co mogą, żeby pomóc mu z tego wyjść. Dlatego przez jakiś czas będzie tu. Być może w rodzinnym mieście, pod okiem rodziców i znajomych się zreflektuje i otrząśnie...

A tymczasem po zasłyszanych wieściach otrząsnąć musiałam się ja, by w ogóle być w stanie cokolwiek zagrać.

– Ale to chyba nie on będzie dawał ten ślub? – spytałam z lękiem.

– Nie, nie. On przyjeżdża dopiero w poniedziałek. Nie wiem, jak długo ty tu zamierzasz zostać, więc informuję cię na wszelki wypadek.

– Bardzo księdzu dziękuję – szepnęłam, widząc z góry, że babcia zamiast się modlić, wciąż spogląda w naszą stronę.

Byłam mu naprawdę wdzięczna za tę informację, bo zamierzałam wrócić do domu właśnie w poniedziałek. Dzięki niej ewentualny widok Nataniela już mnie nie mógł zaskoczyć.



O przyjeździe Nataniela chyba rzeczywiście nie wiedział nikt, bo gdyby było inaczej, wiedziałyby i moja babcia. Ona jednak była niczego nieświadoma. Oczywiście próbowała wyciągnąć ze mnie, o czym rozmawiałam z proboszczem, ale powiedziałam jej, że wyłącznie o ślubie Beaty, a ona uwierzyła.

To, co usłyszałam od księdza proboszcza, nie dawało mi jednak spokoju. Pewnie powinnam mieć satysfakcję, że tak, a nie inaczej potoczyły się losy mojego byłego chłopaka, jeszcze większą ze względu na jego rodziców, ale nie odczuwałam jej zupełnie. Chyba było mi go nawet żal, bo właściwie to nie on sobie zgotował sobie takie życie, choć z drugiej strony mógł przecież się zbuntować i pójść swoją drogą. Może po prostu był za słaby...

– Za słaby? – zdumiała się pani Teresa, bo tylko jej powiedziałam o nowinie.

– Nie, Marzenko, to nie słabość, to konformizm i wygodnictwo. I tyle na ten temat. A że zaczął szukać pocieszenia w alkoholu? To właśnie jest słabość.

Z roztargnieniem szykowałam się na ślub Beaty i o mało nie poszłabym w nieuprasowanej sukience. Na szczęście nad wszystkim czuwała pani Teresa, widząc po mnie chyba, jak bardzo nie mogę się na niczym skupić.

– Wezmę z sobą Piotrusia – zdecydowałam w ostatniej chwili. – Nigdy nie widział mnie grającej na organach, może ma jedyną okazję.

– A jak będzie się nudził? Może cię rozpraszać – wyraziła obawę pani Teresa.

– O, nie, na pewno nie jest gorszym melomanem niż pani siostrzeniec Adaś.

Ciepło mi się zrobiło na sercu, gdy przypominałam sobie jego natchnioną buzię i jego samego, siedzącego bez ruchu, wsłuchanego w moją grę.

Zabrałam z sobą Piotrusia również z innego powodu, jego obecność miała pomóc mi zapomnieć choć na chwilę o sytuacji Nataniela oraz mobilizować do jak najlepszego grania. Mój synek wywiązał się ze swojej roli znakomicie. Patrzył na

mnie przez cały czas z dumą i podziwem, a ja patrzyłam z dumą i podziwem na niego. Zagrałam bardzo dobrze. Czułam to i goście weselni też tak to odebrali. Co jakiś czas jakaś głowa odwracała się w stronę chóru, próbując dostrzec, kto siedzi przy instrumencie. To była nie tylko ciekawość, ale i uznanie.

Zeszliśmy na dół dopiero po wyjściu ludzi z kościoła. Nie miałam ochoty spotykać się z nikim, a już na pewno pozwolić zaciągnąć się Beacie na przyjęcie.

– Rany, mamusiu, jaki tam był wielki fortepian – szepnął Piotruś, gdy schodziliśmy ze schodów.

– To nie fortepian, to organy – wyjaśniłam.

– A te kominy po co są? – dopytywał.

– Nie kominy, tylko piszczałki, to one wydają dźwięk. Ale ja nie jestem organistką, synku, i nie potrafię grać utworów napisanych na organy, więc nie mogłeś usłyszeć ich pełnego brzmienia.

– Ale przecież grałaś!

– Tylko tak, jak potrafię zagrać na pianinie. Prawdziwy organista zagrałby lepiej.

– Nie zagrałby – zaprzeczył Piotruś z przekonaniem. – Ja ci to mówię, nie zagrałby!

Wieczorem z okazji mojego przyjazdu tata urządził w ogródku grilla. Zaserwował na nim efekt swojej najnowszej pasji, czyli własnej roboty wino z czarnych porzeczek.

– Nie, tato, ty to jesteś... – Spojrzałam na niego z uznaniem. – Prawdziwy z ciebie gospodarz i domator!

– Nie licząc jego wielogodzinnych wypraw na ryby – zaśmiała się pani Teresa

– A ja je niby po co łowię, jak nie dla domu? – obruszał się tata. – A właśnie, Marzenko, weźmiesz kilka słoiczków?

– Chętnie bym wzięła, ale przecież przyjechaliśmy pociągiem. Może innym razem, gdy będę miała swój samochód.

– A myślałaś już o jakimś? Bo ja bym ci polecał...

– Czesiu! – przerwała mu małżonka. – Nie zanudzaj córki swoim kolejnym dyżurnym tematem, zbyt rzadko się widzujemy, żeby marnować czas na pogawędki o motoryzacji.

– No dobrze – zgodził się tata niechętnie. – Tylko nie każcie mi słuchać pogawędek o modzie.

– A czy my kiedykolwiek rozmawiamy o modzie? – spytałam go.

– Nie rozmawiacie?

– Rozmawiacie. – Nieoczekiwanie Piotruś wziął stronę dziadka.

– Oj ty, łobuzie nielojalny! – Złapałam go w ramiona i „za karę” wycalowałam siarczyście. – Wobec tego ty zdecyduj, o czym będziemy rozmawiać.

– Nie będziemy rozmawiać. Śpiewać będziemy do tej kiełbasy – oznajmił. – Mama, ty zaczynaj!

– Ale czemu do kiełbasy? – zdziwiłam się.

– Bo nikt inny nas nie słucha – Piotruś wzruszył ramionami jakby powinno być to dla nas wszystkich oczywiste.

A skoro tak, prześpiewaliśmy do kiełbasy do samej północy i nikt nie miał siły uprzątnąć pozostałości po uczeniu.



Mieliśmy wracać do domu w południe. Coś mnie jednak kusilo, by zostać do wieczora i pójść do kościoła na wieczorną mszę, którą miał celebrować Nataniel. Wiedziałam, że to nie ma najmniejszego sensu, może nawet przeciwnie, ale im bliżej było do odjazdu mojego pociągu, tym bardziej byłam zdecydowana, że pojedę kolejnym. Spakowałam więc nasze rzeczy i zasiadłam do pianina, by jakoś zabić czas do wieczora.

– A jednak zamierzasz go zobaczyć? – spytała pani Teresa, która jakby czytała w moich myślach.

– Muszę – odparłam. – Nie wiem po co, ale muszę. Może dlatego, żeby się przekonać, co do niego teraz czuję?

– A jeśli się okaże, że czujesz coś, czego byś nie chciała?

– Cokolwiek by się okazało, na pewno tak będzie. Ale niestety, nie potrafię z tego zrezygnować.

– Chyba cię nawet rozumiem – westchnęła pani Teresa. – Choć niekoniecznie popieram...

Piotruś grzecznie bawił się w ogrodzie, tata od świtu łowił ryby i zostaliśmy w domu tylko we trójkę.

– Pójdzie pani ze mną? – spytałam.

– A chcesz?

– Byłoby mi rażniej.

– Wobec tego pójdę. Chociaż... nie wolałabym pójść z babcią?

– Nie, miałabym obawy, że zrobi mu awanturę podczas mszy. A póki co nie musi wiedzieć, że on tu jest. Przynajmniej do mojego wyjazdu.

Kiedy dało się słyszeć pierwsze bicie dzwonów, wyszliśmy z domu i trzymając Piotrusia za rączki, poszliśmy do kościoła. Nie zajęliśmy, rzecz jasna, żadnej z pierwszych ławek, usiadaliśmy skromnie z tyłu. Za ołtarzem stanął proboszcz i jakiś obcy ksiądz. Poczulałam rozczarowanie. Dopiero po dłuższej chwili, wpatrując się w niego, rozpoznałam w tej nalanej, apatycznej twarzy... Nataniela! Ten gruby facet w sutannie o włosach ściętych niemal do samej skóry

w niczym nie przypominał mi chłopaka, za którym gotowa byłam kiedyś wskoczyć w ogień... Spojrzałam na panią Teresę. I ona widać zdążyła go już rozpoznać, świadczył o tym wyraz jej twarzy. Pewnie zebrałabym się na odwagę i bym wyszła, ale ciekawa byłam, co też powie na kazaniu.

Mówił gładko i płynnie, zgrabnie intonując wypowiedziane przez siebie... slogany. Nie było w jego słowach kompletnie niczego, co mogłoby mnie poruszyć. Żadnych własnych wniosków, przemyśleń, ot najzwyklejszy gotowiec. Spoglądałam od czasu do czasu na Piotrusia, czy aby nie tknie go jakaś intuicja w stosunku do tego człowieka, ale on siedział grzecznie w ławce i beztrząsowo majtał nóżkami. Mimo że byliśmy dość daleko od ołtarza, w którymś momencie napotkałam jego wzrok. Nataniel wziął głęboki oddech i jakby nigdy nic, mówił dalej.

W drodze powrotnej nie komentowałyśmy wrażenia z mszy. Żadna z nas nie czuła takiej potrzeby.

– Może tata zechce nas odwieźć na pociąg – powiedziałam, orientując się nagle, że jest już dość późno.

– Na pewno was odwiezie. A i ja zabiorę się z wami, by wam pomachać na peronie.

Po drodze wstąpiłam do domu, ucałowałam babcię, z mamą nie mogłam się pożegnać, bo złożona jedną ze swoich dolegliwości leżała w zaciemnionym pokoju.

– Dlaczego jedziemy? – spytał Piotruś już w pociągu.

– Wracamy do domu, kochanie – odpowiedziałam z ulgą.

– A tam nie był nasz dom?

– Był, kochanie, był. Ale tam, dokąd jedziemy, czeka na nas nie tylko nowy dom, ale i nowy świat. Lepszy i weselszy niż ten, który został za nami.



Dokładnie pamiętałam słowa, które wypowiedziałam wówczas do mojego synka, mogłam więc je teraz, na zakończenie moich zapisków, wiernie powtórzyć.

Włożyłam do komputera pendrive, przeniosłam do niego folder opatrzony nazwą „To, co było”, a następnie usunęłam go z pulpitu i opróżniłam kosz. Pendrive wrzuciłam na dno szuflady mojego biurka i zamknęłam w niej swoją przeszłość.





DANUTA NOSZCZYŃSKA

Jedna z najbardziej lubianych pisarek literatury kobiecej. Autorka jedenastu powieści. Trzykrotna laureatka Festiwalu Literatury Kobiet „Pióro i Pazur”. Jako pisarka zadebiutowała w 2007 r. książką *Historia nie Magdaleny*. Potem ukazały się m.in.: *Pod dwiema kosami, czyli przedśmiertne zapiski Żywotnego Mariana* (Nagroda Festiwalu Literatury Kobiet „Pióro i Pazur”), *Wszystkie życia Heleny P.*, *Harpia*, *Farbowana blondynka*.

Zła miłość rozpoczyna nową serię:
SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH – złożoną z siedmiu odrębnych powieści.

SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

P Y C H A

Na piąte urodziny Marzena dostaje pianino i to jest koniec jej dzieciństwa. Zabawki idą w ką, koleżanki otrzymują zakaz przychodzenia. Dziewczynka ma cały czas ćwiczyć, żeby w przyszłości stać się światowej sławy pianistką i tym samym zrealizować niespełnione marzenie matki.

Wszystko zostaje precyzyjnie zaplanowane. Chłopcu, z którym Marzenę zaczyna łączyć pierwsza miłość, jej rodzicielka załatwia pracę w innym mieście. Sama znajduje zaś odpowiedniejszą partię dla córki: Nataniela, z dobrze sytuowanej rodziny.

Jak na ironię, okazuje się jednak, że rodzice chłopaka też zdecydowali za niego, a cynicznie zaplanowana przez nich kariera Nataniela nie idzie w parze z karierą Marzeny. Ale młodzi zdążyli już szalenie się w sobie zakochać...

**Czy Nataniel zdoła przeciwstawić się rodzicom?
Czy Marzena zdobędzie się na odwagę i spróbuje ułożyć sobie
życie na nowo, z dala od zaborczej matki, niezdarnego ojca
i dusznej zaściankowości rodzinnego miasteczka?**



Zła miłość to chwytna za serce powieść
o uczuciach, które potrafią ranić, i takich, które
przetrwają najcięższą próbę.

PATRONI
MEDIALNI:

InStyle

Claudia

Gala

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77

CDMA 34,90 zł



